

NA CO POLSKA MOŻE NAPRAWDĘ LICZYĆ

Jak bardzo NATO nas chroni?
- analizuje Marek Jurek

NR 49/505 5-11 GRUDNIA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZ



Awans Andrija Melnyka
uderzeniem w relacje z Polską

JAK KORNEL MORAWIECKI
WYKIWAŁ SB
FRAGMENT
PASJONUJĄCEJ KSIĄŻKI
O LIDERZE SOLIDARNOŚCI
WALCZĄCEJ



Jeśli książdz w polskim kinie
- to tylko zły

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 53 500 egzemplarzy

(NIE)GODNY ZAUFAANIA

Lewackie pomysły Rafała Trzaskowskiego
nie tylko w Warszawie?

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



1922 i 2022!

ZAMORDOWANIE POLSKIEGO CUDU WOLNOŚCI

Włodzimierz Suleja – Tragedia I prezydenta RP i Polski
Jakub Ostromięcki – „Precz z wybranćem Żydów!”
Tomasz Stańczyk – Mord w Zachęcie i proces zabójcy
Grzegorz Janiszewski – Stan wojenny w twierdzy Port Gdański
Mikołaj Iwanow – Sowieccy jeńcy wojenni u boku Hitlera
Piotr Semka – Szczecin kopalnią cegieł dla Warszawy
Sławomir Koper – Tanie wino i Piwnica pod Baranami
Maciej Rosalak – Joannici i sułtan Sulejman Wspaniały

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Zachodnia wspólnota wartości



PAWEŁ LISICKI

Niedawno podczas kolacji w jednej z ambasad państw NATO wysłuchałem zwyczajowego wystąpienia polskiego dyplomaty, który to wspomniał, że Ukraina walczy dzisiaj w imieniu zachodniej, europejskiej wspólnoty wartości. Polska zatem, dowodził, i inne państwa sojuszu są moralnie zobowiązane do wystąpienia w obronie Ukrainy. Wojna Rosji z Ukrainą to wojna barbarzyńskiego imperium z wolnym światem Zachodu. Jak zwykle w takich przypadkach słowom towarzyszyły brawa i wyrazy uznania.

Łatwo zauważyć, że jest to stały i wszechobecny motyw wielu wystąpień politycznych – tak w Polsce, jak na Zachodzie. Wszędzie można spotkać się z opinią, że wojna z Rosją toczy się w obronie wolności, w obronie Zachodu, w obronie wspólnych dla całego Zachodu wartości. Znacznie trudniej się dowiedzieć, o jakie konkretnie wartości chodzi. Albo inaczej: w imieniu jakich konkretnie wartości występuje Zachód.

Nie jest to pytanie o interesy. Tak np. ogół Polaków sądzi, że obecna wojna może być dla Polski korzystna, bo osłabia ona Rosję i wzmacnia Ukrainę jako jej teraz głównego przeciwnika. Im dłużej trwa konflikt, tym dla Polski lepiej, bo osłabiona, wykrwawiona i zmęczona Rosja przestaje być, przynajmniej na pewien czas, bezpośrednim zagrożeniem dla polskiej niepodległości. Czy ta teza jest prawdziwa, to kwestia do dyskusji. Istnieje przecież pogląd przeciwny, głównie reprezentuje go kilku amerykańskich analityków, którzy uważają, że jest dokładnie odwrotnie. Według nich przedłużający się konflikt sprawia, że Rosja przedstawia swoją gospodarkę na tryb wojenny,

a początkowe niepowodzenia pozwoliły Kremlowi pozbyć się skorumpowanych oportunistów. W rezultacie potencjał agresywny wcale nie osłabł, tylko wzrósł. Nie wiem, która teza jest prawdziwa. Czy ta, która mówi, że Moskwa ledwo dyszy i lada moment dojdzie tam do kapitulacji, a zwycięskie oddziały Ukrainy zajmą Krym, czy, przeciwnie, wojna się rozkręca, a dopływ świeżego rekruta oraz nowo wyprodukowanej broni doprowadzi do kolejnej rosyjskiej ofensywy. Pytam nie o korzyść, ale właśnie o ową „zachodnią wspólnotą wartości”.

Taką powszechnie przyjmowaną wartością nie jest przecież na Zachodzie godność i wartość ludzkiego życia – od lat 60. XX w. niemal wszystkie państwa Unii dopuściły aborcję i wręcz ją promują. Prawdziwym szermierzem tzw. prawa do zabijania nienarodzonych dzieci jest prezydent Joe Biden, najbardziej zapewne proaborcyjny przywódca USA w dziejach. Taką wartością nie jest też, przykro to powiedzieć, wolność słowa. Coraz bardziej bezwzględna dominacja ideologii genderowej doprowadziła do tego, że klasycznie rozumiana liberalna wolność opinii jest na Zachodzie w odwrocie. Inną wartością, niegdyś związaną z Zachodem, była choćby wolność religii i prawo do jej wyznawania – łatwo zauważyć, że i w tej dziedzinie Zachód dawno odszedł od swojej wielkiej tradycji. Ustawy zrównujące naturalne małżeństwa ze związkami jedнопłciowymi muszą pociągać za sobą coraz większą presję na przedstawicieli tradycyjnych religii, by dostosowali one swe dziedzictwo do wymagań demoliberalnego, tęczęowego państwa.

Szczerze mówiąc, jedyną realną wartością, którą umiem dostrzec, jest suwerenność.

Ukraina broni swego prawa do istnienia i swego prawa do niepodległości w starciu z agresorem – to prawda. Paradoks polega na tym, że akurat obrona niepodległości, suwerenności, tożsamości narodowej znajduje się na samym dnie hierarchii obecnych wartości zachodnich. Nie kto inny, jak właśnie politycy zachodnich państw na czele z USA potrafią, korzystając z przewagi finansowej i politycznej, wymuszać na słabszych partnerach dostosowanie się do jedynie słusznej ideologii. Nie robią tego, używając przemocy, owszem, ale potrafią działać z całą brutalnością. Na czym zatem dokładnie polega owa „zachodnia wspólnota wartości”? Co jest jej spoiwem? W imieniu których konkretnie wartości toczy się ta wojna? Trudno powiedzieć.

Nie oznacza to w żadnym razie, że Ukraińcy nie mają prawa się bronić – przeciwnie. Być może ich opór jest swego rodzaju wyrzutem sumienia dla wielu innych polityków europejskich, którzy najchętniej zapomnieliby o narodach i państwach narodowych. Z drugiej strony niemożność określenia „zachodniej wspólnoty wartości” powinna prowadzić Polaków do otrzeźwienia. Ukraińcy mają prawo się bronić, a ich odwaga zasługuje na szacunek, jednak nie występują w obronie wyimaginowanej „wspólnoty wartości zachodnich”, ale w swojej własnej. Zatem to, jakiej należy im udzielić pomocy, musi wynikać nie z moralnego obowiązku, który by ciążył na poszczególnych państwach-członkach „zachodniej wspólnoty wartości”, ale z rachunku zysków i strat każdego z podmiotów. Wojna z Rosją to nie krucjata, bo Zachód nie dysponuje obecnie wspólnym sztandarem, pod którym mógłby ją przeprowadzić. ©

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA

**WARSZAWA I POLSKA WEDŁUG
RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO**

Co nam grozi, gdyby on rządził w kraju?

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

GRILL Z „PATRIOTAMI”

Przegrane starcie polityczne

20 JAN FIEDORCZUK

MELNYKIEM PROSTO W TWARZ

22 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM

**KACZYŃSKI NIE CHCE ZMIENIAĆ
PREMIERA**

25 ROZMOWA Z MARCINEM WARCHOŁEM

**WRESZCIE PRAWO ZACZNIE
CHRONIĆ OFIARY, A NIE PRZESTĘPCÓW**

28 PIOTR SEMKA

GRA W ZBIJAKA

30 TOMASZ ROWIŃSKI

OBRONA OBROŃCY

32 ZUZANNA DĄBROWSKA

KAPELAN ANTYKLERYKAŁÓW

KULTURA

34 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

NASZE LGBT

Pokażmy Europie te „dzieła”

36 AGATA KŁOPOTOWSKA

BAŁ SIĘ, PISZĄC. TERAZ JEGO SIĘ BOJĄ?

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MAREK JUREK

UKRAIŃCY I WSCHODNIOFLANKOWCY

Odstraszać trzeba umieć samemu

48 MAŁGORZATA WOŁCZYK

**JAK DELEGALIZOWAĆ KONSERWATYSTÓW,
NIE ZMIENIAJĄC ZAPISÓW PRAWA**

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI

**KATOLICY, PROTESTANCI...
NIEWAŻNE**

HISTORIA



54 BOGDAN RYMANOWSKI

POWRÓT KORNELA

Jak Morawiecki wykiwał SB

56 ROZMOWA Z WIOLETTĄ SAWICKĄ

WILCZE DZIECI

ŚWIAT

60 PIOTR WŁOCZYK

PONAD SIŁY XI

Wielkie protesty w Chinach

62 OLIVIER BAULT

WOJNA RELOKACYJNA

64 MACIEJ PIECZYŃSKI

**ROZŁAM
W „ROSYJSKIM NATO”**

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI

**NIEZRÓWNAŃE ZYSKI
ZE ZRÓWNOWAŻONEGO
ROZWOJU**

Wehikuł do generowania monstrualnych zysków

68 ROZMOWA Z PAWŁEM MIROWSKIM

**SKUTECZNIE POMAGAMY
POLAKOM**

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

WYCIECZKA PO SZAFACH

Książka o dobrych ubraniach



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tymczasem bez drugiej uchodźczej fali

Nową fazę wojny Rosji przeciw Ukrainie rozpoczęły półtora miesiąca temu ataki rakietowe na ukraińską infrastrukturę energetyczną. Rakiety Putina zaczęły niszczyć elektrownie i linie przesyłowe. Na ulicach Kijowa i setek innych ukraińskich miast zgasło światło. Powróciło widmo, z lutego br., ciemnych i wychłodzonych ukraińskich mieszkań. To w połączeniu z zimą, która na Wschodzie zaczyna się znacznie wcześniej niż u nas, wzbudziło nad Wisłą obawy przed nową falą przybyszów z Ukrainy, uciekających tym razem nie przed kulami, a przed chłodem i ciemnością.

Jednak mamy już początek grudnia, a żadna uchodźcza druga fala nie nastąpiła. Dane służb granicznych mówią o mniej więcej zbliżonym ilościowo ruchu w obie strony granicy polsko-ukraińskiej.

Codziennie wjeżdża do Polski ok. 20 tys. osób i podobna liczba ludzi każdego dnia wyjeżdża na Ukrainę. Tymczasem nie ma więc mowy o żadnym zalewie uchodźców, który wieszczono jeszcze półtora miesiąca temu.

Gdy pytam o przyczyny takiego stanu rzeczy specjalistów z MSWiA, wskazują oni, że mimo rosyjskich ataków rakietowych linia frontu w miarę się ustabilizowała. Ukrainie nie grozi żadna nowa, szybka operacja Rosjan. Wtedy, w lutym br., kobiety z dziećmi masowo wyjeżdżały, gdyż obawiano się, że rosyjski pancerny walec w parę dni zajmie kraj. Poza tym, kto miał już wyjechać, ten wyjechał. Pozostali trzymają się swoich domów, a na wsi swoich chałup.

Ważny jest też wysoki poziom morale mieszkańców Ukrainy gotowych wytrzymywać ataki na in-

frastrukturę kraju w imię wytrwania ich państwa. Pamiętajmy też, że jest to społeczeństwo w starszym pokoleniu przyzwyczajone do tego, że przede wszystkim musi sobie radzić samodzielnie.

Zachód wysłał na Ukrainę agregaty prądowe i grzejniki na benzynę lub ropę. W Polsce Ukraińcy prowadzą zbiórki na agregaty dla szkół i szpitali. Mniejsze agregaty i piecyki są dostępne na rynku ukraińskim i ludzie sami mogą się w nie zaopatrywać. Ukraińcy uczą się egzystować mimo sowieckich ataków, które miały złamać ich wolę oporu. Kolejny raz okazało się, że nie doceniamy ich zdrowego rozsądku i zimnej krwi. Nie jest im łatwo, ale nikt nie reaguje jakąś masową ucieczką. Doceniśmy to i tym bardziej pomagajmy im tam, na miejscu.

Ta zima potrwa jeszcze długie miesiące. ©©



SZCZĘSNY JUŻ ZAPISAŁ SIĘ W HISTORII

Gdy oddawaliśmy ten numer tygodnika do druku, nie znaliśmy jeszcze wyniku starcia Polaków z Francuzami w Katarze. Niezależnie od losów niedzielnego spotkania wiadomo już było, że Wojciech Szczęsny był bezsprzecznie nie tylko najlepszym polskim piłkarzem w fazie grupowej mistrzostw świata, lecz także najsukuteczniejszym bramkarzem tej fazy rozgrywek. Jeszcze przed niedzielnym meczem zapisał się też na kartach piłkarskiej historii jako jeden z trzech bramkarzy, którym podczas mundialu udało się obronić aż dwa rzuty karne. Pierwszym był Jan Tomaszewski w 1974 r., a drugim Brad Friedel z USA w roku 2002. (jap) ©©



FOT. FOT. JANUB SZYMCIUK/ARPP

PREZYDENT DUDA OSTRZEĞŁ PRZED „RUSKIM MIREM”

– Nie ulega wątpliwości, że Rosja jest dziś państwem zbrodniczym – oznajmił prezydent Andrzej Duda na dwudniowym szczycie OBWE, który 1 grudnia rozpoczął się w Łodzi. – Wszelkie rozmowy pokojowe muszą się odbywać za zgodą władz Ukrainy. Ewentualne porozumienie, które w jakikolwiek sposób akceptowałoby zdobycze terytorialne Rosji, byłoby bombą podłożoną pod system europejskiego bezpieczeństwa – podkreślił polski prezydent podczas obrad, na które przyjechało ok. 200 delegatów z ponad 50 państw.

Międzynarodowe obrady zdominowała rosyjska agresja na Ukrainę, a więc najpoważniejszy konflikt, jaki ma miejsce w Europie w ciągu pięciu dekad istnienia OBWE. – Tak jak prezydent Rosji Władimir Putin poniósł porażkę, próbując pokonać Ukrainę, pomimo swojej brutalnej agresji i zbrodni wojennych [...], tak samo poniósł porażkę, próbując podzielić lub zniszczyć OBWE – zauważyła w Łodzi podsekretarz stanu USA ds. politycznych Victoria Nuland. – Wojna Rosji przeciw Ukrainie udowodniła, że Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie nie jest w stanie zagwarantować pokoju, jeśli od wewnątrz jej działania są sabotowane przez agresora, który nie przestrzega przyjętych zasad – przekonywał jednak Duda, zwracając też uwagę na planowe i konsekwentne niszczenie przez Rosjan krytycznej infrastruktury cywilnej w celu wywołania klęski humanitarnej. – Obawiam się, że w momencie, w którym zaczniemy traktować rosyjskie bestialstwa jako coś normalnego, to będzie to równoznaczne ze zwycięstwem idei tego, co nazywane jest „ruskim mirem”, a co oznacza brutalność, agresję, wojnę, biedę i śmierć – przestrzegają Duda. (jap) ©

REKLAMA

#Mazurek

**symetrysta
i bufon**

#Szczuka

**upadła gwiazda
lewackich mediów**

#Terlikowski

katooszołom

Trolle swoje...

...a my swoje!

Radio RMF24 – jedno studio, różne poglądy!

**RADIO
RMF24**

rmf24.pl/radio

PŁYWANIE W KISIELU

Komisja do spraw oczywistych

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Pomysł partii rządzącej, by powołać „sejmową komisję śledczą ds. energetyki” celem pokazania społeczeństwu, jak PO i PSL w latach 2007–2015 uzależniały Polskę energetycznie od Rosji, większość polityków opozycji skomentowała w duchu: „PiS chce urządzić propagandowe igrzyska”. W zasadzie nie byłoby tu nic do dodania, gdyby ów komentarz nie płynął ze strony polityków, którzy jeszcze parę tygodni temu domagali się analogicznych komisji śledczych celem wykazania, że PiS to agentura Putina osadzona w Polsce u władzy przez FSB, na podstawie wybranych zeznań Marcina W., domysłów gen. Pytla oraz strzałek narysowanych przez Tomasza Piątkę. „Igrzyska propagandowe”

PiS przynajmniej byłyby osadzone w rzeczywistości.

Tyle że owa rzeczywistość jest już wystarczająco poznana i nie trzeba żadnych przesłuchań ani odtajniania dokumentów. Platforma Obywatelska nigdy nie ukrywała doktryny swej polityki zagranicznej: „Płynąć w głównym nurcie polityki europejskiej”. Główny nurt polityki europejskiej płynął zaś do lutego bieżącego roku rurami nord streamów, zgodnie z imperialnym interesem Niemiec, dążących do budowy kierowanego z Berlina „państwa europejskiego”. Od Polski wymagano w ramach tej polityki odrzucenia „rusofobicznych uprzedzeń” i „nawiązania przyjaznych stosunków z Rosją” w zamian za niemiecką obietnicę, że pod ich opieką ruskie nic nam

nie zrobią. Ponieważ od spełnienia tych oczekiwań zależały nie tylko unijne pieniądze, lecz także osobiste kariery polityków, z Tuskiem na czele, starali się oni bardzo gorliwie, nawet czasami nadgorliwie: w oddawaniu Gazpromowi polskiej infrastruktury poszli tak daleko, że w pewnej chwili Niemcy musieli interweniować i poprzez instytucje unijne unieważnić podpisaną przez Pawłaka umowę. To wszystko jest znane, opisane, udokumentowane – na co komisja tam, gdzie powinien wejść prokurator?

Propozycja PiS wywołała jednak po stronie opozycji jeszcze jeden rodzaj reakcji: „Nikogo to dziś już nie obchodzi”. Chciałbym, żeby ci, którzy tak mówią, się mylili. Niestety, nie ma co do tego pewności. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Na prawo od skrajnej lewicy

Francuski Front Narodowy w latach 80. zeszłego wieku w parlamencie działał krótko, ale w tym czasie uparcie składał kolejne projekty ustaw w obronie życia. Dziś jego spadkobierca, Zjednoczenie Narodowe, proponuje konstytucyjne potwierdzenie obowiązującego ustawodawstwa aborcyjnego. Co się stało? Ani zmiana pokolenia, ani nawet reorganizacja partii nie wyjaśniają tak totalnej wolty. Więc co? Otóż Zjednoczenie Narodowe postanowiło zaproponować konstytucjonalizację aborcyjnych przepisów jako... prawicową odpowiedź na konstytucyjne postulaty skrajnej lewicy.

Francja Nieujarzmiona (konglomerat resztek partii socjali-

stycznej, komunistycznej i innych grup skrajnej lewicy) domaga się umieszczenia w konstytucji prawa do aborcji w ogóle. Zjednoczenie Narodowe nie zgadza się na tak ogólny zapis i jako alternatywę proponuje... prawo do aborcji zawarte w istniejących przepisach.

Sztuka negocjacji z pewnością nie jest tak wyrafinowana jak wyżej opisana sztuka wymyślenia „pluralistycznych różnic”. Jeśli jednak się chce proces polityczny rozumieć, to warto o zasadach negocjacji pamiętać. Otóż mówią one, że jeśli na początku sporu nie przedstawi się reprezentowanego stanowiska – to potem go bronić coraz trudniej.

Deklaracje nie zastąpią polityki, ale bez jasnych deklaracji trudno

skutecznie działać w czasach masowej demokracji, w której z zasady uczestniczą i przywódcy, i ruchy społeczne, i opinia publiczna w ogóle. Oczywiście różne są miary skuteczności. Dla jednych to realizacja programu nawet kosztem utraty wyborów, nawet jeśli popierany program zrealizuje potem kto inny. Dla innych to zdobycie władzy, nawet jeśli będzie trzeba realizować cudzy program.

Zjednoczenie Narodowe odniosło w tym roku bezprecedensowy wyborczy sukces. A jego konserwatywni wyborcy (jak z nieukrywaną satysfakcją napisał lewicowy publicysta) zostali skutecznie wystrychnięci na dudka. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Po doświadczeniach z Donaldem Tuskiem
Polacy podchodzą z pewną rezerwą do
nie mieckich patriotów
...



Występna se antysefista e Yatra - Meli



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O pisarzu i bastardzie

Dwa i pół roku temu obecna premier Giorgia Meloni, wówczas w opozycji, wyraziła się negatywnie o przyjmowaniu we Włoszech wszystkich migrantów ze statków ratowniczych organizacji pozarządowych. Z tego powodu pisarz Roberto Saviano („Gomorra”), pieszczoch

ma konotacje bardzo obraźliwe. Również dla mamy Giorgii Meloni.

Nie był to pierwszy wulgarny atak Saviano na Meloni, więc ta wytoczyła mu proces o obrazę i zniesławienie. Pierwsza rozprawa ma się rozpocząć 11 grudnia. Teoretycznie Saviano grożą trzy lata więzienia, ale jest jasne, że co najwyżej będzie musiał przeprosić i zapłacić karę, z czym nie powinien mieć problemu, bo jest milionerem. Co więcej, Giorgia Meloni dwa tygodnie temu ogłosiła, że najpewniej oskarżenie wycofa. Saviano podniósł larum, że jest pisarzem najbardziej prześladowanym przez obecny włoski rząd.

Prawnicy Meloni, a także wielu pravicowców, tłumaczyli, że każdy ma prawo, a dziennikarze nawet obowiązek, krytykować rządzących, gdy im się nie podobają. Jednak nie oznacza to, że można przy tym ludzi obrażać

i uderzać w ich osobistą godność. Groch odbił się od ściany.

W obronie Saviano stanęli włoscy postępowcy, brytyjski dziennik „Guardian”, a nawet PEN Club. Doszli do wniosku, że postawienie Saviano przed sądem to próba szantażu, wprowadzenia zamordyzmu i cenzury, że to atak na wolność słowa i wyrażania poglądów. Przy okazji dziennikarka Jeanne Perego nazwała Meloni w swoim artykule „sprzedawczynią ryb” (pescivendola), co, jak wyjaśnia słownik, po włosku znaczy „prymitywna chamka, prostytutka i ignorantka”.

Wynikałoby z tego, że zdaniem postępowców z takim zapałem godności kobiety, jednak można niewiasty obrażać do woli, jeśli posiadają niewłaściwe poglądy. Czyli pomnikowa hipokryzja. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

**Zdaniem postępowców z takim zapałem
broniących godności kobiety,
można niewiasty obrażać do woli,
jeśli posiadają niewłaściwe poglądy**

włoskiej lewicy i wyznawca jedynie słusznych, postępowych poglądów, nazwał Meloni bastardą. We włoskim mamy bastardów męskich i żeńskich. Słowo znaczy oczywiście „z nieprawego łoża”, ale

ZUZANNA
DĄBROWSKA

FOT. VPHOTO/EAST NEWS

GWIAZDOBZDUR



SZKOLNE DYLEMATY

Polska to zaścianek – wiadomo. Niby Unia, niby środek Europy, ale jakoś tak cały czas czuć ten cebulowy posmak. Na szczęście nasi celebryci dają jakoś radę. Edyta Pazura, żona Cezarego Pazury, ogłosiła, że ich córka nie chodzi już do szkoły polskiej, tylko do europejskiej. Brzmi dumnie, prawda? O tej wiekopomnej decyzji fani Pazurowej, a jakże, dowiedzieli się z Instagrama. – Ja podziękowałam za polski system nauczania i przenieśliśmy Amelię do szkoły europejskiej. Amelia chce się rozwijać artystycznie, a polski system nie przewiduje miejsca dla takich dzieci – stwierdziła Edyta. Wyjaśniła, że dla niej „priorytetem była znajomość języków obcych i atmosfera, która nie doprowadza dziecka do bólu brzucha”. – Też do braku apetytu codziennie rano, kiedy trzeba iść do szkoły – dodała. Faktycznie, polska szkoła wygląda z tej perspektywy jak koszmar. Co mają zrobić inne mamy, których nie stać na posłanie dziecka do szkoły prywatnej, europejskiej? Polecamy wylogowanie się z Instagrama. Kreowany tam świat naprawdę nie jest realny.

DZIWNY BYŁ
TEN ROK

Jednak jeśli spojrzeć na przypadek Barbary Kurdej-Szatan, to jeden wpis na tym portalu może mocno uderzyć w dynamicznie rozwijającą się karierę. Wszyscy pamiętamy dramatyczny strumień świadomości Basii, która rok

temu nazwała strażników granicznych (którzy wykonywali sumiennie swoje obowiązki) „mordercami”. Wystarczyło, aby uśmiechnięta blondynka straciła kilka lukratywnych kontraktów. Na przykład ten z dużą siecią komórkową, której twarzą była Kurdej-Szatan. – Play zrezygnował, bo musiał. Nie będę wchodzić w szczegóły, ale wszyscy wiedzą, jak to wyglądało. Chyba widać, czy gdzieś jestem czy mnie nie ma. Robię teraz różne kampanie na Instagramie – wyznała gwiazda w jednym z wywiadów. Niech to nikogo nie zmyli, Basia nie jest łatwo. – Jakoś idę do przodu, na pewno był moment przejściowy. Miałam w ogóle taki moment przejściowy, ten rok był dla mnie dziwny – dodała nieco przybita celebrytka. Basiu, tulimy.

SZCZERA
JAK DŻASTA

Jeśli ktoś z państwa planuje w najbliższym czasie lot do USA, to – uwaga – w samolocie można się natknąć na Justynę Gradek. Kto to? No jak to! Modelka, celebrytka, polska Kim Kardashian. Oczywiście full natural. W każdym razie Justyna leci do Stanów. Co więcej, nie wie, czy w ogóle wróci. – Wylatuję do Miami. Nie wiem, co się tam wydarzy. Ogólnie myślę, że jeżeli nadarzy się taka okazja, to tam zostanę. Mam bilet powrotny, ale kto wie, może nie wrócę. Lecę do mojej przyjaciółki, Anety

Glam. Będziemy się dobrze bawić, już na samym starcie idziemy na event Dolce & Gabbany – zapowiada nasz narodowy skarb. Widać, że kobieta z klasą, nie więc dziwnego, że Justyna potrzebuje odpowiedniego mężczyzny. Opisując swój ideał, nie gryzie się w język. – Nie mogłabym być z biedną osobą. Ja zawsze jestem szczera, nie owijam w bawełnę, mówię to, co myślę. Nie będę udawała kogoś, kim nie jestem, i udawała, że będę z osobą, która zarabia mniej ode mnie. Byłam w takim związku i wiadomo – nie wyszło – mówi modelka. Przynajmniej szczerze.

ZBANOWANE SUTKI

Kika słów o kolejnej krucjacie czołowej aktywistkocielebrytki III RP, czyli Mai Staśko. Wiadomo, że aktywiści są najlepsi w kreowaniu problemów, z którymi później mogą dzielnie walczyć. Wszystko po to, by uzasadnić swoje istnienie (i proszenie o wpłaty, ale to na marginesie). I tak Majka, która oczywiście uznaje się za feministkę, włączyła się w niemądrą akcję #topfreedompl. W dużym skrócie – chodzi o pokazywanie kobiecych, nagich piersi w przestrzeni publicznej jako sprzeciw wobec... seksualizacji kobiet. Oczywiście antencyjna Staśko nie mogła przepuścić takiej okazji i opublikowała swoje półnagie zdjęcie w mediach społecznościowych.

Zdjęcie miało być inspirowane rzeźbą „Wenus z Milo”. Facebook uznał, że doszło do naruszenia regulaminu w kategorii „nagość”, i konto aktywistki zostało zablokowane. „Dostałam bana na Facebooku, bo... KOBIECE SUTKI. Czy inspirację do zdjęcia, czyli »Wenus z Milo«, Facebook też każe cenzurować? A męskie sutki?” – napisała na Twitterze oburzona Maja Staśko. Oczywiście przy okazji wyprodukowała sporo treści na Instagramie. Tak szczerze, to osoby żyjące dla uwagi innych należy po prostu ignorować. A ich nagie zdjęcia to już w ogóle. ©©



FOT. ADAM STOK



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, piszemy do was te słowa jeszcze przed mundialowym meczem

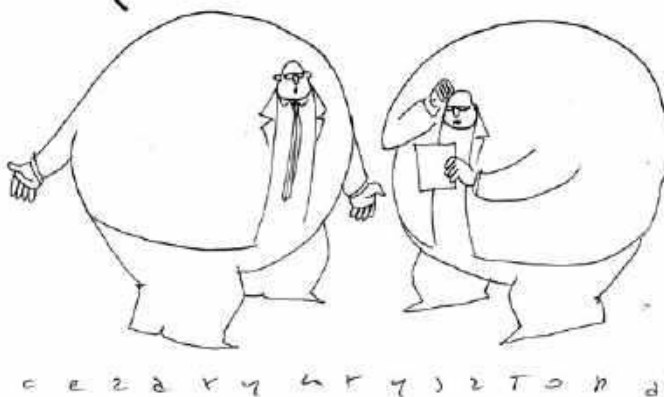
Polska–Argentyna. Do słownie wszędzie widzimy biało-czerwone flagi, już o tej godzinie (12!!!) pijanych ludzi skandujących: „A Messi tu, a Messi tam, a Messi ch...a zrobi nam”, słyhać trąbki, wuwuzele i napadowe śpiewanie hymnu. A jeszcze nawet nie wyszliśmy z korpo.

Tak, tak. Mundialowa gorączka opanowała nawet nasze świeckie i neutralne narodowo miejsce pracy, w którym zazwyczaj dominował intelektualny dyskurs, np. ostatnio o zaimkach, a nie wymiana poglądów (bo myślami byśmy tego nie nazwali) o sporcie, i to jeszcze tak prymitywnym i generującym najgorsze instynkty jak piłka nożna.

Jeżeli już wszystkie wąsate janusze tego kraju odczuwają potrzebę konfrontacji z Argentyną, to serio można byłoby znaleźć jakieś inne pola do tego celu. Na przykład wysokość inflacji lub liczbę dyktatorów.

Niestety, ze smutkiem też musimy stwierdzić, iż oba kraje mają sporo wspólnego. Oba są katofashystofskim zaściankiem, chociaż Argentyna nieco mniej, gdyż Bergoglio się wydaje bardziej w porządku niż Wołyta. Oba kraje są też oskarżone o kolaborację z nazistami. Oba uprawiają kult niskiej jednostki – w Argentynie teraz

Chcieliśmy napisać list intelektualistom, ale nie radzimy sobie z gramatyką...



Messiego, a wcześniej Maradony, a w Polsce to sami wy już wiecie, kto jest niski.

W ogóle to nie ukrywamy, że nie mieliśmy w szkole piątek z geografii, czwórek ani trójek, zresztą też nie głównie dlatego, iż od małego nie wierzyliśmy systemowi polegającemu na ocenianiu wiedzy, ale męczy nas to, iż wciąż nie wiemy, czy mówi się Austria czy Australia. Irak czy Iran?

Jest jakiś jeden turniej w piłkę i widzimy: Austria. Potem przychodzi mundial: Australia. Odpalamy wiadomości i jedni piszą o zamieszkach w Iranie, a inni w Iraku. I czasami jest to jeden artykuł pod drugim.

A może to jest tak, iż obie formy są dopuszczalne, jak „wziąć” i „wziąć”?

Albo wręcz obie poprawne, a nasze czepianie się szczegółów to nic innego jak postszkolna trauma z dzieciństwa, kiedy byliśmy oceniani i zmuszani do udzielania „prawidłowych” odpowiedzi? Musimy to chyba na najbliższej sesji opowiedzieć naszemu psychoterapeucie.

W ogóle już zaczął się Adwent, obchodzony przez katofashystów przed Winter Holidays, i akurat, jak wracamy z korpo, to obserwujemy niepokojące sceny, a mianowicie małe dzieci maszerujące

w ciemne popołudnia z lampionami w rękach do kościołów.

Czaicie analogię? Lampiony – pochodnie, marsze – marsze. Aż słyszymy stuk fashystofskich, ciężkich, zapinanych na rzepy trzewiczków. Niestety, ale takie obrazki budzą w nas jak najtrwóźniejsze skojarzenia z nietolerancją, ksenofobią i fashysmem. Rodzicami tych dzieci powinny się pewnie zainteresować jakieś odpowiednie instytucje, bo to indoktrynacja i narzucanie światopoglądu, zamiast pozwalanie młodej osobie decydować o sobie samej :) ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Ciemny lud od klimatu

No jak, Donek? Świetnie wyszło z tą laską od klimatu na naszym kongresie, co nie?

No ba, Sławek. Taka była autentyczna, że sam się prawie nabrałem, że to jakiś spontan.

Ale przyznasz, że pomysł miałem znakomity. A ciemny lud od klimatu to kupuje i myśli, że ja taki dobry jestem.

Ale to był właściwie spontan. To znaczy – z jej strony.

Ale że jak? To to nie była kuzynka kumpeli Kaśki? Przecież taka była umowa.

Nie, bo ta kuzynka akurat poleciała na Kanary. Skontaktowałem się z laską z Internetu, na portalu fanatycznych klimatystów, i na-

писаłem, że Ziemia umiera, a mój szef nie chce tego dostrzec. I czy ona by chciała wejść na scenę. I że ja jej pomogę.

No dobra, ale przecież mogła mieć nóż na przykład.

E, nie, noż to nie. Ale ona najpierw to chciała się do ciebie przykleić.

Ty, co oni mają z tym klejem wszyscy? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński jest niezdolny do konstruktywnego myślenia, a najlepiej czuje się otoczony destrukcją i chaosem”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO,
na Twitterze

Wieści z Nowogrodzkiej. W minionym tygodniu widziano tam byłego prezesa TVP Jacka Kurskiego. Są konkrety, zbliża się koniec pobytu w zamrażarce i popularny Kura dostanie nowe stanowisko – pana od cyfryzacji.

Na tym właściwie można uznać niedoszłą wielką rekonstrukcję rządu za zakończoną. Miało być wiele zmian, a skończyło się na tym, że Mateuszowi nie udało się zdymisjonować Sasina, przeciwnikom Mateusza zaś nie udało się zdymisjonować Mateusza. Wychodzi na to, że jedyną ofiarą całego zamieszania został nieborak Michał Dworczyk.

Apropos Sasina. Czy wiecie, co to jest PRdsSIZSzUSP? Nic łatwiejszego, to nowy skrót nowej funkcji. Objął ją Jan Kanthak z SolPola. Pełnomocnik Rządu do spraw Strategicznych Inwestycji Zagranicznych Spółek z Udziałem Skarbu Państwa. Uważamy, że nazwa jest za krótka. Sugerujemy rozszerzenie o brakujący człon: „nadzorowanych przez Ministerstwo Aktywów Państwowych pod wodzą Ministra i Wicepremiera Jacka Sasina”. To będzie PRdsSIZSzUSPnpMAPpwMiWJS. O wiele łatwiej zapamiętać.

W związku z awansem Kanthaka pojawiły się opinie, że oto Zbigo Ziobro uzyskał znów jakieś korzyści w związku z napinaniem sytuacji w koalicji. Dementujemy. Kanthak ma w PiS opinię polityka bardzo lojalnego i najbardziej koncyliacyjnego ze wszystkich solpolowców.

Apropos Ziobry. Interesujące rzeczy działy się za kulisami tegorocznej konferencji „Zderzenie kultur”, organizowanej przez europosła Patryka Jakiego. Na kameralnej kolacji było bardzo familijnie, gdyż wielu gości pojawiło się z małżonkami. Najbardziej zaskakujący był jednak moment, w którym Zbigo Ziobro wznosił toast za Jakiego, wychwalając jego „niemieckie cnoty” – takie jak pracowitość, rzetelność itp. Odnotowujemy toast jako interesujący sposób promowania polityka prawnicy z Opola.

Na konferencji niespodziewanie osobiście pojawił się prezes TVP Mateusz Matyszkowicz, który ujawni

dwaj panowie g



nił kilka ciekawych inicjatyw. Byliśmy pewni, że ktoś już wychwycił i nagłośnił, ale skoro nie, to my nagłaśniamy. Otóż wkrótce ruszą zdjęcia do zapowiadanego od kilku lat serialu o Adamie Mickiewiczu. Szykuje się też serial na podstawie powieści „Nadberezyńcy” Floriana Czarnyszewicza. Najwyraźniej media piszące o kulturze nie śledzą paneli poświęconych kulturze. My śledzimy, a nawet w nich występujemy.

Zmiany, zmiany. Wojciech Maksymowicz ogłosił, że odchodzi z Polski 2050 Szymka Płacziwego Hołowni i nawet próbował to uzasadnić. Taki wykształcony człowiek, profesor, a nie wie, że argument „bo najpierw jestem lekarzem, a nie politykiem” byłby do obrony tylko wtedy, gdyby zrezygnował z mandatu, nie zaś z koleżeństwa z Szymkiem. Tak podpowiadałyby honor i logika. A my apelujemy o ten gest w imieniu brydystów leśników. Następny w kolejce po mandat byłby Artur Chojewski, ale on jest wojewodą; kolejny to Jerzy Gosiewski – leśnik brydysta. Co z tego, że myśliwy, przynajmniej koła partii, z której list go wybrano, nie porzuci.

WMSZ też zmiany. Arkady Rzegocki szefujący Służbie Zagranicznej żegna się ze stanowiskiem i idzie w ambasadory. Poprzednio był szefem

placówki w Londynie, teraz znów trafi na wyspy, dokładnie na wyspę zieloną. Zatem już dziś uprzejmie wpraszamy się na św. Patryka do nowego ambasadora w Irlandii. Bardzo cenimy Trinity College i piwo Galway Hooker.

Wpałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana zamiast piw irlandzkich króluje inny napój z Wysp. Żółta herbata Lipton. Dowiedzieliśmy się ostatnio, że pierwsza dama Agata Duda innej po prostu nie uznaje. Cóż, kwestia przyzwyczajenia. Znamy takich, którzy wciąż piją wyłącznie kawę z gruntem i palą ekstra mocne.

Opowieść o herbacie łączy się w pewnym sensie z wielką polityką. Otóż po ostatniej wpadce z ruskimi prowokatorami w pałacu Andrzeja Sebastiana nastroje są minorowe. A nawet buntownicze. Podczas jednej z narad kierownictwa z szefową kancelarii Grażyną Ignaczak-Bandych pewien pracownik przypuścił atak. Zaczął utyskiwać, że w kancelarii wszystko się wali i mało co działa. Koronnego argumentu użył na koniec, stwierdzając, że nawet w termosie z napisem „kawa” znajduje się wrzątek do herbaty. Nie musimy chyba dodawać, jaką herbatę zalewa się owym wrzątkiem.

Czasem polityka podąża za futbolem, a tu odwrotnie: na mundialu futbol idzie w ślady zmian w polityce. Więc zgodnie ze zmianami na wschodniej flance NATO Niemcy odpadły z mistrzostw w Katarze, a Polska awansowała do jednej ósmej finału. Jest jedna istotna różnica – rolę nowego lidera wschodniej flanki NATO odgrywamy w wielkim stylu. W odróżnieniu od wyjścia z grupy.

Jak Europa długa i szeroka rozlega się płacz i zgrzytanie zębów – prócz Niemiec odpadły Dania oraz Belgia. W Brukseli klęskę Belgii i awans Maroka niebiałonormatywni mieszkańcy stolicy przyjęli radosnymi zamieszkami połączonymi z paleniem samochodów. Ponieważ mamy kontakty nie tylko w polskim aparacie przymusu, zapuściliśmy żurawia. No i wiemy już, że niebiałonormatywni brukselczycy często palą przy takich okazjach własne samochody. Uprzednio wysoko je ubezpieczywszy. A więc jednak asymilacja: zaczyna się od zrozumienia, jak funkcjonuje system. ©©



Ambitne plany Sieci Badawczej Łukasiewicz

– Chcemy i potrafimy inwestować w najlepszych ludzi – podkreślał prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz Piotr Dardziński, prezentując w Warszawie nowy program organizacji, który ma umożliwić jej dalszy rozwój. Poszukując młodych talentów i umacniając swoją pozycję na polskim rynku, Łukasiewicz chce w ciągu zaledwie dwóch lat zatrudnić 2 tys. innowatorów

Inwestowanie w ludzi ma być motywem przewodnim działalności Sieci Badawczej Łukasiewicz w 2023 r. Liderzy tej stosunkowo młodej instytucji zdają sobie bowiem sprawę, że aby rozwijać współpracę z biznesem i tworzyć innowacyjne rozwiązania dla rozwoju polskiej gospodarki, potrzebni są eksperci.

– Kiedy w 2019 r. powstała Sieć Badawcza Łukasiewicz, rozproszonych 38 instytutów zostało połączonych w jeden organizm. Pierwsze, co musieliśmy zrobić, to sprawdzić, czy i przemysł, i my jesteśmy gotowi na to, aby realizować ambitne projekty badawczo-rozwojowe – tłumaczy Piotr Dardziński. – Trzy lata później, kiedy ponad 800 firm rzuciło nam już prawie 2 tys. wyzwań i tematów do opracowania, wiemy, że będziemy mieli dużo pracy. A to oznacza, że potrzebujemy ludzi, którzy są w stanie realizować te projekty. Dlatego idziemy na rynek, szukając ambitnych i kreatywnych ludzi – podkreśla prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz.

DWA TYSIĄCE NOWYCH INNOWATORÓW

Sieć Badawcza Łukasiewicz zajmuje się projektami z obszaru inteligentnej i czystej mobilności, transformacji cyfrowej, zdrowia oraz zrównoważonej gospodarki i energii. Kiedy firma „rzuca” naukowcom wyzwanie, ci odpowiadają na nie maksymalnie w ciągu 15 dni. 25 listopada Łukasiewicz ogłosił, że w związku z ogromnym zainteresowaniem usługami organizacji

w ciągu dwóch lat Sieć Badawcza Łukasiewicz zatrudni 2 tys. nowych pracowników w sektorze badawczo-rozwojowym. Innowatorzy mają dołączyć do zespołów prowadzących zaawansowane projekty badawcze, np. w ramach Horyzontu Europa.

Z jednej strony 2 tys. nowych miejsc pracy to ogromny zastrzyk dla środowisk naukowych, z drugiej impuls dla pracodawców, aby dbali o godne warunki zatrudnienia swoich pracowników. Program chwaliła – obecna na konferencji z okazji otwarcia inicjatywy – minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

– Obecnie mamy stabilną sytuację na rynku pracy, Polska to drugie państwo z najniższym bezrobociem w Unii Europejskiej. Ale to wciąż jest wyzwanie dla nas – pracodawców i rządzących – aby pomóc młodym, wykształconym ludziom zdobyć pracę i przygotować ich tak, żeby wchodzić na rynek pracy, umieli zaplanować swoją karierę zawodową – podkreślała szefowa MRiPS. – Sieć Badawcza Łukasiewicz odpowiada na to wyzwanie, jako łowca talentów młodego pokolenia – dodała minister Maląg podczas konferencji.

ZATRZYMAĆ MŁODYCH, ŚCIGAĆ DOŚWIADCZONYCH

Sieć Badawcza Łukasiewicz realizuje swoje cele na różne sposoby, m.in. ściągając do organizacji doktorantów i licealistów. Jesienią organizacja uruchomiła pilotażowy program zatrudniania finalistów i laureatów olimpiad z przedmiotów ści-

łych – biologii, fizyki, matematyki, chemii i informatyki. W efekcie w 12 instytutach z całej Polski pracuje teraz 23 olimpijczyków, którzy łączą pracę z dalszą nauką.

– Prezes Dardziński rozmawiał z nami podczas finałów olimpiad, przedstawiając swój projekt. Chodzi o umożliwienie młodym naukowcom rozwijania się w zawodzie, zdobywania doświadczenia, a także propozycję pracy. Gdy tylko pojawiła się taka oferta, zgodziłem się – opowiada 18-letni Marcin Dudziak, który obecnie łączy studia z pracą w Łukasiewicz – Instytucie Elektrotechniki we Wrocławiu – Kiedy rozmawiam ze znajomymi ze studiów, bardzo podoba nam się ta idea, że jeszcze w trakcie nauki możemy pracować w sieci badawczej, a nie tylko utrzymywać się z pracy dorywczej – dodaje.

Organizacja pozyskuje także naukowców, w tym osoby, które wyjechały z kraju, aby rozwijać swoją karierę w zagranicznych ośrodkach badawczych. – Zawsze marzyłam, aby pracować w Polsce. Zazdrościłem kolegom z Zachodu tego, że mogą robić naukę na wysokim poziomie w kraju, z którego pochodzą – przyznaje dr Michał Ślęzak, który po wielu latach wrócił, aby pracować w Polsce. Jak tłumaczy, przekonała go wizja stworzenia nowego instytutu na poziomie europejskim. – Nie tak zhierarchizowanego, tylko budowanego na strategii zatrudniania dobrych naukowców, młodych ludzi, którzy zdobyli już doświadczenie międzynarodowe, prowadzili grupy badawcze – podkreśla.

Pierwsze oferty pracy w ramach programu „Dwa tysiące miejsc pracy” opublikowano już na stronie internetowej Sieci Badawczej Łukasiewicz. (lukasiewicz.gov.pl/kariera/) – Proponujemy dobre warunki zatrudnienia, styl i kulturę pracy jak w najlepszych zachodnich organizacjach naukowych. Zapraszamy do współpracy, a w zasadzie do pracy – zachęcał podczas konferencji prezes Dardziński.



Łukasz Warzecha

Rafał Trzaskowski, zachowujący wizerunek „młodego polityka”, ma i plany, i ambicje, i szanse na to, żeby je realizować. A to oznacza, że w którymś momencie w całej Polsce mogą zacząć dziać się pod jego patronatem rzeczy takie, jakie dzieją się w Warszawie

Zwykle najlepiej w sondażach zaufania wypadają ci politycy, których wpływ na rządzenie jest żaden lub znikomy, ale którzy mają sposobność, aby lansować się w wielu miejscach. Idealnie nadaje się do tego stanowisko prezydenta dużego miasta. Korzysta na tym Rafał Trzaskowski.

W listopadzie w sondażu zaufania do polityków (IBRiS dla Onet.pl) prezydent Warszawy znalazł się na pierwszym miejscu z 42 proc. Jego wynik we wrześniu był jeszcze lepszy: ponad 46 proc. Z kolei w październiku w sondażu państwowego CBOS Trzaskowski wylądował na drugim miejscu z 41 proc., a o 10 punktów procentowych wyprzedzał go prezydent Andrzej Duda. Ogólnie rzecz biorąc, prezydent Warszawy w sondażach zaufania regularnie notuje wyniki na poziomie ponad 40 proc., grubo wyprzedzając swojego szefa Donalda Tuska, który jest zwykle na podium – tyle że po drugiej stronie, w rankingu nieufności. Skąd ta fascynacja Trzaskowskim i co właściwie robi w stolicy?

UDERZENIE W KIEROWCÓW

Sobota wczesnym popołudniem. Ulica Puławska w Warszawie na odcinku od Piaseczna do granicy Ursynowa niemal cały czas stoi w korku. To czas, kiedy normalnie powinno się dać ten odcinek przejechać w najwyżej 10 minut, i to bez przekraczania prędkości. Zamiast tego jedzie się co najmniej dwa razy dłużej lub nawet więcej. Przyczyną jest buspas, który warszawski Zarząd Dróg Miejskich wytoczył na całym tym odcinku.

Na jednej z najbardziej obciążonych warszawskich ulic, łączącej południowe przedmieścia stolicy z miastem, z trzech istniejących pasów kierowcom odebrano jeden. Nic dziwnego, że korki biją rekordy.

Warszawa i Polska według Rafała Trzaskowskiego

Miasto stołeczne tłumaczyło, że wytyczenie buspasa stało się możliwe, bo otwarto równoległą do Puławskiej ekspresówkę S17. Problem w tym, że gotowy jest tylko jej niewielki odcinek, a dojechanie do niej z podwarszawskich miejscowości zajmuje bardzo dużo czasu. Korki tworzą się i tam. Infrastruktura jest do tego kompletnie niedostosowana. Miasto się tym nie przejmuje. Nie przeprowadzono

żadnych wcześniejszych symulacji ruchu, a w odpowiedzi na wściekłość i protesty stwierdzono, że może łaskawie buspas będzie obowiązywał tylko w dni powszednie w określonych godzinach zamiast – jak teraz – 24 godziny siedem dni w tygodniu. Nic dziwnego, że coraz więcej kierowców buspas po prostu ignoruje.

Wydawałoby się, że to postępowanie całkowicie ze strony miasta Warszawy



całkiem wprost powiedział, że jego celem jest wyrzucenie samochodów z centrum i temu podporządkowane są wszystkie jego działania, co publiczności się nie spodobało. Zatem, jak można domniemywać, również buspas na Puławskiej wpisuje się w tę strategię. Prezydent stolicy chciałby, żeby Warszawa była pod tym względem jak Nowy Jork czy Londyn. Nie bierze jednak pod uwagę, że oba te miasta mają o wiele bardziej rozwinięty system transportu publicznego, inną demografię, a ich mieszkańcy mają inne potrzeby i inny styl życia.

Kto mieszka w Warszawie, ten może sam ocenić wybitne dokonania prezydenta Trzaskowskiego w dziedzinie organizacji ruchu. Znaczną część Śródmieścia i Mokotowa sparaliżowała właśnie na wiele miesięcy budowa szumnie reklamowanej trasy tramwajowej na Wilanów, przy czym tak naprawdę trasa tramwaju wcale do dużych osiedli wilanowskich nie sięgnie. Pozamykano kilometry jezdni, a tymczasem na budowie nie dzieje się niemal nic. Indagowany w tej sprawie wykonawca, Budimex, pod koniec października informował, że zaangażowanych jest ok. 170 osób. Jak na rozmiar paraliżu komunikacyjnego to komiczne. Tym bardziej że z wyjaśnień wynikało, że w tej liczbie jest... 90 projektantów oraz 80 inżynierów, pracowników biurowych i fizycznych. Frakcja pracowników fizycznych nie została wyszczególniona, ale obserwując budowę na żywo, można domniemywać, że może to być kilkanaście osób.

ABSURDALNE STREFY TEMPO 30

Za rządów Trzaskowskiego zwięzono w stolicy wiele ulic, powytyczano zbędne przejścia naziemne tam, gdzie były przejścia podziemne, doprowadzając do dodatkowych utrudnień dla samochodów – tak stało się np. w Alejach Jerozolimskich obok Dworca Centralnego. Likwiduje się na potęgę miejsca parkingowe, co Zarząd Dróg Miejskich uzasadnia „uporządkowaniem”. Tak stało się na Ochocie, gdzie wkurzeni mieszkańcy dokumentują na zdjęciach, jak odebrano im miejsca, zamieniając parkowanie prostopadłe na równoległe. Na ogół oznacza to spadek liczby stanowisk parkingowych co najmniej o połowę. Z warszawskim ZDM walczą mieszkańcy Pragi-Północ, którym grozi podobna sytuacja.

Najnowszy, skrajnie już absurdalny pomysł warszawskiego ratusza to stworzenie na niemal wszystkich ulicach w mieście (poza tzw. rozprowadzającymi

nieracjonalne. Przecież skoro z powodu otwarcia alternatywnej drogi tłok na Puławskiej się zmniejszył, to po co uruchamiać na niej buspas, którego celem ma być usprawnienie ruchu autobusów? Te zresztą tkwią nadal w korkach, nawet większych, przed początkiem buspasa.

Ale nie – wszystko się zgadza, ponieważ wcale nie chodzi tu o usprawnienie komunikacji autobusowej. Chodzi wyłączać

nie o uderzenie w kierowców. Trzaskowski był niedawno gościem Amerykańskiej Izby Handlowej, która regularnie organizuje w Warszawie spotkania swoich członków z ważnymi politykami. „To był chyba pierwszy raz, kiedy uczestnicy spotkania regularnie zaatakowali gościa” – opowiada mi osoba obecna na spotkaniu. Chodziło właśnie o ruch samochodowy i budowę parkingów. Trzaskowski

FOT. ANDRZEJ HILUKA / FOTUM

■ i przelotowymi) strefy Tempo 30, czyli wprowadzenia ograniczenia prędkości do 30 km/h. Konsultacje w tej sprawie ludzie prezydenta Trzaskowskiego ustawili tak, aby nie dopuścić do zgromadzenia się przeciwników tego pomysłu w jednym miejscu. Mają one mieć wyłącznie postać zdalną, a i o tych informację nie jest łatwo znaleźć. Mapa Warszawy z naniesionymi strefami Tempo 30 robi porażające wrażenie. Jasne jest jednak, że nie chodzi tutaj o bezpieczeństwo, jak to próbuje uzasadniać ratusz, ale znów o to samo: zniechęcenie ludzi do korzystania z prywatnego transportu samochodowego. Jazda po mieście ma się stać tak uciążliwa, żeby dla przynajmniej jakiejś części kierowców stała się nieopłacalna. Przy tym ratusz nie przeprowadza żadnych analiz, które pokazywałyby, jak to wpłynie na biznes albo na emisję spalin, jeśli kierowcy jednak nie poddadzą się inżynierii społecznej.

Na czele ZDM w stolicy stoi wypróbowany człowiek od gnębienia kierowców – Łukasz Puchalski, poprzednio warszawski pełnomocnik rowerowy. Gdy powoływano go na to stanowisko jeszcze w 2015 r., entuzjazmowało się m.in. stowarzyszenie Miasto Jest Nasze, wyjątkowo rakotwórcza struktura, wspierająca najgorsze antysamochodowe przedsięwzięcia. Znakiem firmowym tej polityki jest przebudowa placu Pięciu Rogów (zwyczajowa nazwa określająca zbieg ulic Zgody, Brackiej i Szpitalnej). Dla kierowców zamknięto jeden z najważniejszych ciągów komunikacyjnych w centrum, a w zamian stworzono betonowy wygwizdów, jednocześnie sprawiając, że w okolicy, szczególnie wieczorami w weekendy, kierowcy wykorzystują każdy wolny centymetr, aby zaparkować.

BLOKOWANIE MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI I FINANSOWANIE LGBT

Walka z kierowcami (nie z samochodami – samochody to nie samodzielne organizmy) to dzisiaj znak firmowy prezydenta Trzaskowskiego. Ale nie można zapominać o innych, bardziej symbolicznych dziedzinach jego działalności. Trzaskowski, reprezentujący przecież teoretycznie partię liberalną, czyli ceniącą sobie wolność słowa, wielokrotnie próbował zablokować Marsz Niepodległości. Udało mu się to prawie w ubiegłym roku – marsz legalnie mógł się odbyć jedynie dzięki temu, że został uznany za wydarzenie państwowe decyzją szefa Urzędu ds. Kombatantów

i Osób Represjonowanych. Trudno sobie wyobrazić, jakie byłyby konsekwencje, gdyby Trzaskowskiemu się powiodło – wiadomo przecież, że i tak 11 listopada zebrałyby się dziesiątki tysięcy ludzi, a byłoby to zgromadzenie nielegalne.

Trzaskowski skarżył się później, że w związku z wydarzeniem Warszawa poniosła koszty przekraczające 400 tys. zł. Nigdy nie podsumowywał w ten sposób choćby Parady Równości ani żadnej innej imprezy. A przecież każda generuje dla miasta koszt. To cena korzystania przez obywateli z wolności do manifestowania swoich poglądów.

Z Paradą Równości Trzaskowski nie tylko nie ma problemu, lecz także w tym

Jazda po mieście ma się stać tak uciążliwa, żeby przynajmniej dla jakiejś części kierowców stała się nieopłacalna

roku objął ją swoim patronatem i sam wziął w niej udział. „Zśliśmy po szacunek, równość, tolerancję. Dla wszystkich” – entuzjazmował się później prezydent Warszawy na Twitterze. Dla wszystkich – chyba że chodzi o uczestników Marszu Niepodległości, bo wtedy to nie. Udział Trzaskowskiego w paradzie to zapewne próba wynagrodzenia środowiskom LGBT nieobecności na protestach z 2020 r., kiedy to ekscytację lewicy wywołały działania policji i prokuratury wobec Michała Szutowicza, przedstawiającego się jako Margot (jego tzw. kolektyw prowadził potem zbiórkę publiczną, z której nie musiał się rozliczać, jak dowiódł Marcin Dobski, wtedy dziennikarz „Wprost”).

W 2019 r. Rafał Trzaskowski podpisał Deklarację LGBT+. Powiedział wówczas: „W ducha miasta stołecznego Warszawy od zawsze wpisana jest różnorodność i tolerancja. Obiecywałem Warszawę dla wszystkich i słowa dotrzymuję”. Warszawa ma być dla wszystkich, oprócz kierowców czy naradocistów. Rozumienie słowa „wszyscy” przez Rafała Trzaskowskiego jest bardzo szczególne. Nie obejmuje np. kierowców.

W grudniu ubiegłego roku w ursynowskim samorządowym centrum kultury Alternatywy uruchomiono finansowane

przez miasto centrum wsparcia dla rodziców osób LGBT. „Projekt jest realizacją nie tylko założeń Warszawy, jako miasta różnorodnego i dla wszystkich, lecz także odpowiedzią na rosnącą liczbę samookaleczeń i prób samobójczych wśród uczniów. Nie chcemy i nie możemy pozostać na to obojętni – zwłaszcza w dobie ataków i wykorzystywania sytuacji mniejszości do budowania kapitału politycznego przez niektóre ugrupowania” – mówił dyrektor ośrodka Krzysztof Czubaszek. Oczywiście „wsparcie” polega faktycznie na promocji jednego entuzjastycznego wobec środowisk LGBT punktu widzenia.

Jeszcze w 2019 r. z inicjatywy Rafała Trzaskowskiego w warszawskich szkołach miały się odbywać lekcje na temat mowy nienawiści. „Nienawiść ma niszczycielskie skutki. A wszystko zaczyna się od słów. Dlatego w warszawskich szkołach jeszcze przed feriami zostaną przeprowadzone lekcje na temat tego, jak reagować i przeciwdziałać mowie nienawiści” – anonsował Trzaskowski na Twitterze, dziękując za inspirację Jackowi Sutrykowi, skrajnie lewicowemu prezydentowi Wrocławia. Trzaskowski zilustrował swój tweet zdjęciami z „podręcznika”, który miał towarzyszyć lekcjom. Zgodnie z pokazaną tam piramidką do eksterminacji danej grupy prowadzić mają nawet niestosowne żarty. Innymi słowy – zaczyna się od żartów, a kończy na komorach gazowych. Plan Trzaskowskiego wywołał wzburzenie dużej części rodziców, bo też zakładał prowadzenie regularnej indoktrynacji.

Jaką politykę w tych kwestiach zamierza realizować, Trzaskowski pokazał jasno po zwycięstwie w wyborach w 2018 r., powołując na swojego pierwszego zastępcę Pawła Rabejia z Nowoczesnej, zwolennika postępowej agendy. Rabej był uznawany za dekorację w ratuszu, a funkcję miał pełnić tylko po to, żeby Trzaskowski mógł się chwalić, że zatrudnił zdeklarowanego homoseksualistę. W końcu prezydent stolicy był zmuszony Rabejia odwołać, kiedy w 2020 r. wiceprezydent wyjechał sobie na wakacje w apogeum lockdownu. Powszechnie sądzono jednak, że był to tylko pretekst, a tak naprawdę chodziło o przejęcie Nowoczesnej i jej elektoratu.

TRAMPOLINA DO KARIERY

Można by uznać, że wszystko to – a to jedynie wybrane elementy działalności Rafała Trzaskowskiego, pokazujące jednak wystarczająco wyraźnie przyjęty przez

niego profil ideowy – to po prostu lokalny koloryt dużego miasta, a już szczególnie stolicy z jej bardzo specyficzną atmosferą i mieszkańcami. W jakimś stopniu to prawda – ale takie podejście nie uwzględnia, że stolica miała być dla wielu polityków punktem wyjścia do dalszej kariery. Lech Kaczyński z warszawskiego ratusza przeprowadził się do Pałacu Prezydenckiego, ale nie mniejsze ambicje miała Hanna Gronkiewicz-Waltz, jego następczyni, choć jej akurat się nie powiodło. Ambicje Rafała Trzaskowskiego nie pozostawiają wątpliwości, a Warszawa jest dla swojego obecnego prezydenta sposobem na zdemonstrowanie oferty dla całego kraju.

W 2020 r. prezydent Warszawy otarł się przecież o wygraną w wyborach prezydenckich. PO, korzystając z zamieszania związanego z terminem wyborów przełożonym ze względu na epidemię, zmieniła kandydata na prezydenta. Małgorzata Kidawa-Błońska ustąpiła prezydentowi stolicy i była to trafiona zmiana. Prorządowe media specjalizowały się w kpinach z Trzaskowskiego, ale faktem jest, że udało mu się zdobyć ponad 10 mln głosów. Andrzej Duda wygrał raptem dwoma punktami procentowymi, mniej więcej 400 tys. głosów (pięć lat wcześniej jego przewaga wyniosła ponad trzy punkty). Trzaskowski co prawda swoje zwycięstwo w dużej mierze zmarnował, zwlekając z uruchomieniem ruchu, który miał bazować na jego wyniku wyborczym.

Gdy rok później do polskiego życia publicznego wrócił na dobre Donald Tusk, Trzaskowski miał więc ograniczone zasoby, ale nie był pozbawiony atutów. Jednym z nich była jego własna autorska impreza – Campus Polska Przyszłości. Tusk mógł być tam tylko gościem – i był, bo trudno było go nie zaprosić, ale jasne było, że nie jest w centrum uwagi. Na Campusie Trzaskowski prezentuje swoją propozycję dla całego kraju, a przy okazji cierpliwie buduje swoje środowisko polityczne sensu largo. Czyli coś, z czym ma problem Tusk.

Campus należy czytać w całości, biorąc pod uwagę listę tematów oraz zaproszonych osób. Są wśród nich oczywiście politycy Platformy, a także Szymon Hołownia czy Władysław Kosiniak-Kamysz; są przedstawiciele think tanków z bardzo różnych stron, tacy jak Michał Baranowski (German Marshall Fund), Edwin Bendyk (Fundacja Batorego), Piotr Trudnowski (Klub Jagielloński), Katarzyna

Szymielewicz (Fundacja Panoptykon); są dziennikarze (tacy jak koncesjonowany katolik Tomasz Terlikowski, koncesjonowany ksiądz Kazimierz Sowa, Magdalena Rigamonti z Onetu czy Aleksandra Pawlicka z „Newsweeka”); są różnego rodzaju działacze, eksperci, aktywiści. Kluczem do tego towarzystwa jest dość czytelny: ma być różnorodnie, także jeśli chodzi o tematy, a ponadto mają zostać przekroczone granice typowej partyjnej bańki – natomiast wszystko ma się mieścić w granicach szeroko pojmowanego lewicowo-liberalnego paradygmatu. Jeżeli zdarzają się odstępstwa, to są pozorne (jak w przypadku choćby Terlikowskiego), a co do zasady na tyle nieliczne, że nie zmieniają wydzźwięku całości.

Co ważne, liberalizm jest tutaj rozumiany niemal wyłącznie światopoglądowo, a nie ekonomicznie. Na tegorocznej edycji Campusu nie było już Leszka Balcerowicza, który – broniąc klasycznych liberalnych wartości – stał się rok wcześniej z młodzieżą zgromadzoną na imprezie. Prawicowi komentatorzy w większości okazywali Schadenfreude z powodu tego, co spotkało „dziadka” Balcerowicza, nie dostrzegając, że ekonomista wystąpił wtedy w obronie prawdziwie liberalnego pojmowania wolności słowa. Został bowiem zaatakowany za uwzględnianie w analizach Forum Obywatelskiego Rozwoju poglądów, które dla gości Trzaskowskiego były „negacjonizmem klimatycznym”. Broniąc się przed zarzutami, odwołał się właśnie do wolności poglądów.

Szczególne znaczenie na tegorocznym Campusie miała obecność Marka Brzezińskiego, ambasadora USA, a także Anne Clunes, ambasador Wielkiej Brytanii, Andersa Eide, ambasadora Norwegii, Stefana Gullgrena, ambasadora Szwecji czy Leslie Scanlon, ambasador Kanady. Ta liczna reprezentacja dyplomatów była z jednej strony demonstracją organizatorów – zobaczcie, kto przyjeżdża na nasze zaproszenie, z drugiej – obecnych na Campusie ambasadorów, którzy w ten sposób pokazali, że bliska jest im linia polityczna Trzaskowskiego. Nie sposób bowiem uznać, żeby zawodowi dyplomaci nie mieli świadomości, jaką imprezę odwiedzają i jakie ma ona znaczenie.

Interesujące było również starcie Trzaskowskiego z Hołownią podczas ich wspólnego występu, gdy w dyskusji pojawił się temat aborcji. Szymon Hołownia wywołał wśród publiczności pomruki niezadowolenia, nie opowiedziawszy się

W Polsce Trzaskowskiego realizowana byłaby wizja ograniczania wolności tym, którzy nie popierają lewicowego paradygmatu

jednoznacznie za swobodą dokonywania aborcji. Zamiast tego zaczął kluczyć, mówiąc o referendum. Trzaskowski oczywiście żadnych oporów nie miał i przedstawił klasyczną narrację o wyborze kobiety, całkowicie pomijając, że ten wybór nie dotyczy przecież jedynie jej życia.

Dzisiaj głównym zmartwieniem Donalda Tuska jest nie Trzaskowski, lecz dotychczasowe niepowodzenie planów podporządkowania Platformie innych partii „opozycji demokratycznej” (jak politycy PO nazywają ugrupowania opozycyjne poza Konfederacją). To, co jest kłopotem dla Tuska, może być jednak atutem Trzaskowskiego. Jeżeli opozycji nie uda się sformować przynajmniej dwóch list, a PO podporządkować sobie przynajmniej Lewicy, to będzie to widziane wewnątrz Platformy jako porażka jej lidera, który sam jest częścią problemu. Jako wytrawny i bezwzględny gracz polityczny nie budzi zaufania ewentualnych partnerów na podobnej zasadzie, jak nie budzi go Jarosław Kaczyński. Wydaje się, że łatwiej byłoby im strawić przymierze z PO, gdyby na jej czele stał Rafał Trzaskowski. Niewykluczone, że również dlatego, iż uważają go za polityka mniej sprawnego, mniej wypracowanego, a zatem łatwiejszego do ogrania niż Tusk.

Jedno jest pewne: 50-letni dzisiaj Trzaskowski, zachowujący wizerunek „młodego polityka”, ma i plany, i ambicje, i szanse na to, żeby je realizować. A to oznacza, że w którymś momencie w całej Polsce mogą zacząć dziać się pod jego patronatem rzeczy takie, jakie dzieją się w Warszawie. Czy patronowałby im jako prezydent czy jako szef rządu, realizowana byłaby wizja radykalnego ograniczania wolności tym, którzy nie podpisują się pod lewicowym paradygmatem. Uzupełniając słowa Trzaskowskiego, wypowiedziane przy okazji podpisywania warszawskiej deklaracji LGBT+, wolność jest dla wszystkich. O ile mają jedynie słuszne poglądy. Pozostali mają milczeć i się podporządkować.

Zamieszanie wokół ewentualnego rozlokowania w Polsce niemieckich rakiet obrony przeciwlotniczej Patriot przypomina kabaretowy skecz, z gatunku „wszystkim chodzi o coś zupełnie innego, niż mówią”. W dodatku skecz się spodobał i publiczności, i samym protagonistom, tak że, mimo iż temat wydał się wyczerpany już po kilku pierwszych kwestiach, zainteresowani ciągną go, dodając kolejne kwestie, zwroty i „zwischenruffy”. Zanim ten tekst dotrze do czytelników, liczba osób publicznych wypowiadających się na ten temat w Polsce, Niemczech i innych krajach zapewne znacznie wzrośnie, co spowoduje proporcjonalny przyrost poświęconych sprawie komentarzy. Ponieważ jednak i tak nic to do sprawy nie wniesie, bo nie ma do czego, nie musimy z jej podsumowaniem czekać.

Wystarczy, że zapamiętamy punkt wyjścia – a był nim upadek zbłąkanej rakiety przeciwlotniczej (zdaniem wszystkich poza oficjalnymi czynnikami Ukrainy wystrzelonej przez ukraińską OPL przeciwko rosyjskim pociskom manewrującym) w przygranicznej polskiej miejscowości Przewodowie, wskutek czego śmierć poniosło dwóch jej mieszkańców. Ponieważ przez jakiś czas nie było pewności, czy nie był to atak Rosji na kraj NATO i czy w takim razie nie mamy do czynienia z początkiem zupełnie nowej wojny, mogącej doprowadzić do konfliktu globalnego, Polska przez moment znalazła się w centrum uwagi światowych mediów.

I ten właśnie moment skupienia na Polsce uwagi mediów postanowiła wykorzystać niemiecka minister obrony Christine Lambrecht, żeby zadeklarować gotowość przekazania nam rakiet Patriot (w liczbie: jedna wyrzutnia z obsługą) do obrony naszej wschodniej granicy.

NIEMIECKI PR

Gdyby gotowość Niemiec do pomocy w ochronie naszej granicy była na serio, ta deklaracja nie byłaby składana do kamer – nie trzeba wielkiej wiedzy wojskowej, by zdawać sobie sprawę, że samo przyturlanie pod polsko-ukraińską granicę jednej z niemieckich wyrzutni antyrakiet nie miałoby sensu bez zgrania jej z polskimi systemami OPL i włączenia w polski system dowodzenia. To zaś wymagałoby szczegółowych ustaleń na niższym szczeblu – i od takich ustaleń, czynionych dyskretnie odpowiednimi kanałami, się podobne inicjatywy zaczyna, a nie od deklaracji dla mediów.



Grill z patriotami



Rafał A. Ziemkiewicz

W sprawie przekazania systemów Patriot Niemcy wespół z naszą opozycją będą grillować Polskę przed światem. Choć to my mogliśmy – i powinniśmy – grillować ich

Wypowiedź pani Lambrecht miała więc charakter czysto PR-owski. Niemcy w związku z wojną na Ukrainie przechodzą najgorszy od dziesięcioleci kryzys wizerunkowy. Usiłują mu oczywiście przeciwdziałać, w beczelny sposób wmawiając światu, że nikt – poza USA, z którymi nie sposób w tej kwestii rywalizować – nie pomaga Ukrainie tak bardzo i nie wysyła jej tak wiele broni, jak właśnie Niemcy. Świat jednak nie za bardzo chce wierzyć w księgowo sztuczki, za pomocą których pomnożono wartość faktyczne udzielonej i obiecanej pomocy, nawet jeśli do upowszechniania propagandy Berlina zatrudniła się tak wpływowa publicystka jak Anne Apple-

baum, która na łamach „The Atlantic” przekonywała niedawno Amerykanów, że Niemcy przekazują Ukrainie nie tylko więcej broni, lecz także najnowocześniejszej, podczas gdy Polska dała posowieckiej rupiecie (w rzeczywistości broń z Polski poza tym, że przyszła w momencie, gdy jej najbardziej potrzebowano, mogła od razu wchodzić do walki, bo żołnierze ukraińscy byli na podobnej szkoleni, może też być na Ukrainie serwisowana – podczas gdy obsługa sprzętu niemieckiego wymagała długich szkoleń, a na dodatek Niemcy jak dotąd dostarczają go bez części zamiennych, więc po pewnym czasie wypada on z linii w powodu zużycia).



FOT. ANDRZEJ STOK

Niemcy winią swą minister obrony. Trudno powiedzieć, czy Christine Lambrecht jest rzeczywiście tak złą minister (zapewne nie lepszą niż jej poprzedniczka von der Leyen, której nie przypadkiem pozbyto się z niemieckiej polityki, wysyłając ją do Komisji Europejskiej), ale bez wątpienia stała się ona dla niemieckich mediów kozłem ofiarnym, winionym także za rzeczy, na które nie ma wpływu.

Skwapliwe ogłoszenie wsparcia dla Polski w chronieniu swego nieba miało poprawić wizerunek zarówno Niemiec, oskarżanych coraz powszechniej o rolę „rosyjskiego konia trojańskiego” w NATO, jak i samej pani minister – nic na dodatek nie kosztując. Powiedzieć „przekazemy Polsce rakiety” a faktycznie je przekazać – to zupełnie różne sprawy i nie trzeba nawet pamiętać o leopardach dla Polski ani „silnej brygadzie bojowej” na Litwie, by wyobrazić sobie, ile przeszkód mogłoby zająć po drodze, opóźniając realizację szczodroblwej darowizny.

DALIŚMY POWÓD, BY SIĘ WYCOFALI

Skoro rzecz miała od początku charakter czysto propagandowy, to stronie polskiej nie pozostawało nic innego niż przyjąć tę samą konwencję, oznajmić z uśmiechem, że każda pomoc się przyda, a potem nie tracić żadnej okazji, żeby co kilka miesięcy, albo i co miesiąc, w miarę możliwości w chwilach analogicznego zwiększonego zainteresowania światowych mediów Polską i regionem, uprzejmie przypominać Niemcom o złożonej obietnicy i pytać, z jakich tym razem przyczyn jej realizacja znowu się odwleka.

Tym bardziej że wbrew oczekiwaniom pani minister jej gest nie został wcale dobrze przyjęty w samych Niemczech. Już kilka godzin po jego ogłoszeniu i po wstępnej reakcji ministra Błaszczaka – wtedy jeszcze zgodnej z tym, co napisano powyżej – „Bild” skrytykował Lambrecht na swej stronie internetowej, żądając, by zamiast Polsce, przekazała patrioty raczej Ukrainie. Nie sądzę, aby niemieckie publikacje dotarły do Jarosława Kaczyńskiego i wpłynęły na niego, mamy tu raczej do czynienia z przypadkową zbieżnością – ale faktem jest, że niedługo później wystąpił on z podobną tezą. Kilka godzin później dostosował do niej swą linię minister Błaszczak.

Czym kierował się prezes PiS, nietrudno zgadnąć: najwyraźniej potraktował

on sprawę tak, jakby patrioty miały być na serio, naprawdę, a nie tylko jako „fakt prasowy”. Gdyby miały być na serio, to rzeczywiście, tak jak rzekł prezes, mogłyby lepiej ochronić Polskę, gdyby stały na Ukrainie (przy okazji broniąc też jej samej). Na jednym z forów poświęconych obronności znalazłem wyliczenia, że gdyby hipotetyczna niemiecka bateria stała w optymalnym miejscu, ale w granicach Polski, to od momentu wykrycia lecącej na Przewodów rakiety operator miałby na podjęcie decyzji o jej zestrzeleniu mniej niż pięć sekund.

„Co tam jednak gadać o tym” – jak mawiał bohater „Lalki”. Wysłanie patriotów na Ukrainę wraz z niemiecką obsługą (a Niemcy nie proponowali wszak przekazania samego sprzętu, w tym właśnie haczyk, czyniący ten akt pomocy w praktyce niewykonalnym) mogłoby stanowić „casus belli” dla Rosji, co Niemcy skwapliwie wykorzystali, by de facto wycofać się z propozycji, której sami już zaczęli żałować, i to w sposób upokarzający dla Polski: patrzcie, chcieliśmy tym Polakom pomóc, ale z nimi nigdy się nie da dogadać. Co prawda, sekretarz generalny NATO nie dał się wciągnąć w te narracje, jednoznacznie się od udziału w polsko-niemieckich dysputach odcinając, ale w sukurs Niemcom przyszły, jak zwykle, tutejsza lewicowo-liberalna opozycja i jej media, budując narrację o rzekomej „fobii” Kaczyńskiego, który tak nienawidzi Niemiec, że nawet gdy chcieli nas bronić, to... etc.

W tej sytuacji nie pozostało nam nic innego niż deklaracje, że jeśli jednak Niemcy nie chcą bronić Ukrainy, to my chętnie prezent przyjmujemy. To już nie brzmiało dobrze – najlepszy dowód, że choć sama minister Lambrecht ogłosiła w wywiadzie, że Polska najpierw zachowywała się właściwie, ale potem „nastąpił niezrozumiały zwrot” i przyjęcia daru dobrej woli odmówiła, sugerując zamknięcie sprawy, wątek podchwycił jej przełożony, kanclerz Scholz, ogłaszając, że „niemiecka propozycja wciąż jest na stole”.

Wnoszę z tego, że Niemcy zdecydowani są wykorzystać polski błąd i wespół z miścisławem opozycją grillować Polskę przed światem sprawą, którą my mogliśmy – i powinniśmy – grillować ich. Trudno im się dziwić – polityczna gra ma swoje zasady. A że my wciąż się ich nie możemy nauczyć, to już nasz problem, niczyj inny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Melnykiem prosto w twarz



Jan Fiedorczuk

Awans Andrija Melnyka na wiceszefa ukraińskiego MSZ świadczy o całkowitym lekceważeniu naszego państwa przez Kijów. Ukraina została przyzwyczajona do tego, że w żaden sposób nie musi zabiegać o polskie względy, więc trudno mieć do niej pretensje, że korzysta z tej luksusowej pozycji

Powołanie Andrija Melnyka na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych w teorii zostało negatywnie ocenione zarówno przez PiS, jak i opozycję. A jednak łatwo dostrzec, że nawet te krytyczne głosy padające pod adresem ukraińskich władz były niezwykle wstrzemięźliwe, by nie rzec – bojaźliwe. Nie sposób nie zauważyć, że obecna sytuacja paraliżuje polskich polityków, którzy nie są zdolni do choćby drobnej krytyki ukraińskiej strony, i to nawet wtedy, gdy jest ona ze wszech miar zasadna.

Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak przyznał co prawda, że nominacja Melnyka to „zły sygnał”, z którego cieszyć się będzie wyłącznie Władimir Putin, a ówczesny rzecznik PiS Radosław Fogiel ocenił całe zdarzenie jako „niefortunne”, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że polskie władze po prostu zrezygnowały. Szczególnie smuci postawa prezydenta Andrzeja Dudy, który zdobył

się jedynie na lakoniczne stwierdzenie, że są to „suwerenne decyzje, które podejmują władze ukraińskie”, a dopytywany o kontrowersje wokół osoby Melnyka dodał, że „będzie trzeba widocznie pana ministra poprosić o to, żeby sobie jednak trochę doczytał faktów historycznych, żeby miał obiektywne spojrzenie”. Aby zrozumieć ciężar tych słów, spróbujmy wyobrazić sobie, że kanclerz Olaf Scholz powołuje na wiceszefa dyplomacji osobę negującą niemieckie zbrodnie dokonane na Polakach w czasie drugiej wojny światowej. Czy wówczas prezydent Duda również broniłby suwerennych decyzji Berlina oraz proponował korepetycje z historii?

Sam Melnyk, informując o swojej nominacji na stanowisko wiceszefa MSZ, zapowiadał polityczną „rozbóję”. „Let’s Get Ready to Rumble” – napisał dyplomata na Twitterze, co – jak się wkrótce okazało – nie było czczą przechwałką. Całości dopełniało dołączone do wpisu zdjęcie,

na którym polityk pozował z pięścią uniesioną w bokserkim geście. Było to trafne oddanie jego podejścia do dyplomacji.

DYPLOMATA Z TWITTERA

Naprawdę głośno o Melnyku zrobiło się po raz pierwszy kilka miesięcy temu za sprawą jego skandalicznych wypowiedzi relatywizujących zbrodnie wołyńską oraz broniących samego Bandery i jego siepaczy.

W rozmowie z niemieckim dziennikarzem Tilo Jungiem ówczesny ambasador przekonywał, że Ukraińcy byli w II RP „uciskani w taki sposób, że trudno to sobie wyobrazić”. – Polacy byli dla nas takimi samymi wrogami jak nazistowskie Niemcy czy Sowietci – mówił polityk. Gdy niemiecki dziennikarz zwrócił mu uwagę, że polityka II RP nie usprawiedliwia masowych mordów na ludności cywilnej, Melnyk odparł jedynie, że „takiej samej masakry na Ukraińcach dokonali Polacy [...]”, a teraz Polska stara się upolitycznić tę historię.

FOT. MICHAEL KAPPEL/DPA/AP/EST NEWS

Każdy obdarzony minimalnym poczuciem wrażliwości jest w stanie zrozumieć, jak bolesne i niesprawiedliwe dla polskiej strony były słowa zrównujące żołnierzy i władzę II RP z niemieckimi zbrodniarzami. Zachowanie Melnyka było szczególnie szokujące, jeżeli uwzględnimy fakt, że te słowa padły pół roku po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji, czyli w momencie, gdy los Ukrainy (przynajmniej w pewnym stopniu) zależał od dyplomatycznej ofensywy polskich władz na europejskich salonach. Kto jak kto, ale akurat ambasador w Berlinie powinien być tego świadom. Bez względu na intencje Zełenskigo nie można się zatem dziwić, że awans Melnyka został potraktowany jako policzek wymierzony Polsce.

Jeżeli ktokolwiek jeszcze liczył, że po swym awansie Melnyk będzie potrafił oddzielić prywatne poglądy od sprawowanej funkcji w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, to sam polityk szybko rozwiązał takie złudzenia, wdając się w wiele pyskówek na... Twitterze.

Zaczął się bodaj od wpisu wykładowy UKSW prof. Adama Wielomskiego, który postawił tezę, że awans Melnyka „jest pstryczkiem dla Polski, ponieważ nie przyjęliśmy ukraińskiej wersji incydentu z raketą pod Hrubieszowem”. Ukraiński dyplomata szybko odpisał politologowi: „Uwielbiam twoje szalone teorie spiskowe”.

Nowo powołany dyplomata nie poprzestał na tym i kontynuował internetową batalię z kolejnymi polskimi politykami i dziennikarzami, którzy pozwolili sobie na publiczną krytykę jego osoby. I tak Melnyk wdał się w dyskusję m.in. z Leszkiem Millerem, Witoldem Gadowskim, Konradem Berkowiczem czy Januszem Korwin-Mikkem. Wszystkim im odpisując w podobny, opryskliwy sposób. Z kolei Krystiana Kamińskiego, posła Konfederacji, po prostu zablokował na Twitterze za to, że ten przypomniał antypolskie wypowiedzi wiceszefa MSZ. Blokowanie posłów sojuszniczego państwa to zaiste niespotykany sposób prowadzenia dyplomacji.

Na swoim oficjalnym koncie na Twitterze Melnyk ma zamieszczoną adnotację, że publikowane przez niego wpisy prezentują wyłącznie jego prywatne poglądy i nie można ich utożsamiać ze stanowiskiem Ukrainy. Problem w tym, że w dyplomacji nie ma czegoś takiego jak „publicznie wyrażane prywatne opinie”, a zatem zaczepki ukraińskiego

dyplomaty należy traktować jako oficjalne stanowisko Kijowa.

UKRAINA JUŻ NIC NIE MUSI

Jakkolwiek trudno dostrzec w działaniach Zełenskigo – który ponoć już kilka miesięcy temu osobiście proponował Melnykowi awans – jakąś antypolską pobudkę, to niewątpliwie sama postać wiceszefa dyplomacji jest dobrym probierzem stosunków polsko-ukraińskich. Powołanie słynącego z antypolskich wypowiedzi polityka na stanowisko wiceministra pokazuje jedynie poziom relacji między dwoma państwami.

Gdy pół roku temu rzecznik polskiego MSZ Łukasz Jasina ogłosił, że Polacy będą „sługami narodu ukraińskiego”, to zapewne sam się nie spodziewał, jak trafne okaże się to określenie. W czasie ostatnich miesięcy mogliśmy sami zobaczyć, że na wielu poziomach interes polski został de facto utożsamiony z ukraińskim. I oczywiście Polsce zależy na osłabieniu Rosji, a także na tym, aby Ukraina obroniła swoją suwerenność – to truizm – ale nawet jeżeli interesy Warszawy i Kijowa są w wielu aspektach zbieżne, to przecież nie są tożsame, a czasami wręcz ze sobą kolidują.

Świadczyła o tym dobitnie sytuacja wokół tragedii w Przewodowie, gdzie Wołodmyr Zełenski przez dłuższy czas nie tylko nie chciał przyznać, że to ukraińskie rakiety zabiły polskich obywateli, lecz także czynił niedwuznaczne kroki w kierunku wciągnięcia NATO do wojny. To punkt graniczny, gdzie nasze interesy się ewidentnie rozchodzą.

Nikt Ukrainy nie oskarżał o atak na polskich obywateli, jednak brak oficjalnych przeprosin, zadośćuczynienia dla rodzin ofiar czy w końcu próba pozyskania tragedii do eskalacji konfliktu pokazały, że Kijów nieprzesadnie podejmuje się stanowiskiem Polski. Sprawę pogarszały jedynie reakcje polskich polityków. Prezydent Duda powiedział, że śmierć polskich obywateli to de facto „wspólna tragedia” polsko-ukraińska, a Jarosław Kaczyński określił zdarzenie jako „tragiczny incydent”. Głos Ryszarda Czarneckiego, który na portalu DoRzeczy.pl wprost stwierdził, że Ukraina powinna po prostu przeprosić za wypadek, był w PiS niestety osamotniony (warto jednak odnotować, że podobne wypowiedzi padały jednak ze strony Lewicy czy Konfederacji).

Wszystko wskazuje na to, że rządzący z niezrozumiałych przyczyn po prostu boją się komunikować stronie ukraińskiej

swoje żądania, co stało się szczególnie widoczne w kwestii wołyńskiej. Doradca Biura Prezydenta Ukrainy Wołodmyr Zełenskiego Aleksiej Arestowycz w udzielonym niedawno wywiadzie wprost przyznał to, co wielu podejrzewało, a czemu polskie władze od dawna zaprzeczały – Polska zdecydowała się „po cichu” zapomnieć o sprawie Wołynia, co de facto oznacza akceptację kultu Bandery.

To ważna sprawa nie tylko ze względu na kwestię samej rzezi wołyńskiej, lecz także dlatego, że pokazuje infantylizm naszej dyplomacji, która najwyraźniej uznała, że skoro wspieramy Ukrainę, to musimy robić to całkowicie bezwarunkowo. Nawet jeżeli będzie to oznaczało podeptanie pamięci o ukraińskim ludobójstwie.

Poparcie, którego Warszawa udzieliła Kijowowi, jest bezprecedensowe, a mimo to polska strona nie otrzymała absolutnie nic w zamian oprócz pięknych słów o przyjaźni (okraszonych dyplomatycznymi kuksańcami i prztyczkami w nos). Co gorsza, wygląda na to, że jest to tyleż z woli Ukraińców, co zaniechań samych Polaków. A przecież, jeżeli Polska przeznacza miliardy złotych na pomoc sąsiadowi, jeżeli przyjmujemy miliony uchodźców, jeżeli w końcu to przez polskie terytorium muszą jechać transporty z pomocą Zachodu, to przecież wystarczyłby jeden telefon od prezydenta Dudy, z którym ponoć Zełenski ma tak świetny kontakt, aby wyjaśnić piętzącą się nieporozumienia choćby w sprawie Melnyka. Niestety, sam prezydent wydaje się zupełnie nie widzieć potrzeby takiej inicjatywy.

Utożsamianie polskiej racji stanu z żądaniami Kijowa nie tylko prowadzi nas na manowce, lecz także podkłada bombę o opóźnionym zapłonie pod wspólne relacje, gdyż wzmacnia antyukraińskie resentymenty. Można wspierać Ukrainę i jednocześnie twardo domagać się uznania rzezi wołyńskiej za ludobójstwo, można przyjmować miliony uchodźców i protestować przeciwko antypolskiemu dyplomacie na stanowisku wiceszefa MSZ.

Reakcja Ukrainy po Przewodowie, stosunek wobec Wołynia czy w końcu awans Melnyka to jedynie kolejne odłogi tej samej historii. Ukraina po prostu nie czuje potrzeby, aby zabiegać o polskie względy. Ciężko mieć o to pretensje do Kijowa. Dziwić można się jedynie polskim politykom, którzy patriotycznymi frazesami sypią na prawo i lewo, jednocześnie nie potrafiąc zabiegać o realne polskie interesy.



**Z Ryszardem Czarneckim,
eurodeputowanym PiS**

rozmawia

Ryszard Gromadzki



FOT. MATTHEW CUCKROT/EUP

Kaczyński nie chce zmieniać premiera

RYSZARD GROMADZKI: Czy po dziewięciu miesiącach wojny na Ukrainie można powiedzieć, że ryzyko rozlania się tego konfliktu i wciągnięcia do niego Polski rośnie?

RYSZARD CZARNECKI: Słyszę takie obawy. Rejestruję taki niepokój zarówno w głosach obywateli, jak i oświadczeniach polityków. Pytanie jednak: Czy leży to w interesie Rosji? W moim przekonaniu Rosja od dłuższego czasu pragnie przekonać Zachód, zwłaszcza USA, a także Niemcy i Francję, że absolutnie nie przekroczy granic NATO i UE i chce skoncentrować się tylko na Ukrainie. Na co gra Moskwa? Chce przez taką taktykę zmniejszyć wsparcie ze strony Zachodu dla Kijowa – skoro jest to tylko „lokalna” wojna...

Sytuacja, w której wojna rozlałaby się także na państwa Europy Zachodniej, a za takie państwo należy uważać Polskę, w naturalny sposób zmusiłaby Zachód zapewne do akcji militarnej, a także do znacznie większego zaangażowania finansowego. Myślę, że nie byłoby to ani w interesie Zachodu, ani w interesie Rosji. Zwracam uwagę na historyczne zachowanie Rosji po tym, co stało się na Lubelszczyźnie, gdy spadł ukraiński pocisk, powodując śmierć dwóch obywateli Polski. Twierdziła, że to prowokacja, że to nie oni...

Ukraińcy też idą w zaparte, twierdząc, że to nie był ich pocisk.

Strona ukraińska popełniła bardzo poważny błąd, nie potrafiąc przeprosić. Tragiczne pomyłki zdarzają się na wojnie. Myślę, że gdyby Ukraińcy przeprosili, polska opinia publiczna, która jest bardzo racjonalna, potrafiłaby zrozumieć, że ta tragedia to spłot okoliczności, a nie zła wola. Pójście w zaparte przez Kijów wbrew całemu światu, wbrew Ameryce, wbrew wywiadowi amerykańskiemu i powszechnej wiedzy, mówienie „to nie nasza ręka” to wielki błąd strony ukraińskiej. Nie tylko w bilateralnych relacjach polsko-ukraińskich. Ukraińcy poprzez taką postawę zrobili Rosji prezent, dając jej asumpt do poróżniania Polaków i Ukraińców. Rozmawiałem z wieloma ludźmi z różnych środowisk, także niepolitycznych. Z ludźmi biznesu, wolnych zawodów czy nauczycielami. Wszyscy byli oburzeni tą sytuacją także dlatego, że zbiegła się ona z dwoma innymi bardzo niedobrymi faktami.

Ma pan na myśli nominację Andrija Melnyka na wiceszefa ukraińskiego MSZ? W czasie, kiedy

sprawował funkcję ambasadora Ukrainy w Berlinie, dał się poznać jako negacionista rzezi na Wołyniu.

Także to. Nominacja pana Melnyka, który – prawdę mówiąc – dość specyficznie pełnił funkcję ambasadora, to zły sygnał. Jak pamiętamy, Melnyk zaprzeczał ludobójstwu Polaków i Żydów ze strony szowinistów ukraińskich podczas drugiej wojny światowej. Jego nominacja jest swoistą prowokacją i źle wróży relacjom polsko-ukraińskim.

Jest jeszcze drugi fakt, w Polsce mało znany. Mam na myśli wywiad, którego udzielił kluczowy doradca prezydenta Zełenskiego mediom zagranicznym, w którym powiedział ni stąd, ni zowąd – i to w sytuacji, gdy trwa wojna, a Ukraina jej nie przegrała w olbrzymiej mierze dzięki pomocy Polski – że w przyszłości, już po wojnie, Ukraina będzie rywalizować z Polską o bycie liderem w regionie i że – uwaga! – Ukraina tę rywalizację

bez przerwy, na okrągło, do znudzenia o tym mówić.

W moim przekonaniu mamy już do czynienia z pewnym znużeniem opinii publicznej w Polsce sprawą ukraińską. Dlatego przestrzegam moich kolegów polityków z obozu rządzącego, aby tego faktu nie lekceważyli. Jeżeli w dalszym ciągu będziemy tak epatować pomocą dla Ukrainy, jak to czyniliśmy dotychczas, to może zaowocować to znaczącym wzrostem poparcia dla tych sił politycznych w Polsce, które do Ukrainy odwracają się plecami. Naprawdę nie leży to w interesie obozu rządzącego i – szerzej Polski – żeby podążać tą drogą.

Czy przyjmując w pierwszej reakcji od Niemiec ofertę rozmieszczenia ich baterii rakiet Patriot przy naszej wschodniej granicy, Polska popełniła błąd, dając się wciągnąć w grę, którą Berlin prowadzi w sprawie Ukrainy?

Rosja od dłuższego czasu pragnie przekonać Zachód, zwłaszcza USA, a także Niemcy i Francję, że absolutnie nie przekroczy granic NATO i UE i chce skoncentrować się tylko na Ukrainie. Chce przez taką taktykę zmniejszyć wsparcie ze strony Zachodu dla Kijowa – skoro jest to tylko „lokalna” wojna

wygra. To dość szokujące twierdzenia, gdy polskie społeczeństwo i polskie władze stają na głowie, żeby – będąc krajem znacznie mniej zamożnym niż Niemcy i Francja – pomagać Ukraińcom. Dajemy Ukrainie uzbrojenie i amunicję na kwotę cztery razy większą niż Niemcy...

Czy to wszystko nie powinno spowodować przededefiniowania naszej polityki wobec Ukrainy? Czy nie powinniśmy zaprzestać bezkrytycznej adoracji władz w Kijowie, którą cały czas uprawia polski rząd? Nie powinniśmy być bardziej asertywni?

Na pewno trzeba reagować na sytuację, o których wcześniej mówiliśmy. Trzeba bardzo jasno artykułować nasze interesy. Mówić wprost stronie ukraińskiej, co jest dla nas nieakceptowalne, co stanowi protokół rozbieżności, co tworzy problemy w relacjach polsko-ukraińskich. To wcale nie podważa celowości pomocy dla Ukrainy, bo leży ona w naszym najlepiej pojętym interesie. Mam wrażenie, że powinniśmy bardziej koncentrować się na pomocy militarnej dla Ukrainy, wspierać ją ekonomicznie, ale

Odwołam się do cytatu z Wergiliusza: „Strzeżcie się Greków, nawet jeśli składają dary”. Ten cytat ma walor uniwersalny, powiedziałbym aluzyjnie. Myślę, że w tej chwili Niemcy próbują rozpaczliwie zmienić swój wizerunek kraju, który po pierwsze uważał, że Ukraina po agresji Rosji zaraz padnie, po drugie „przespał” tę wojnę i bardzo wiele stracił w oczach Europy. Stracił także swoisty patent na nieomyślność i decyzyjność. Teraz widać, mówiąc już Andersenem, a nie Wergiliuszem, że ten niemiecki król, przynajmniej momentami, jest nagi. Dlatego wiele krajów Unii Europejskiej odważa się już głosować przeciwko Niemcom. Przykładem może być tu chociażby wspólna polsko-francuska inicjatywa poparta przez wyraźną większość państw UE dotycząca cen gazu.

Co do patriotów, to Niemcy często podejmują takie propagandowe akcje, deklarując pomoc dla Ukrainy. Równie często nic z tej pomocy nie wychodzi, ale jest głośno. Niemcy są bardzo skuteczni, jeśli chodzi o pomoc dla Ukrainy w wymiarze medialnym, ale nie w praktyce. ■

Wracając do pańskiego pytania: jeśli nie będzie zgody Niemiec, aby te rakiety trafiły na Ukrainę, to uważam, że powinny być we wschodniej Polsce. Opowiadał mi jeden z najważniejszych polskich polityków, że w jego okręgu wyborcy, ba, nasi działacze, nie rozumieją sytuacji, w której możemy zwiększyć bezpieczeństwo Polski przez przyjęcie tych rakiet na nasze terytorium, a tego nie robimy. Myślę, że to moja refleksja do sztambucha obozu rządzącego, z którym mocno się utożsamiam. W takich sprawach należy działać z większym wyczuciem nastrojów społecznych, które są już wyraźnie inne niż dziewięć miesięcy temu.

na, kiedy będą wybory, będzie trwała już półtora roku. Siłą rzeczy reakcje polskich podatników, polskich wyborców mogą być inne niż dzień, miesiąc czy pół roku po agresji Rosji na Ukrainę.

O ile bezpośrednie zagrożenie naszego bezpieczeństwa wynikające z wojny toczącej się na Ukrainie może być okolicznością sprzyjającą obozowi rządzącemu, o tyle kryzys energetyczny, galopujące ceny ciepła i prądu wydają się być dla niej ogromnym wyzwaniem, także politycznym. Czy to, co dzieje się na rynku energii, może pogrążyć rząd Zjednoczonej Prawicy?

Może pana zaskoczę, ale uważam, że w obu tych okolicznościach sytuacja

trzęsie, Komisja Europejska ma już, co niestety źle świadczy o UE jako takiej, bogate doświadczenia w obalaniu rządów. I to obalaniu nawet w trakcie kadencji, np. dwóch prawicowych rządów włoskich premiera Berlusconi i jednego lewicowego rządu Grecji premiera Papandreu. Warto też zauważyć, że zmienił się sposób procedowania, tryb podejmowania decyzji przez Komisję Europejską. Pisało o tym ostatnio bardzo wpływowe, mające na ogół dobre informacje pismo „Politico”. W artykule o Ursuli von der Leyen dziennikarze pokazali, jak bardzo inny kształt ma obecnie proces decyzyjny w KE. Poprzednik von der Leyen – Junker – rozmawiał z każdym komisarzem, a potem i tak robił po swojemu, nadawał jednak działaniom Komisji w Brukseli cechy kolegalności. Ba, czasem nawet prowadził politykę wspólną z całą Komisją. Pani von der Leyen zamyka się na tym swoim 13. piętrze w siedzibie Komisji Europejskiej, konsultuje decyzje w zasadzie tylko z Berlinem i Paryżem, a rola komisarzy jest znacznie mniejsza, niż była kiedyś. Ten mechanizm oznacza, że Komisja Europejska jest jeszcze bardziej wykorzystywana przez Niemcy i Francję jako instrument ich polityki – teraz do powetowania swoich strat w polityce europejskiej powstałych po agresji Rosji na naszego wschodniego sąsiada. Grają Komisją, mimo że mają słabsze karty niż wcześniej. Stąd biorą się próby zrobienia z Komisji Europejskiej swego rodzaju walca na Polskę i Węgry, co ewidentnie leży w interesie tych dwóch wielkich państw.

Czy realnym scenariuszem przed wyborami jest zmiana woźnicy w wozie o nazwie Zjednoczona Prawica? Czy Jarosław Kaczyński może poświęcić premiera Morawieckiego w celu skonsolidowania swojego obozu przed jesienną bitwą o Polskę?

Jest takie stare polskie przysłowie, że nie zmienia się koni w czasie przeprawy. Kiedy konie trzeba zmienić? Kiedy całkowicie osłabną. Przenosząc to stare przysłowie do świata realnej polskiej polityki Anno Domini 2022, momentem na zmianę koni byłoby wyraźne tąpnięcie w sondażach. Wtedy byłaby to zapewne konieczność. Teraz takiej konieczności nie ma. Jak czytam politykę Jarosława Kaczyńskiego, który jest głównym playmakerem w polskiej polityce, to on takiej zmiany dokonywać nie chce. Chyba że zmuszony zostanie do tego wynikami sondaży.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jeśli nie będzie zgody Niemiec, aby te rakiety Patriot trafiły na Ukrainę, to uważam, że powinny być we wschodniej Polsce

Trudno zakładać, żeby wojna wygasła w krótkiej perspektywie. Zatem czy będzie determinowała przebieg kampanii przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi w Polsce? Może to sprzyjać PiS?

Kyryło Budanow, szef wywiadu wojskowego Ukrainy, o którym mówi się w Kijowie, że nigdy się nie myli i jako jedyny przewidział wojnę Rosji z jego krajem wtedy, kiedy prezydent Zełenski i rząd w ogóle w nią nie wierzyli, twierdzi, że ta wojna będzie się toczyć do połowy przyszłego roku. Myślę, że może mieć rację, ale może też tym razem się mylić, bo ta wojna może jednak potrwać dłużej. Oczywiście może mieć ona wpływ na wybory. Podobnie jak w 2014 r. w wyborach europejskich, kiedy PiS był w natarciu, ale minimalnie przegrał, zresztą po raz ostatni, wybory z Platformą Obywatelską, ponieważ ludzie mieli naturalny odruch skupiania się przy władzy. Przypomnę, że był to czas, w którym Rosja zajęła Krym, a mocno wspierani przez nią separatyści opanowali część Ukrainy Wschodniej. Teraz, nawet jeśli ta wojna spowszedniała, może mieć wpływ na wybory Polaków.

Nie odpowiedział pan na drugą część mojego pytania. W związku z tym, co się dzieje na Ukrainie, ludzie będą skupiali się przy władzy? PiS skorzysta politycznie na tej wojnie?

Być może tak będzie, ale tak być nie musi. Uważam to za scenariusz możliwy, a nawet prawdopodobny, jednak ta woj-

może być bardziej znużająca. Naturalny odruch skupiania się przy władzy w okresie zagrożenia zewnętrznego może być słabszy i może to być mniejszy bonus wyborczy dla formacji rządzącej, niż niektórzy moi koledzy myślą. Z drugiej strony to fundamentalne wyzwanie – absolutnie się z panem zgadzam – dotyczące kryzysu energetycznego, które może się uwidocznić nawet nie zimą, przez którą możemy przejść suchą nogą, ale wiosną, kiedy będziemy lizać rany po kosztach tej zimy oraz rozliczać się z dochodów z roku 2022 przed fiskusem – też nie musi być kamieniem młyńskim PiS-u. Jeżeli w tej sprawie formacja rządząca zda egzamin, to rachuby opozycji, że droga energia to „game changer”, mogą spalić na panewce.

W tej sytuacji wydaje się, że nadzieja opozycji na przejęcie władzy będzie się opierać na formalnym wsparciu ze strony instytucji UE, które nie ukrywają, że chcą zmienić polityczne status quo w Polsce. Czy możemy spodziewać się ze strony Komisji Europejskiej zwielokrotnionej presji, przede wszystkim finansowej wobec Polski?

Po pierwsze, rozmawiamy w dniu, w którym Komisja Europejska wyraziła formalnie wolę zamrożenia Węgrom istotnych funduszy w ramach nie tylko Krajowego Planu Odbudowy, lecz także funduszy kohezyjnych. Oczywiście po Budapeszcie może być Warszawa.

Po drugie, kiedy opozycji nie udała się „ulica”, to zostaje tylko „zagranica”. Po

ŁUKASZ ZBORALSKI: Pod apelem do prezydenta, by nie podpisał nowelizacji Kodeksu karnego, podpisały się 173 osoby zajmujące się naukowo prawem karnym. W tym apelu czytamy m.in., że to cofanie prawa karnego do czasów PRL oraz że jego sygnatariuszom „trudno zrozumieć, by w XXI w., w kraju, którego konstytucja odwołuje się do wartości chrześcijańskich i humanistycznych, wykluczono resocjalizację jako jeden z celów kary i wprowadzono bezwzględną karę dożywotniego pozbawienia wolności, zakazaną na gruncie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka”. Widać, że środowisko karnistów w Polsce oburzył pomysł podwyższenia kar. Dlaczego?

MARCIN WARCHOŁ: Po pierwsze, mamy w Polsce ok. stu uczelni prawniczych, z czego tylko na Wydziale Prawa UW jest ok. 370 naukowców. Więc tych 173, którzy podpisali apel, to naprawdę promil. Polityczni przewodnicy tego przedsięwzięcia ponieśli klęskę. Spodziewali się pewnie, że poprą to tysiące.

Dlaczego natomiast to napisali? Bo chcieliby takiej sytuacji, którą w odniesieniu do wysokości kar orzekanych za poważne przestępstwa mamy obecnie. Być może z przyczyn politycznych, być może z przyczyn ambicjonalnych. Wiele z tych osób było zaangażowanych w rozmaite działania polityczne ramie w ramie z Platformą Obywatelską. To były antyrządowe protesty już od czasów KOD czy przeciwko reformie sądów. Sygnatariusze listu bardzo często wypowiadali się politycznie w sposób skrajny, agresywny, niemerytoryczny. Senatorowie podczas procedowania tej ustawy byli zaskoczeni, że podczas debaty ci naukowcy wypowiadają się nie jak eksperci, ale jak politycy.

A dlaczego najbardziej nie podoba im się wprowadzenie dożywotniego więzienia, bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie?

Bo to rozwiązanie, które wprowadzamy, jest zmianą filozofii karania. Obecny Kodeks karny z 1997 r. to filozofia uwzględniania przede wszystkim interesów sprawcy przestępstwa. Widać to na podstawie tak absurdalnych wyroków jak np. osądzenie sprawców brutalnego pobicia, takiego z kopaniem ofiary po głowie, gdzie ewidentnie zmierzano do pozbawienia jej życia. Ofiara tego pobicia prawie trzy miesiące leżała w szpitalu, a potem ponad rok przechodziła rehabilitację, nie mogła odzyskać mowy. I jak to się skończyło? Jeden ze sprawców został uniewinniony, drugi dostał wyrok w zawieszeniu, a trzeci poszedł do więzienia

tylko dlatego, że miał wcześniej inny wyrok.

Podam inny przykład. Niedawno sąd apelacyjny złagodził karę dla jednego ze sprawców gwałtu, który skończył się śmiercią kobiety. Ofiara została brutalnie zgwałcona, pozostawiona pokrwawiona na mrozie i zmarła. Sąd obniżył karę z 25 lat pozbawienia wolności do 15.

Takich przypadków jest mnóstwo. Ci, którzy sprzeciwiają się zmianom Kodeksu karnego, chcą, żeby tak właśnie zostało. Środowisko krakowskie miało do tej pory właściwie monopol na tworzenie prawa karnego w Polsce. To przedstawiciele liberalno-lewicowej szkoły prawa karnego, która zdominowała ostatnie



Z Marcinem Warchołem, wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Łukasz Zboralski

Wreszcie prawo zacznie chronić ofiary, a nie przestępców

lata w Polsce. Nie są w stanie zaakceptować, że ktoś może zaproponować nowe rozwiązanie, mieć inną wizję.

Przy okazji wspomnę, że pierwszy takiemu widzeniu prawa karnego przeciwstawił się śp. Lech Kaczyński, którego zastępcą jako ministra sprawiedliwości był właśnie Zbigniew Ziobro. Gdy został prokuratorem generalnym, podkreślał, że ten Kodeks karny prowadzi do orzekania kar niesprawiedliwych, przesadne łagodnych. Profesor Lech Kaczyński już miesiąc po tym, jak został ministrem, zapowiedział zmianę tego prawa, chodziło głównie o podniesienie dolnych granic kar. To był listopad 2000 r.

Jak bardzo łagodne to były kary?

Wskazywał, że zaledwie 13 proc. kar orzekanych za poważne przestępstwa to

pozbawienie wolności bez warunkowego zawieszenia, a co piąty zabójca korzysta z nadzwyczajnego złagodzenia kary. Bił na alarm i zapowiedział zmiany.

W 2007 r. projekt ministra Zbigniewa Ziobry nie został uchwalony z powodu przerwanej kadencji Sejmu.

Obecna zmiana bazuje na tej samej filozofii. Po 25 latach oczekiwania wreszcie kompleksową reformę prawa karnego udało się w Polsce uchwalić. Przechodzimy z filozofii karania chroniącej przestępcę do filozofii stawiającej w centrum interes ofiary i zniechęcającej potencjalnych sprawców do popełnienia przestępstwa. Kary muszą być nie tylko nieuchronne, lecz także – w przypadku

zbrodni i innych poważnych przestępstw – dotkliwe, uwzględniające potrzebę zadośćuczynienia ofierze przestępstwa i prowadzące do pozbawienia sprawców odniesionych z przestępstwa korzyści.

Czy prawdą jest, że dożywocie bez możliwości przedwczesnego więzienia jest sprzeczne z Europejską Konwencją Praw Człowieka? I czy np. inne kraje mogą nie chcieć wydać nam groźnych przestępców?

Nie. Po pierwsze, Europejski Trybunał Praw Człowieka wypowiadał się w wielu orzeczeniach na ten temat, prezentując zróżnicowaną linię orzeczniczą. Na przykład w sprawie greckiej za dopuszczalne uznał stosowanie bezwzględnego dożywocia, pod warunkiem że w systemie prawnym jest rozwiązanie pozwalające na wyjątkowe skrócenie wykonania

tej kary, np. w postaci prezydenckiego aktu łaski. W Polsce akt łaski stanowi konstytucyjną prerogatywę prezydenta, więc wymóg ten jest w pełni spełniony.

Po drugie, np. w Wielkiej Brytanii istnieje dożywotnie pozbawienie wolności bez możliwości zwolnienia. Ten kraj jest członkiem Rady Europy i nikt go z tego powodu z niej nie wyrzuca ani nie poucza.

Około 40 proc. sprawców w ciągu pięciu lat od popełnienia przestępstwa wraca na przestępczą drogę

Po trzecie, bezwzględne dożywocie będzie ograniczone tylko do najbardziej brutalnych przestępców. Chodzi o dwa przypadki. Pierwszy – gdy mamy do czynienia z przestępcą, który jest trwale skrajnie niebezpieczny. Pamiętamy wszak „lex Trynkiewicz”, gdy obawiano się, że ten sprawca skazany za brutalne zbrodnie pedofilskie wyjdzie na wolność. Drugi to przypadek recydywisty, który wcześniej był już skazany za poważne przestępstwo przeciw życiu, zdrowiu lub przestępstwo terrorystyczne na dożywocie albo na 20 lat pozbawienia wolności i ponownie dopuścił się ciężkiej zbrodni, za którą orzeczono kolejne dożywocie.

W obu tych przypadkach sąd będzie mógł, a nie będzie musiał, wyłączyć możliwość warunkowego zwolnienia.

W karze dożywocia zmienia się więcej. Okres próby – przy warunkowym zwolnieniu – wydłuża się z 10 lat do dożywocia. Co to właściwie oznacza?

Wydłużamy ten okres próby ze względu na to, że mamy bardzo dużą liczbę powrotów do popełniania przestępstw. Około 40 proc. sprawców w ciągu pięciu lat od popełnienia przestępstwa wraca na przestępczą drogę. To często bardzo brutalni sprawcy i system prawny powinien przewidywać możliwość długotrwałej kontroli ich zachowania w takich przypadkach.

Ten ogólny sprzeciw części karnistów jest wymierzony w samo podwyższanie kar. Uznają za dogmat to, że wysokość kary nie ma znaczenia, a wszystko ma załatwiać magiczna „nieuchronność”. Chyba akurat w Polsce mamy świeży dowód,



FOT. DAREK DELANOWICZ/PAP

że w sprawie wykroczeń i przestępstw drogowych ten dogmat okazał się nieprawdziwy. Wystarczyło urealnienie po 30 latach stawek mandatów drogowych, by kierowcy zaczęli jeździć inaczej i powodować o 30 proc. mniej śmiertelnych wypadków niż przed pandemią. Zgadza się pan z tym?

Absolutnie! Po zmianie przepisów poprawa bezpieczeństwa w ruchu drogowym jest ogromna. To po prostu działa. Wpływ racjonalnego podwyższenia kar na ograniczenie przestępczości został wielokrotnie i przekonująco wykazany w ramach tzw. ekonomicznej analizy przestępczości, stosowanej w szczególności przez kryminologów w państwach anglosaskich i skandynawskich.

Odlóżmy więc na bok bajki lewicowo-liberalne, że przestępca patrzy tylko na nieuchronność kary. Patrzy też na to, co konkretnie mu grozi za planowane przestępstwo. Warto więc racjonalnie zmieniać prawo.

Czy w innych obszarach też wysokość kar zadziałała na zmniejszenie przestępstw?

Owszem. Weźmy np. ściągalskość alimentów. Gdy ministrem sprawiedliwości zostawał Zbigniew Ziobro, w tej kwestii Polska była na przedostatnim miejscu w Europie. W tej chwili mamy już przeszło 230-procentową poprawę ściągalskości alimentów dzięki zmianom w prawie.

Druga sprawa to gigantyczny wzrost wpływów z podatku VAT. Wystarczyło, że w nowych typach przestępstw ujęte zostały takie rzeczy, jak np. wystawianie sfałszowanej faktury, oraz opatrzone je odpowiednimi sankcjami i wszystko to zadziałało. Już tylko w chwili wejścia w życie tych zmian w marcu 2017 r. skok wyniósł ponad 30 mld zł i sukcesywnie wciąż rośnie!

Trzeci przykład – dopalacze. Wprowadziliśmy odpowiedzialność do trzech lat pozbawienia wolności za posiadanie dopalaczy i do 12 lat za handel nimi. Dodaliśmy do tego taką regulację, żeby przestępcy dodający nowe substancje do dopalaczy nie unikali odpowiedzialności. Wówczas tzw. król dopalaczy zagroził ministrowi sprawiedliwości śmiercią. Po najlepiej pokazuje, że przestępcy kalkulują i biorą pod uwagę wymiary kar.

Ciekawa sprawa jest z ujętą w tej nowelizacji konfiskatą pojazdów pijanym kierowcom. Ona nie budzi już w tym środowisku karnistów tak poważnych kontrowersji. Są jej niechętni, nie

wierzą w skuteczność, ale jakoś wybitnie się temu nie sprzeciwiają. Dlaczego?

Gdyż są niestety teoretykami oderwanymi od życia codziennego. A z praktyką przestępczą spotykają się jedynie na drogach. Jeśli mówią o hipotetycznym im niezagrażającym niebezpieczeństwie, to mądrzej i bronią przestępcy. Bo jest on dla nich abstrakcyjny i im realnie nie zagraża. Ale gdy wyjdą ze swojego uniwersyteckiego gabinetu i znajdą się na ulicy, pijany kierowca jest realnym zagrożeniem, którego się boją. I widzą, że nasze rozwiązania będą skutecznie zmniejszać takie zagrożenie. Dlatego je akceptują. Szkoda, że nie utożsamiają się ze strachem zwykłych obywateli, którzy – tak jak ci profesorowie – boją się pijanych kierowców, ale tak samo boją się także innych bandytów. To najlepszy test uczciwości intencji tych naukowców.

Mogę tylko dodać, że konfiskatę samochodów pijanych i odurzonych kierowców popiera ok. 65 proc. społeczeństwa.

Odlóżmy na bok bajki lewicowo-liberalne, że przestępca patrzy tylko na nieuchronność kary. Patrzy też na to, co mu grozi

Nowy Kodeks karny wprowadzi od 2 do 15 lat za przyjęcie zlecenia zabójstwa czy przygotowanie do zabójstwa. Przeciwnicy nowelizacji twierdzą, że to karanie za „myślzbrodnię”, za coś, czego się nie zrobiło...

Bzdura! Dziś mamy karę za przygotowanie do fałszowania pieniędzy. A przecież zabójstwo jest dużo poważniejszym przestępstwem.

Wyobraźmy sobie, że recydywista, sprawca poważnego przestępstwa, akurat wyszedł z więzienia. A nasze liberalne prawo powoduje, że 40 proc. takich jak on ponownie wraca na drogę zbrodni. No i zostaje on ujęty z dokładnym planem czyjegoś mieszkania, ze zdjęciami dzieci, z rozpiską określającą, kto i kiedy wchodzi czy wychodzi z domu, kiedy dzieci wracają ze szkoły. To co to jest? To jest przygotowanie. Ma to być nadal bezkarne? Mamy go puścić wolno? Absolutnie nie!

Doktor Mikołaj Małecki, karnista z UJ, wytyka w Internecie, że nowelizacja pozwala za drobne

kradzieże skazać na karę więzienia do 30 lat łącznie. Czy jednak można to nazwać „drobnymi kradzieżami” czy raczej sposobem na przestępcze żerowanie na własności innych, skoro łącznie uzbierałyby się tak sroga kara?

Tu oczywiście chodzi o sytuację, gdy ktoś w sposób cyniczny zaplanował sobie życie tak, że będzie żył z przestępstwa, okradał cudze domy, mieszkania, włamywał się do samochodów. Są rekordziści, którzy mają na kontach setki takich czynów. No i dotychczasowe przepisy były takie, że każde kolejne przestępstwo było bardziej premiowane, bo sprawca nawet kilkuset kradzieży popełnionych w krótkich odstępach czasu karany był tak, jakby popełnił jedno przestępstwo. Trudno znaleźć bardziej nieracjonalne i przy tym niesprawiedliwe rozwiązanie.

W poprzedniej nowelizacji wprowadziliśmy też kwalifikowany typ kradzieży – „kradzież szczególnie zuchwałą”. To np. wyrwanie komuś telefonu czy torebki na ulicy, kradzież kieszonkownika. Nic bardziej nie odbiera wiary w sprawiedliwość ofiarom i stróżom prawa niż widok kieszonkownika, który następnego dnia po schwytaniu wraca do przestępczego procederu. Dziś taki zuchwały złodziej często otrzymuje jedynie karę grzywny, która jest mniejsza niż wartość jego łupu, a jego czyn niejednokrotnie traktowany jest jako wykroczenie. Opłaca mu się dalej kraść. Nasze rozwiązanie takiej sytuacji skutecznie przeciwdziała.

Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami w Kodeksie karnym nie łączy się jedna zmiana, jakby zupełnie odwrotna. Podnieśliście próg, do którego czyn będzie wykroczeniem z 500 do 800 zł. Złodzieje będą mogli teraz ukraść o 300 zł więcej bez odpowiadania za przestępstwo. Skąd ten pomysł?

Pensja minimalna od 1 stycznia przyszłego roku wyniesie 3490 zł. To oznacza wzrost o 480 zł w stosunku do kwoty obowiązującej w tym roku, czyli aż o 15,9 proc. Bardzo dużo.

A zawsze jedna czwarta tego wynagrodzenia była tzw. progiem przepołowienia rozdzielałym wykroczenie od przestępstwa. Zatem wzrosła pensja minimalna, to i wzrosła wartość przepołowienia – po to, żeby sprawców takich czynów traktować porównywalnie, niezależnie od czasu, gdy popełnili swój czyn. Chodzi więc o systemową sprawiedliwość i proporcjonalność traktowania sprawców takich czynów niezależnie od czasu ich popełnienia. Wyłącznie o to.

Gra w zbijaka



Piotr Semka

Kontrowersje wokół odejścia abp. Marka Jędraszewskiego z rady Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia pokazują, jak złudny bywa stereotyp: pyszny arcybiskup kontra niepokorny publicysta. W dzisiejszej rzeczywistości to raczej medialni kontestatorzy katoliccy narzucają swoją interpretację wydarzeń, racje hierarchów są natomiast obiektem kpín

Wkońcu listopada portal „Więzi” ogłosił, że dotarł do treści pisma metropolity krakowskiego z rezygnacją z członkostwa w radzie Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia. Jak ujawnił portal – abp Marek Jędraszewski wystosował swój list do dwóch hierarchów: abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, oraz do kard. Kazimierza Nycza, przewodniczącego Rady Fundacji. Ten dobór adresatów wynikał z tego, że fundację ustanowiła Konferencja Episkopatu Polski, a jej władze powoływane są przez KEP. W liście arcybiskup krakowski poinformował o swojej decyzji o odejściu z Rady Fundacji: „W związku z przyznaniem nagrody Totus Tuus medialny im. biskupa Jana Chrapka redakcji poznańskiego tygodnika »Przewodnik Katolicki«, którego przed laty miałem zaszczyt być redaktorem naczelnym, a którego jedna z pań redaktor od pewnego czasu jest łaskawa dość systematycznie krytykować moją skromną osobę, zdaje sobie sprawę z tego, że moja dalsza obecność w gronie rady Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia byłaby dla niej rzeczą wielce krępującą i wstydliwą. W związku z powyższym uprzejmie proszę o przyjęcie rezygnacji z mojego uczestnictwa w tym zacnym gronie. Z wyrazami jedności w Chrystusie Panu”.

Arcybiskup Jędraszewski odniósł się do nagrody dla „Przewodnika Katolickiego”, w którym pisuje Monika Białkowska, ale trudno było nie wiązać tej dymisji dodatkowo z dziennikarską nagrodą Ślad dla tej autorki. Ślad nagradza dziennikarzy, a Totus Tuus zazwyczaj instytucje. W wypadku tej drugiej nagrody ostateczną

decyzję zatwierdzającą wybór podejmuje rada Fundacji, w której uczestniczy od lat abp Jędraszewski. Można więc uznać, że Jędraszewski nie chciał zasiadać w gronie, które choć formalnie jednak zatwierdzało nagrodę dla macierzystego pisma Białkowskiej. Nie jest jasne, czy brał udział w takim zatwierdzeniu czy też odbyło się to bez jego obecności.

Większość mediów poinformowała o liście, przedstawiając decyzję Jędraszewskiego jako małostkowy kaprys mściwego hierarchy. Dominowały tytuły: „Arcybiskup Jędraszewski z powodu dziennikarki rezygnuje z jednej funkcji. »Systematycznie« go krytykowała” (Onet) czy: „Arcybiskup Jędraszewski skarży się na dziennikarkę. »Łaskawa jest krytykować moją skromną osobę«” („Gazeta Wyborcza” w Krakowie). W większości prasowych relacji tego konfliktu całkowicie pomijano ważny element sprawy. Jędraszewski zgłosił swoją rezygnację w trybie niejawnym. Nie zamierzał nagłośnić swojej decyzji, ale zrobiła to redakcja „Więzi”, w której Monika Białkowska jest współpracownikiem od wielu lat. Sama Białkowska skomentowała całą sprawę w sposób bardzo charakterystyczny dla swojego stylu wypowiedzi na temat kondycji polskiego Kościoła. „Rzecz krępującą i wstydliwą na pewno nie była nagroda Totus Tuus przeznaczona zresztą dla całego zespołu »Przewodnika Katolickiego«, nie dla mnie. Tym bardziej zawstydzająca ani krępująca nie była dla mnie obecność abp. Jędraszewskiego w radzie fundacji. Przeciwnie, był to ważny znak nadziei, że w Kościele XXI w., wierni jednemu Jezusowi, możemy się pięknie różnić i spierać dla dobra tego

Kościoła. Że możemy nie budować wokół siebie murów przed innymi. Dla mnie, tyle mówiącej o wiarygodności Kościoła, krępujące i zawstydzające jest dopiero to, że ta nadzieja zawiodła” – stwierdziła dziennikarka.

KTO CZEMU WINIEN?

Wielu internautów ze strony katolickiej, komentując tę sprawę, przedstawiało ją dokładnie w taki sposób, w jaki potraktowała ją większość mediów: „Arcybiskup skompromitował się obrażaniem się na fundację, a dziennikarka wyszła z całej sprawy zwycięsko”. Sprawa jednak nie jest tak oczywista. Czy Białkowska – jak sama pisze – „różniła się pięknie” z abp. Jędraszewskim?

Monika Białkowska w ostatnim roku poświęciła osobie abp. Jędraszewskiego całą serię bardzo krytycznych wystąpień. Całkiem niedawno jej tekst znalazł się w specjalnym numerze „Tygodnika Powszechnego” niezwykle agresywnie atakującego metropolię krakowskiego w tekstach całej palety autorów widzących w Jędraszewskim symbol „Kościoła zamkniętego”.

Na swoim kanale na YouTube „Reportaż z wycinków świata” wiele razy Białkowska nie szczędziła metropolii krakowskiemu krytyki. Jednym z ostatnich jej wystąpień w sprawie abp. Jędraszewskiego było zarzucenie metropolii, że nie ogłosił podsumowania diecezjalnej dyskusji synodalnej w Kościele krakowskim – według Białkowskiej dlatego, że w dokumencie zacytowano krytykę gospodarza diecezji. Tę niezwykle emocjonalną teorię odrzuca rzecznik kurii, ks. Łukasz Michalczewski. Wypowiadając się dla „Do Rzeczy”, stwier-



FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

dził on: „Nie można mówić o utajnieniu dokumentu, gdyż nie było obowiązku jego upowszechnienia. Obowiązkiem kurii było wysłanie podsumowania wyników diecezjalnej dyskusji do Konferencji Episkopatu Polski, który z kolei na podstawie podsumowań z poszczególnych diecezji stworzył zbiorcze pismo wysłane do Watykanu. Taki tryb przyjął koordynujące prace nad raportem bp Janusz Mastalski”.

Czy w tekście diecezjalnego raportu były jakieś nadzwyczajne rzeczy? Komentujący tę sprawę felietonista portalu Onet Dawid Bruncz, który miał okazję dotrzeć do omówienia diecezjalnej dyskusji synodalnej, wyraził nawet zdziwienie, że dokumentu nie upubliczniono. Jak zaznacza w swoim felietonie: „W syntezie nazwisko metropolity pada jedynie w pozytywnych lub neutralnych kontekstach. Z kolei tam, gdzie mowa o kontrowersjach, poruszone są one skrótowo: hasła na temat LGBT, zgoda na ślub prezesa Jacka Kurskiego w sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, która wywołała oburzenie i zgorszenie wielu katolików; nie tyle upolitycznienie, ile upartyjnienie ambony metropolity to właściwie żadna tajemnica wiary, a znak rozpoznawczy krakowskiego hierarchy [...], oczywiście nie wiemy, co synteza ukryła, co zostało przemilczane lub przysypane kościelnym brokatem, ale zasadniczo tekst nie wystawia tzw. Kościołowi krakowskiemu aż tak złej oceny”.

Ktoś może spytać, dlaczego tekst syntezy nie został upubliczniony, skoro nie był aż tak niekorzystny dla metropolity krakowskiego? Trudno orzec. Może po części arcybiskupa uraziły zawarte w tekście oceny jego zaangażowania jako upartyjnienia albo za nielojalność uznał samo wprowadzenie jego krytyki do dokumentu, które firmował bądź co bądź jego biskup pomocniczy Janusz Mastalski. Na pewno był to błąd medialny. Czy był to jednak powód do takiej fali ataków na metropolitę?

ARCYBISKUP NA CELOWNIKU

Trudno cały ten konflikt omawiać bez wzięcia pod uwagę, że metropolita krakowski jest bardzo ostro atakowany od samego początku pełnienia swojej posługi w archidiecezji krakowskiej. Liberalne kręgi Kościoła krakowskiego liczyły, że po kard. Stanisławie Dziwiszu krakowski tron biskupi obejmie ulubieniec postępców, bp Grzegorz Ryś. Gdy okazało się, że to nie on będzie pełnił posługę pod Wawelem, na abp. Jędraszewskiego posypały się gromy. Na dodatek, jak twierdzą liczni znawcy

Kościoła krakowskiego, abp Jędraszewski zastał bardzo niechętną mu kurię. Nieprzypadkowo to właśnie z niej wyciekł do Moniki Białkowskiej pełny tekst omówienia diecezjalnej dyskusji synodalnej.

Sama Białkowska poświęcała Jędraszewskiemu krytykę w sprawach istotnych, ale i niekiedy wykazywała się małodusznością. Tak było, gdy z wyraźną satysfakcją wytknęła nielubianemu hierarsze, że w jednej z publikacji naukowych o chrzcie Polski powołał się na kronikarza Kpinomira – postać rzekomego kronikarza wymyślonego dla żartu przez historyka Philipa Steele’a w primaaprilisowym artykule dla „Rzeczpospolitej”. Oczywiście arcybiskup powinien mieć mocniejsze nerwy i nie reagować na takie, nawet dotkliwe ataki, a jednak im uległ. Chciał jednak to zrobić w sposób dyskretny, a jednak jego list wypłynął do „Więzi”. To „Więź” zrobiła z tego aferę.

Przypomnijmy. List był skierowany do abp. Gądeckiego i do kard. Stefana Nycza. Znając obu hierarchów, można uznać, że zdecydowanie bliżej było „Więzi” do sekretariatu metropolity warszawskiego. Gdy zadzwoniłem do rzecznika archidiecezji warszawskiej, ks. Przemysława Śliwińskiego, i zapytałem, jak to było możliwe, aby niejawni list przeciekł do redakcji „Więzi”, ten odpowiedział: „Nie mam żadnego pojęcia”. Gdy przypominałem rzecznikowi, że abp Nycz jest szefem rady Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia, ks. Śliwiński odpowiada: „Naprawdę ksiądz kardynał jest szefem Rady Fundacji? Przyznam się, że nie pamiętam tego. Panie redaktorze, ksiądz kardynał jest w tylu fundacjach...”. Gdy pytam, dlaczego nie skomentował tego faktu, słyszę odpowiedź: „Dlatego, że uznaliśmy, iż tego nie będzie w komentarzach”. Na kolejne pytanie, dlaczego podjęto taką decyzję, pada odpowiedź: „Dlatego, że nie”.

NA STRACONEJ POZYCJI

Dość charakterystyczny dla całej sprawy był komentarz Tomasza Terlikowskiego. Ten dziennikarz RMFM FM napisał na Facebooku: „Jego »Skromna Osoba« Marka Jędraszewskiego zrezygnowała z zasiadania w radzie Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia, bo Monika Białkowska, dziennikarka »Przewodnika Katolickiego«, krytykowała go systematycznie, a Fundacja przyznała nagrodę temu właśnie pismu. [...] Zostawmy na boku fakt, że taki sposób pisanie jest dość słabo zakamuflowanym donosikiem na dziennikarkę i wskazaniem, że i rada, i »Przewodnik« powinni

opowiedzieć się po stronie arcybiskupa. O wiele istotniejsze jest zupełnie co innego. Jest bowiem nadzieja na rezygnację abp. Marka z funkcji arcybiskupa krakowskiego. Gdyby »Jego Skromna Osoba« dowiedziała się, co mówią o niej księża z archidiecezji krakowskiej, to może także uznałaby, że jej »dalsza obecność w archidiecezji byłaby dla nich rzeczą wielce krępującą i wstydliwą«. Ech, marzenia”.

Zatrzymajmy się chwilę na tym komentarzu. Spiętrzenie złośliwości, które wyszły spod pióra Terlikowskiego, pokazuje, że publicysta ten, który bardzo często wzywa do dialogu i zrozumienia racji drugiej strony, akurat w sprawie metropolity krakowskiego nie ma ochoty na żadne zrozumienie racji biskupa. Co więcej, chętnie sięga po dosyć wątpliwy argument, że rozmaici księża z jego diecezji krytykują go za plecami. Szczerze mówiąc, w wielu diecezjach księża mają krytyczne opinie o swoich hierarchach. W wypadku jednak Jędraszewskiego wręcz nieukrywana jest nadzieja na to, że Jędraszewski poda się sam do dymisji. Być może fakt, że metropolita krakowski tak nerwowo zareagował na krytykę Białkowskiej, pokazuje, że taktyka ta nie jest bez szans powodzenia.

Ale taka dymisja byłaby tylko przykładem, że zmasowane ataki na niewygodnego, bo wypowiadającego się dość wyraziście w sporach cywilizacyjnych arcybiskupa, mogą powoli eliminować jednych konserwatystów, a innych skłaniać do milczenia. We wpisie Terlikowskiego Monika Białkowska przedstawiona jest jako osoba zagrożona „donosikiem” abp. Jędraszewskiego. Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna. To zaprzeczająca z Białkowską redakcja „Więzi” zdobyła list, który był niejawni, ogłosiła go, uzyskała bardzo pochlebne dla Białkowskiej interpretacje całego sporu w liberalnych mediach i wreszcie pozwoliła całą sprawę skomentować Białkowskiej w bardzo krytycznym wobec Jędraszewskiego stylu.

W podobnych sporach hierarchowie, szczególnie ci konserwatywni, są przedstawiani przez media jako wszechmocni, pyszni włodarze, którzy zaginają parol na bezbronnych katolickich wolnomyślicieli. Tymczasem to Monika Białkowska ma na tyle mocne wpływy, by zdobyć oryginał podsumowania diecezjalnej dyskusji synodalnej, a współpracującą z nią redakcja „Więzi” potrafi wydobyć prywatny list Jędraszewskiego z biskupich kancelarii. I kto tu jest rozgrywającym?



Kadr z filmu „Szklany Dom – odpowiedź Jana Pawła II na kryzys wykorzystywania seksualnego w Kościele”, rzetelnie pokazującego zaangażowanie papieża Wojtyły w walkę z seksualnym drapieżnictwem w Kościele FOT. MATERIAŁY PRASOWE TVP

Obrona obrońcy

Po kilku latach nagonki organizowanej przez liberalne media oraz wdrażanej przez niechętnych polskiemu papieżowi hierarchów Kościoła coraz jaśniej widać, że to, co nazywano nieraz debatą na temat dziedzictwa Jana Pawła II, jest w znacznej mierze próbą zniszczenia wiarygodności Kościoła. W końcu Jan Paweł II to najlepiej rozpoznawalna postać współczesnego chrześcijaństwa. Postać, której zasługi dla polityki, religii, a – szerzej – dla kultury moralnej całego świata są niewątpliwe.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że niewiele już brakuje, by Jan Paweł II w liberalnej i lewicowej publicystyce stał się nowym Piusem XII. Warto pamiętać, że do lat 60. XX w. postawa papieża Pacellego wobec drugiej wojny światowej była traktowana właściwie jako bohaterska. Przekonanie to gwałtownie się załamało, jak dziś wiemy, pod wpływem operacji przeprowadzonej przez służby wywiadowcze bloku sowieckiego. Do naszych czasów, pomimo rzetelnej pracy historyków, którzy podważyli krążącą po świecie „czarną legendę” o tym papieżu, nie udało się w pełni odbudować wizerunku Piusa XII. Wciąż można spotkać, jako obiegową opinię, przekonanie, że był to „papież Hitlera”. I to pomimo tego, że ratował Żydów i był gotowy ponieść najgorsze konsekwencje swojej postawy. Znany jest jego ustny testament,



Tomasz Rowiński

Trwa próba powiązania w zbiorowej wyobraźni kalumni rzucanych na Jana Pawła II z najbardziej wartościowym przekazem teologicznym, filozoficznym i moralnym, który nam zostawił. Na szczęście katolicy w Polsce, a także na świecie, zaczynają się budzić. Można powiedzieć: wreszcie

wyrażony na okoliczność ewentualnego aresztowania: „Przyjdą po Piusa XII, ale zabiorą kard. Pacellego”. W nocy konkolencyjnej po śmierci papieża minister spraw zagranicznych Izraela Golda Meir pisała: „Nasze czasy stały się bogatsze dzięki temu głosowi, mówiącemu donośnie o wielkich prawdach moralnych, ponad zgiełkiem toczącego się konfliktu. Opłakujemy wielkiego sługę pokoju”.

NIWYGODNY WOJTYŁA

To samo można powiedzieć o Janie Pawle II. Żegnany jako wielki człowiek swoich czasów, który przyłożył rękę do upadku komunizmu w Europie, promotor praw człowieka w ich chrześcijańskiej interpretacji, dziś stał się memem wyśmiewanym przez młodsze pokolenia w jego własnej ojczyźnie. Obiegowym przekonaniem w wielu środowiskach, absurdalnie niezgodnym z faktami, stało

się twierdzenie, że „Jan Paweł II ukrywał pedofilów”.

Więcej jeszcze, wiralową popularność w patologicznych zakamarkach Internetu zdobył skrót JP2GMD, który rozwija się w słowa: „Jan Paweł II Gwałcił Małe Dzieci”. Skrót ten przeniknął zresztą na obrzeża mediów głównego nurtu, gdy z tatuażem takiej właśnie treści przed walką MMA pojawił się lewicowy publicysta i poeta Jaś Kapela. Zapytany o tatuaż, wyjaśnił bez zażenowania jego treść, dodając, że „chodzi o zwrócenie uwagi na ten problem, nie o obrażanie papieża”.

„Ten problem” – to znaczy jaki? Sądzić należy, że „tym problemem” jest autorytet papieża Wojtyły, którym wciąż cieszy się on w Polsce, a także wśród katolików na całym świecie. Bez wątpienia zniszczenie wpływu moralnego nauczania Jana Pawła II na polską kulturę i opinię w sprawach publicznych jest jednym

z politycznych celów liberalnej lewicy. Osiągnięcie tego celu otworzyłoby drzwi do szerszego społecznie odrzucenia w Polsce tradycji narodowej zakorzenionej dotąd w kulturze chrześcijańskiej. Chodzi bowiem o jedno: o przechylenie polskiego obyczaju w stronę libertyńskich wzorców dominujących w moralności na Zachodzie.

Na szczęście da się, także w Polsce, zauważyć w ostatnim czasie rosnący ruch oporu wobec tej jednostronnej tendencji. 29 listopada w Warszawie odbyła się ciekawa konferencja zorganizowana przez Centrum Życia i Rodziny, zatytułowana „W obronie obrońcy”, którą można uznać za dobry przykład fali apologii dziedzictwa Jana Pawła II. „Cel tej agresji wydaje się jasny – wyjaśniają organizatorzy – poprzez zniszczenie autorytetu świętego Polaka próbuje się również zdyskredytować jego nauczanie o małżeństwie, rodzinie czy świętości życia i uderzyć w cały Kościół. Walka z tymi najważniejszymi wartościami to w rzeczywistości walka »cywilizacji śmierci« z »cywilizacją życia« i próba zaprowadzenia nowego porządku, w którym te fundamenty życia społecznego odejdą w niepamięć”.

W tym krótkim fragmencie organizatorom konferencji udało się wskazać jeden z najważniejszych tropów rzucających światło na toczącą się kampanię oczerniania papieża z Polski. Problem rzeczywistości polega na tym, że trwa próba powiązania w zbiorowej wyobraźni kalumni rzucanych na Jana Pawła II z najbardziej wartościowym przekazem teologicznym, filozoficznym i moralnym, który nam zostawił.

BEZPODSTAWNE ZARZUTY

Jest to o tyle łatwe, że zrozumienie roli Jana Pawła II w skandalach obyczajowych, które wydarzyły się w Kościele, także na najwyższych szczeblach władzy, wymaga uważnej lektury obszernych raportów, wymaga zrozumienia mechanizmów działających w kościelnej biurokracji i wielu innych mechanizmów, od których zależy, czy dana informacja do papieża dociera i jak jest zinterpretowana. Niestety, prawie nikt nie jest skłonny do zagłębiania się w konkret zdarzeń, gdy równocześnie poszlakowe oskarżenie jest rzucić bardzo łatwo. Wystarczy zwykle powierzchowny opis zdarzeń, wspólne, oddziałujące na wyobraźnię zdjęcie papieża z przestępcą w sutannie, czasem znaczące hasło reklamowe książki, której zawartość wcale nie przybliża

czytelnika do prawdy. Dyskusja o dziełach Jana Pawła II jest konieczna na wielu poziomach, dziś jednak nie jest możliwa, ponieważ dyskurs o polskim papieżu został zdominowany przez coraz dalsze od prawdy skróty myślowe.

Paulina Guzik, scenarzystka ważnego filmu „Szklany Dom – odpowiedź Jana Pawła II na kryzys wykorzystywania seksualnego w Kościele”, rzetelnie pokazującego zaangażowanie papieża Wojtyły w walkę z seksualnym drapieżnictwem w Kościele, w niedawno opublikowanym na łamach „Gościa Niedzielnego” wywiadzie odniosła się do jednego z najczęstszych zarzutów, które są podnoszone przeciw Janowi Pawłowi II. Chodzi o kontakty i wspieranie przez Stolicę Apostolską o. Marciała Maciela Degolla, założyciela Legionistów Chrystusa, notorycznego kłamcę, a także gwałciiciela. Bardzo często można spotkać opinię, że jest nie do wyobrażenia, by Jan Paweł II nie wiedział, co się dzieje w środowisku Legionistów. Czym innym są jednak wyobrażenia, a czym innym rozpoznanie, jak rzeczywistość wyglądała naprawdę.

„Z tego jednak, co mi wiadomo, jedyne rzetelne śledztwo dziennikarskie w tej sprawie przeprowadziła [...] Valentina Alazraki, która przez dekadę zajmowała się kwestią seryjnego przestępcy, manipulatora i oszusta – o. Maciela. Dziś [Alazraki – przyp. T.R.] mówi z całym przekonaniem, że papież o tym nie wiedział” – mówi Paulina Guzik. Dziennikarka jest dziś jednym z wiarygodnych obrońców Jana Pawła II choćby z tego względu, że bezpośrednio zajmuje się także sprawami nadużyć seksualnych w polskim Kościele. Opisała m.in. sprawę dominikanina Pawła M.

Wartą uwagi inicjatywą broniącą prawdy o Janie Pawle II jest specjalny serwis Katolickiej Agencji Informacyjnej: „Jan Paweł II wobec pedofilii”, który został pomysłany jako zasób gromadzący artykuły i opracowania poświęcone zarówno nauczaniu Jana Pawła II w sprawie nadużyć seksualnych w Kościele, jak i przedstawiający w rzetelny sposób fakty na temat działań papieża mających na celu zapobieganie tego rodzaju wydarzeniom.

„W ostatnim czasie jesteśmy świadkami coraz częściej pojawiających się prób podważenia autorytetu św. Jana Pawła II, swego rodzaju »dewoitylizacji« polskiej przestrzeni publicznej. Bronią, po którą najczęściej się sięga, są oskarżenia, że Jan Paweł II niemal nic nie zrobił w kwestii

przeciwdziałania wykorzystywaniu seksualnemu osób małoletnich czy bezbronnych w Kościele, a problem starał się otoczyć złą milczeniem. Tymczasem bezspornym faktem jest, że Jan Paweł II był papieżem, który podjął zdecydowaną walkę z przypadkami pedofilii oraz wprowadził radykalne i obowiązujące w całym Kościele normy rozliczania przestępstw na tym tle, podkreślając, że w »stanie kapłańskim i życiu zakonnym nie ma miejsca dla tych, którzy krzywdziliby młodych«. Rozpoczął także ważny i kontynuowany do dziś proces oczyszczenia Kościoła” – piszą redaktorzy KAI w słowie wstępnym do serwisu.

Warto zwrócić także uwagę na opublikowane w listopadzie br. „Stanowisko Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski wobec działań Jana Pawła II odnoszących się do przestępstw seksualnych wobec małoletnich”. Dokument ten punkt po punkcie zestawia zarówno wypowiedzi papieskie w sprawie nadużyć seksualnych, jak i zmiany w prawie kościelnym mające na celu zapobieganie i karanie tych, którzy przestępczo nadużywali zaufania osób, które im duszpastersko powierzono. Nie da się nie zauważyć także większej aktywności publicznej poszczególnych biskupów wypowiadających się w obronie Jana Pawła II.

PRZEKONYWANIE PRZEKONANYCH?

Pozostaje pytanie, czy podejmowane obecnie inicjatywy nie są zbyt niszowe, czy nie są skierowane do tych, którzy są już przekonani. Pierwszy z argumentów jest rzeczywiście wart rozważenia. Wydaje się, że szczególnie potrzebne są dziś szeroko kolportowane produkcje filmowe, jednak nie takie, które prześlizgują się jedynie hagiograficznie po zasługach Jana Pawła II, ale które podejmują dyskusję z rzeczywistymi interesującymi publiczność narracjami krążącymi na temat polskiego papieża. Obraz Pauliny Guzik nie może być jedynym filmem mówiącym prawdę o papieżu Wojtyśle.

Obecnie w produkcji i na ukończeniu jest przynajmniej jeszcze jeden film tego rodzaju. Trzeba mieć nadzieję, że będzie on dobry, ale to wciąż za mało. Co do drugiego argumentu, trzeba pamiętać, że obecnie także przekonani są dezorientowani i potrzebują rzetelnej wiedzy, która pomoże im rozbrajać szkalujące Jana Pawła II stereotypy, które z mediów przeniknęły do polskiej codzienności.



Zuzanna Dąbrowska

Jeśli ksiądz katolicki budzi sympatię parafian, to nie może być prawdziwym księdzem. „Legalni” kapłani mają być kojarzeni wyłącznie ze wszystkimi grzechami przypisywanymi dziś Kościołowi

Komenda Policji Powiatowej w Ostrowi Mazowieckiej poinformowała, że na początku listopada zatrzymała dwóch mężczyzn.

Demontowali ogrodzenie na cudzej posesji i chcieli je ukraść. Według lokalnych mediów jednym z zatrzymanych jest 29-letni Patryk B. To na podstawie m.in. jego historii reżyser Jan Komasa miał nakręcić w 2019 r. film „Boże Ciało”. Produkcja była polskim kandydatem do Oscara.

Patryk B. usłyszał trzy zarzuty kradzieży. Mężczyzna ma bowiem długą historię konfliktów z prawem. Policja podała, że „był on już wcześniej wielokrotnie karany, m.in. za kradzieże, posiadanie środków odurzających oraz za oszustwo podawania się za osobę duchowną i odprawianie Mszy Świętej”. Zaledwie w październiku portal eostrołęka.pl informował o kolejnych zatrzymaniach 29-latką. „Mężczyzna, który miał być jedną z inspiracji twórców filmu »Boże Ciało«, kolejny raz został zatrzymany przez policję i odpowie przed sądem za usiłowanie kradzieży z włamaniem. Dwa miesiące temu próbował ukraść grzejniki z nieczynnego już hotelu w Ostrowi Mazowieckiej” – podano. Prokuratura Rejonowa w Ostrowi Mazowieckiej prowadziła postępowanie przeciwko Patrykowi B., podejrzanemu o to, że 17 sierpnia 2022 r. w Ostrowi Mazowieckiej na terenie hotelu Słowianka, po uprzednim wypchnięciu zabezpieczenia drzwi wejściowych, dostał się do wnętrza, skąd usiłował dokonać kradzieży grzejników, jednak celu tego nie osiągnął z uwagi na ujęcie go przez patrol policji, powodując jednocześnie straty w wysokości 2 tys. zł, działając na szkodę Łukasza K., tj. o czyn z art. 13 § 1 k.k. w związku z art. 279 § 1 k.k. – przekazał serwisowi rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce. Z kolei w 2021 r. mężczyzna miał przy-



Kapelan antyklerykałów

wieź na skup złomu kilkanaście włazów do studzienek z trasy S8.

ŻYCIE TO NIE FILM

„Boże Ciało” to obraz, który może się podobać. Dobrze prowadzona opowieść, pokazująca złożoność ludzkiej psychiki i zniuansowane relacje międzyludzkie, okraszona jest świetną ścieżką muzyczną. Film przedstawia historię 20-letniego Daniela, który trafia do niewielkiej parafii. Szybko zdobywa sympatię nie tylko proboszcza, lecz także parafian, którzy – jak

to w małej miejscowości – są nieufni i na obcych spoglądają z dużą dozą ostrożności. Fałszywy ksiądz staje się rozjemcą, powiernikiem i wygłasza płomienne kazania. Ludzie są zachwyceni, bo w końcu widzą księdza, który naprawdę wierzy. Daniel nie jest kimś zwykłym – choć cechuje się ludzkimi ułomnościami, to odprawia Msze Święte i spowiada tak, jakby był święty. Jest kapłanem na pełen etat.

Rzeczywistość była jednak zgoła inna. Patryk B., złodziej recydywista, w 2011 r. faktycznie udawał księdza w mazowiec-



Oszust wcale nie był postacią tak jednoznacznie pozytywną, jak w filmie „Boże Ciało” Komasy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Polskie kino uwielbia bić w Kościół. „Boże Ciało” to przypadek nieco subtelniejszy, choć w owej subtelności bardzo skuteczny

kich Budziskach. Chłopak przybył do parafii św. Andrzeja Boboli w czerwcu. Proboszcza przekonał, że przebywa na wakacjach, więc może pomóc. Pełnił funkcję wikarego. Z czasem zdobywał zaufanie ks. Marka. – Mówił piękne kazania i tak nowoczesnie było. Spowiadałam się u niego, dawałam na Mszę. Nie żałuję, podobало mi się – opowiadała jedna z mieszkanki Budzisk Kazimiera M. już po tym, jak cała mistyfikacja wyszła na jaw. Relacje mieszkańców pokazują, że oszust wcale nie był postacią tak jednoznacznie pozytywną, jak w filmie Komasy. Nie wszyscy parafianie dali się zwieść. – Normalnie pił piwo na ulicy i palił papierosy – opowiadał w 2011 r. po zatrzymaniu Patryka B. Dariusz Górski, mieszkaniec. Inny, Jan Kania, opowiadał, że udawany ksiądz „nerwowo

chodził po kościele, jak wariat jakiś”. Nie do końca wiadomo, jak oszustwo wyszło na jaw. W jednej z wersji policję o swoich podejrzeniach związanych z autentycznością księdza poinformował mieszkaniec Budzisk. Sam przestępca wyznał w jednym z wywiadów, że to on wyjawiał prawdę, gdy miał pobłogosławić związek małżeński. Uznał, że udzielenie ślubu to już zbyt wiele, i przyznał się do kłamstwa.

Oszust szybko stał się celebrytą. Niedługo po premierze „Bożego Ciała” odbył medialne tournée. – Pełniłem funkcję księdza z prawdziwym uczuciem. Wcielałem się całkowicie w rolę księdza. Zachowywałem się i myślałem jak ksiądz – wyznał w jednym z wywiadów. Nakręcono o nim reportaż. – Nadal się modlę, choć już nie odprawiam Mszy. Bywam w kościele. Mam żonę i troje dzieci, Pan Bóg dał mi wspaniałą rodzinę – przekonywał Patryk B. Lewicowo-liberalne media nie kryły zachwyty. Miały „bohatera” będącego dowodem, że Kościół katolicki ma poważny problem. Z jednej strony instytucja nie była w stanie kontrolować sama siebie i dopuściła, by ktoś z zewnątrz przez dłuższy czas udawał księdza, z drugiej okazało się, że „człowiek z ulicy” jest lepszym księdzem niż kapłani uformowani przez lata seminarium i posługę w parafii.

Taka była też intencja scenarzysty „Bożego Ciała”. Mateusz Pacewicz napisał scenariusz w oparciu o różne wzmianki prasowe na temat fałszywych księży, które pojawiały się przez lata. – To, co mnie niesamowicie zaciekawiło w tych wszystkich prawdziwych historiach, to możliwość przewrotnej opowieści o fałszywym duszpasterzu, który przez to, że nie jest częścią instytucjonalnego Kościoła, może wykazać się instynktem społecznym i postawą lidera. Prawdziwym księciem często brakuje tych cech, ponieważ spoczywa na nich instytucjonalna odpowiedzialność, która często ogranicza ich w działaniu – wyjaśnił. Obok licznych Orłów oraz Złotych Lwów, które zdobyli „Boże Ciało” i jego twórcy, wcielający się w postać księdza oszusta Bartosz Bielenia został nagrodzony Paszportem „Polityki”. „Za wielkie emocje pozwalające przeżywać dramaty ludzi takich jak my, za wyrażenie tego, co dla Polaków najboleśniejsze i najważniejsze, oraz za aktorstwo na najwyższym poziomie” – uzasadnili jurorzy. Aktor może się więc poszczycić akceptacją antyklerykalnego salonu. Tak jak niemal każdy, kto zechce wziąć udział w wivisekcji wyolbrzymio-

nych lub zupełnie wymyślonych grzechów katolickiej wspólnoty.

Z kolei redakcje, które z Patryka B. uczyniły gwiazdę i zapewniły mu medialny poklask, dziś, gdy na jaw wychodzą kolejne popełniane przez niego przestępstwa, milczą. Do przewinień mężczyzny nie odnoszą się też twórcy filmu. Wszyscy oni musieliby bowiem przyznać, że ośmielili złodzieja. B., który przed oszukaniem mieszkańców Budzisk nie był karany, po tej sytuacji i zainteresowaniu dziennikarzy oraz filmowców poczuł się najwyraźniej bezkarny. A to zaowocowało kolejnymi przypadkami łamania prawa. Co ciekawe, Patryk B. zapowiadał, że pozwie filmowców za to, że bez zgody wykorzystali jego historię. Swojej groźby nie zrealizował.

KOŚCIÓŁ W KINIE

Polskie kino uwielbia bić w Kościół. „Boże Ciało” to przypadek nieco subtelniejszy, choć w owej subtelności bardzo skuteczny. Za klasyk wśród tego typu filmów można uznać przerysowany, karykaturalny „Kler” Wojciecha Smarzowskiego. W produkcji z 2018 r. przedstawiono drugą stronę medalu – prawdziwi, nieudawani księża są żarłokami, pijakami i pedofilami (w przeciwieństwie do idealizowanego niby-księdza z „Bożego Ciała”). Kościół jest siedliskiem moralnej zgnilizny i wszystkiego, co najgorsze. W pierwszych tygodniach po premierze publiczności, a także politycy lewicy wieszczili, że to koniec Kościoła katolickiego. Okazało się jednak, że Smarzowski przesadził. Że „Kler” to co prawda film mocny i kontrowersyjny, ale przesadzony. Polacy nie kupili aż tak karykaturalnego obrazu księży.

Na większe zniuansowanie sprawy postawili filmowcy odpowiedzialni za „W imię...” z Andrzejem Chyrą w roli głównej. Bohater obrazu Małgorzaty Szumowskiej jest rozdarty między swoją homoseksualną naturą a poczuciem obowiązku. Budzi sympatię, bo jest ludzki – skromny, potrafi porozmawiać z każdym, trochę wypić, a przy tym być stanowczy i zrugać nieposłuszną młodzież. Takiego „nieksiężowskiego” księdza geja, podobnie jak księdza oszusta z „Bożego Ciała”, można polubić, zrozumieć. A przy tym zadać sobie pytanie, co z Kościołem jest nie tak, skoro jeśli jakiś kapłan (lub mistyfikator udający kapłana) wydaje się w porządku, to w świetle katolickiej etyki i moralności popełnia występki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dawid Ogrodnik jako prześladowany gej na polskiej wsi w filmie „Wszystkie nasze strachy” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nasze LGBT



Remigiusz Włast-Matuszak

Proponuję | Przegląd Polskich Filmów LGBT w Brukseli

Od wielu lat opiniotwórcze „elity” Unii Europejskiej – prawdziwi Europejczycy – są „faszerowane” setkami kłamstw europosłów z „tego kraju”. Te wymysły to stały zestaw politycznej propagandy na temat rzekomo powszechnej ksenofobii, urzędowego braku tolerancji i prześladowań społeczności LGBT na ulicach polskich miast i wsi. Aby zadać kłam posłom z KO w UE i zawodowym, płatnym aktywistom LGBT, konieczne jest możliwe szybkie zorganizowanie w siedzibie Parlamentu Europejskiego Przeglądu Polskich Filmów LGBT. Gala w PE, a później seanse w wielkich kinach Brukseli, Antwerpii i uniwersyteckich miast Belgii oraz Niderlandów.

Na przeglądzie mogłoby zostać zaprezentowanych siedem filmów z ostatnich ok. dwóch lat. Żadnych staroci typu „Płynące wieżowce” czy „Nina”. Byłyby same świeżynki. Przegląd powinien zainaugurować głośny film polsko-czeski nominowany do Oscara. To „Szarlatan” Agnieszki

Holland. Być może prezydentka Agnieszka Holland mogłaby przewodniczyć polskiej delegacji i na europejskiej gali w siedzibie Parlamentu UE wygłosić jedno ze swoich historycznych pytyjskich przemówień.

„SZARLATAN”

Nie wszyscy chętni dopchali się do kas kin, by rozkoszować się finezją formy i głębią treści „Szarlatana”. Przypomnijmy krótko, że akcja dramatu rozgrywa się w Czechosłowacji w latach lat 1930–1960, a bohaterami są zielarz cudotwórca i jego młody kochanek asystent. Już przy filmie „Mr. Jones” zwracałem uwagę prostodusznej reżyserce, że inscenizacja scen orgii nie jest jej mocną stroną. Mniemam, że w czasach, gdy była wysoką blondynką studiującą w Pradze czeskiej, poświęcała się wyłącznie nauce i polityce, zupełnie zaniedbując udział w studenckim życiu erotycznym. Stąd takie ekranowe kiksy. W „Szarlatanie” scena seksu między kochankami jest żenująco zimna, sztuczna i odpychająca. Doprawdy pokazywanie zbliżeń czterech stóp przeżywających skurcze i orgazmy dużych palców to zbyt wiele. Więcej poezji, madame. Pani prezydentka rok temu ogłosiła, że rozpoczyna realizację wielkiego filmowego monumentu o Fran- zu Kafce. Ma to być „dokudrama”. Jeśli

życie erotyczne Kafki zostanie pokazane z równą finezją co życie czeskiego zielarza, to będziemy mieli następny hit na otwarciu II Przeglądu Polskich Filmów LGBT w Brukseli.

„OSTATNI KOMERS”

Gdy w 2020 r. przeczytałem w czołówce filmu „Ostatni komers” nazwisko Dawida Nickela, byłem przekonany, że to Anglik – reżyser koprodukcji polsko-brytyjskiej, ale po znalezieniu w Internecie sylwetki reżysera i jego nagich fotek (z nogą w gipsie) z radością stwierdziłem, że to nasz Ślązak, polski katolik pełną gębą.

Treścią fabuły „Ostatniego komersu” jest historia trójkąta dresiarzkiego pomiędzy 18-letnim samcem alfa, który po krótkiej odsiadce właśnie wyszedł z mamra (jednak przejeżdżając rowerem koło krzyża, żegna się żarliwie), jego 16-letnim wielbicielem i jego wyzwoloną siostrą. Starszy dresiarz zalicza kobiety z bloku, młodszy (z bogatego domu) kocha go i cierpi w milczeniu. Jego siostra jest z dresiarzem, ale ten nie traktuje jej poważnie. Są też 15-latkowie płci obojga eksperymentujący z „miłością francuską”. Abstrahując od przesłania filmu, Dawid Nickel ma niekwestionowany, autentyczny talent ciekawego opowiadania fabuły

i prowadzenia aktorów. Film jest bezprentensjonalny, syntetyczny i ponadczasowy, na poziomie filmów Gusa Van Santa czy Xaviera Dolana. Całkiem słusznie dostał nagrodę Złoty Pazur na 45. FPFF w Gdyni. Reżyser po festiwalu, mocno wzruszony, dziękował w TV za zaufanie i możliwość zrealizowania swojego debiutu.

Dołączam się do podziękowań Dawida Nickela i pragnę doczekania przeniesienia siedziby PISF z malarycznej okolicy ul. Kruczkowskiego 2 do odbudowanego Pałacu Saskiego (lub jednej z towarzyszących odbudowie kamienic). Moim marzeniem, i zapewne całego środowiska filmowego, jest praca w graniczącym z Ogrodem Saskim Pałacu godnym Polskiej Kinematografii.

„WSZYSTKIE NASZE STRACHY”

Film „Wszystkie nasze strachy” dr Łukasza Rondudy (z ASP i Muzeum Sztuki Współczesnej w Warszawie) zdobyły Złote Lwy na zeszłorocznym 46. FPFF w Gdyni. Film jest „poświęcony” protestom Agrounii i „prześladowaniu” lesbijek i gejów na polskiej wsi przez zacofane, ksenofobiczne, agresywne i prostackie społeczeństwo. Film ratują świetne zdjęcia Łukasza Gutta. Dawid Ogrodnik robi, co może, ale i tak film zszedł z ekranów przy śladowej publiczności. Na kolaudacji w PISF tłumaczyłem reżyserowi, że liczba samobójstw wśród małoletnich lesbijek i gejów w Polsce nie odbiega od średniej europejskiej, a nawet się zmniejsza, szczególnie w ostatnich latach. Statystyka to moje hobby, mam większość roczników statystycznych z II RP, emigracyjny z 1942 r. wydany w Londynie, i wydane po 1956 r. (za Bieruta statystyki były utajnione). Doktor Ronduda przyjął do wiadomości moje argumenty, po czym w Gdyni ponownie potępił rządzących za powodowanie licznych samobójstw wśród młodzieży LGBT. Polityczna agitka została prawidłowo oceniona przez publiczność – nogami.

„HIACYNT”

Niewątpliwie utalentowany reż. Piotr Domalewski z nieznanych przyczyn zrealizował w ubiegłym roku film pt. „Hiacynt” według scenariusza Marcina Ciastonia. Film miał opowiedzieć o akcji „Hiacynt” zorganizowanej przez MO i SB PRL w latach 1985–1987, gdy ponad 20 tys. (!) homoseksualnych osób (szczególnie z dużych miast) po przesłuchaniach założono teczki operacyjne. Chodziło o zneutralizowanie części opo-

zycji i szantażowanie jej kompromatami. Niestety, film mówi o tym marginalnie, główną osią dramatu jest intryga – schemat zapożyczony z wielu amerykańskich kryminałów, od „Klute” Alana J. Pakuli z 1971 r. z Jane Fondą do „8 milimetrów” Joela Schumachera z 1999 r. z Nicolasem Cage’em, gdzie mordercą okazuje się miliarder lub wysokiej rangi wojskowy czy polityk. W „Hiacyncie” Domalewskiego zleceniodawcą zabójstw okazuje się komendant MO (?) lub któryś z wiceministrów MSW czy ktoś z KC PZPR. Zamiast dramatu społecznego o akcji „Hiacynt” mam schematyczne kryminałki, a oficer milicji, tak jak w filmie „Crusing” z 1980 r. z Alem Pacino, „zaraża się homoseksualizmem” i sam zakochuje się w męskiej prostytutce (mamy sceny ostrego seksu). Nie dowiadujemy się nic o losach 20 tys. teczek. Ponoć generał WSW Edmund

Aby zadać kłam posłom z KO w UE i zawodowym, płatnym aktywistom LGBT, konieczne jest zorganizowanie Przeglądu Polskich Filmów LGBT

Buła (1926–2012) rozkazał je zmikrofil-mować i przekazać do centrali GRU. Oryginały teczek, po selekcji, trafiły w ręce zaradnych funkcjonariuszy MSW i WSW, a w dzisiejszej centrali MSWiA jest ich ponoć tylko 12 tys. sztuk. Milicjanta w „Hiacyncie” gra utalentowany Tomasz Ziętek. Chwilę później zagrał kapitana ORP „Orzeł” w filmie pt. „Orzeł. Ostatni patrol”. Drętwiałem z obaw, gdy w swojej kabinie kładł się na koi, a po chwili wchodził do kabiny uśmiechnięty kucharz. Na szczęście „Orzeł. Ostatni patrol” okazał się filmem konserwatywnym.

„BLISCY”

„Bliscy” to film dokumentalny Marka Kozakiewicza. Oglądaliśmy długoletni związek pary lesbijek na polskiej wsi [według autorów filmu obie panie reprezentują konserwatywne poglądy (!)]. Z odbiornika TV płyną do nas cytaty „Wiadomości”, które stają się jawną kpina z prezydenta RP i z konstytucji. Partnerki wychowują 12-letniego brata Agnieszki. Bohaterki są zimne, a film nie wzrusza nawet w chwilach śmierci matki Agnieszki. To zaledwie poprawny doku-

ment biograficzny, ale oczywiście został doceniony na festiwalu w Niderlandach.

„SŁOŃ”

Scenariusz filmu pt. „Koniec listopada”, mówiący o wyścigach konnych na podhalańskiej wsi, zmienił się w film pt. „Słoń” opowiadający o tym, jak polskie chamy, wsioki gnębią psy na łańcuchach i prześladują gejów. Napisy tytułowe filmu informują, że nadzór nad scenami erotycznymi między starszym muzykiem a młodszym nieapetycznym chudzielcem nadzorowały dwie kobiety. Tragikomedie. Oglądanie tego filmowego gniota, pretensjonalnej amatorszczyzny wprost boli, a porównywanie tego filmiku ze „Słoniem” („Elephant”) Gusa Van Santa byłoby absolutnie niestosowne. Jedyne pożytek to filmowy przekaz, że starszy z kochanków zakłada prezerwatywę młodszemu, aktywnemu, co w pozostałych filmach się nie zdarza, a powinno.

„LUBIEWO”

Sensacją Przeglądu mógłby być film pt. „Lubiewo” Pawła Maślony (na podstawie książki Michała Witkowskiego). Ten dramat gejojski z głośnym szumem medialnym i dofinansowaniem ze środków publicznych (2,5 mln zł) ruszał z realizacją, po czym zapadła głucha cisza. Paweł Maślona jest autorem brawurowej komedii współczesnej pt. „Atak paniki” (z przyjemnością oglądałem go wielokrotnie), tym razem zabrał się za „Lubiewo”. Są to wspomnienia gejów weteranów z ostatnich lat PRL w zderzeniu z wchodzeniem w to środowisko 17-letniego zula pseudo Michaśka (alter ego Michała Witkowskiego). Fakt, że dwa lata temu zaczęła się hybrydowa agresja Białorusi (ZBiR) na polską granicę, a w lutym Federacja Rosyjska rozpoczęła agresję zbrojną przeciw Ukrainie. Co to ma do „Lubiewa” Witkowskiego/Maślony, Międzyzdrojów i emerytowanych gejów? Otóż ma – polskie cioty (w latach 80. ubiegłego wieku nie wymyślono jeszcze pojęcia LGBT – były cioty i luje). Owe osoby jeżdżą pod ruskie koszary (a było w Polsce ponad 300 tys. sowieckiego wojska – młodych poborowych) i w zamian za butelkę wódki są zaspokajane seksualnie. A gdy armia sowiecka opuszcza Polskę, to stoją na peronach i rzewnie płaczą, machając ulubiercom. Czkaamy na hit Maślony. Na razie na YouTube pod hasłem „Lubiewo – Scena Warsztatowa” można zdrętwieć, oglądając sześciominutowy epizod z „Lubiewa”. Miłego drętwienia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bał się, pisząc. Teraz jego się boją?

FOT. DOMINIK PIŚAREK / FORUM

W czasie okupacji w Warszawie na własne oczy widział zbrodnie niemieckie. Już na początku powstania warszawskiego wraz z matką trafił do Auschwitz. Matkę – gdy na rampie obozowej wpadła w histerię, widząc, że oddzielają ją od syna – od razu popędzono do komory gazowej, razem z grupą Żydów. On zaś, 16-letni wówczas chłopak, po miesięcznej kwarantannie został przetransportowany na teren III Rzeszy do obozu w Hersbruck, gdzie zmuszany był do niewolniczej pracy, m.in. w kamieniołomie. Wiosną 1945 r. został pognany do Dachau w marszu „szkieletów”, zwanym powszechnie „marszem śmierci”; kilka dni po przybyciu na miejsce doczekał wyzwolenia przez Amerykanów.

Z NIEMIECKIEGO OBOZU DO STALINOWSKIEGO LOCHU

W niemieckich obozach koncentracyjnych spędził prawie dziewięć miesięcy. W stalinowskich lochach – dziewięć lat. Został do nich wtrącony dwa lata po wojnie, niemal zaraz po powrocie do



Agata Kłopotowska

Pisarz. Poobijany przez życie wybitny artysta słowa. Obdarzony wielkim talentem, a także dramatycznym losem, przez co stał się jednym z najważniejszych świadków swojej epoki. Janusz Krasiński doświadczył osobiście bestialstwa obu XX-wiecznych totalitaryzmów: nazizmu i komunizmu

kraju z amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Moment, kiedy jako 19-latek, aresztowany przez komunistyczne władze pod całkowicie sfingowanym zarzutem szpiegostwa na rzecz USA, znów trafił na samo dno piekła, opisze wiele lat później w powieści „Na stracenie”, której głównym bohaterem uczyni Szymona Bolesłę, swoje alter ego. „Nagle jakby oślepl... ciemności, czarna czeluść. [...] sam Pan Bóg otwiera ciężkie, okute drzwi. Dwa lata... Zaledwie dwa lata temu wyprowadził go z miejsca kaźni; wyciągnął nieomal ze stosu leżących przed krematorium

trupów, gdy nieoczekiwanie pojawiły się amerykańskie jeepy z ogłupiałymi Jankesami, którym na ten widok guma do zucia zamieniała się w stalowy gwóźdź między szczękami [...]. Więc wyciągnął go [...] z tego labiryntu kolczastych drutów pod napięciem śmierci, i wyciągnawszy stamtąd, pchnął go lekko w nagle odmieniony świat [...], ale za płytko, aby zapuścić korzenie, zaledwie zdążył odzyskać siły i radość życia. Nagle grunt znowu osuwa się pod nogami. Ratunku! Jakiś straszny dół, z którego nie ma wyjścia. [...] Chryste Panie... to przecież niemożliwe!”

A jednak „niemożliwe” nie było sen-
nym koszmarem, fantasmagorią, upi-
ornym wyobrażeniem, lecz faktem! Przez
przeszło trzy dekady – licząc od jego
oficjalnego debiutu literackiego na łamach
prasy, niedługo po wyjściu z więzienia
w maju 1956 r. – swoją opowieść o okrut-
nych czasach Krasiński snuł z oczywistych
względów w sposób fragmentaryczny
i niepełny. W PRL mógł głośno mówić
jedynie o zbrodniach hitlerowskich.
Jednakże nigdy nie porzucił powziętego
w więzieniu stalinowskim zamiaru, by
opisać sowieckie barbarzyństwo oraz bez-
miar nieszczęść i cierpień, które przynieśli
Polsce sowieccy „wyzwoliciele” i kolabo-
rujący z nimi rodzimi zdrajcy.

WYSTAWA PRZECIW MILCZENIU

Wystawa zorganizowana przez Mu-
zeum Literatury im. Adama Mickiewicza
we współpracy z Narodowym Centrum
Kultury pt. „Janusz Krasiński – przeciw
milczeniu” była okazją do przypomnienia
o tym pisarzu. Została otwarta w Korde-
gardzie przy Krakowskim Przedmieściu
w Warszawie w przededniu 10. rocznicy
jego śmierci. Można ją było zwiedzać przez
miesiąc – od 13 października do 13 listo-
pada.

Tytuł wystawy miał podwójne znacze-
nie. Z jednej strony odwoływał się do ży-
ciowej misji Krasińskiego, którą było opo-
wiedzenie prawdy o antyludzkich ideologiach,
o skrzętnie tajonych przestępstwach
popełnianych w imię komunistycznej
utopii, o zaczadzonych nią i jakże często
oszałałych z nienawiści jej wyznawcach
oraz jej niezliczonych niewinnych ofiarach.
„Napisać to! [...] Napisać i zachować, aż
nadarzy się okazja wysłać to jakąś tajną
drogą. Sam nie wiedział przez kogo, lecz
aż paliło go, by przerwać jakoś tę zbrod-
niczą ciszę. [...] O tak, zbrodnia miała tu
zapewnione milczenie”. Ten – pochodzący
tym razem z powieści „Twarzą do ściany”
– fragment monologu wewnętrznego
wspomnianego już wcześniej literackiego
porte parole autora, Szymona Bolesty,
celnie streszcza imperatyw moralny, który
będzie w Krasińskim płonął z niedającą się
niczym stłumić siłą przez całe życie. Pisarz
wiedział już w więzieniu, że będzie musiał
wystąpić przeciw milczeniu, choćby miał
tworzyć tylko „do szuflady” lub – jeszcze
ostrożniej – pisać manuskrypty, które prze-
ba będzie skrzętnie ukryć przed czujną
władzą totalitarną.

Drugi sens tytułu wystawy odnosił się
do kordonu milczenia od lat otaczającego

samego pisarza. W 2011 r. Janusz Krasiński
zauważył cierpko w wywiadzie, którego
udzielił mi dla „Plusa Minusa”, magazynu
„Rzeczpospolitej”, że jest „ścigany mil-
czeniem”. Milczenie „ścigające” nie jest
przypadkowe. Nie może takim być. Rok
wcześniej, nieco autoironicznie, ale też
z pewnym przekąsem pisarz skomento-
wał ów stan rzeczy podczas uroczystości
wręczenia mu Nagrody im. Piotra Skrzyń-
skiego za nieulękłe dążenie do prawdy:
„Prawda kole, autor przezornie zepchnięty
na margines. No, trudno przeskokować grubą
kreskę. Kilka nagród za pierwsze, potem
za kolejne dwa tomy, ale jakoś w milcze-
niu, jakby w strachu przed nadaniem im
rozgłosu. Dla mnie może to i satysfakcja.
Bałem się, pisząc, teraz mnie się boją”.

Wystawa poświęcona Januszowi Krasiń-
skiemu była więc nie tylko wyrazem uzna-
nia dla wybitnego artysty i niezłomnego
świadka, który uparcie przerywał milcze-
nie o sprawach skazanych na niepamięć.
Była także próbą wystąpienia przeciw
milczeniu o nim samym. Jak przypomni-
ała w eseju włączonym do katalogu wysta-
wy Maria Dorota Pieńkowska, autorka
konceptu ekspozycji i jej kurator, w 2016 r.
Krzysztof Masłoń podczas promocji ostat-
niej książki Krasińskiego powiedział: „Nic
ważniejszego w polskiej prozie po roku
1989 nie powstało”.

Wymowna jest też przestroga sformu-
łowana przez Wandę Zwinogrodz-
ką we wstępie do wyboru dramatów
Krasińskiego wydanych w 2013 r.: „Tylko
bardzo lekkomyślna kultura może taki
kapitał lekceważyć”.

PISARZ WYJĄTKOWY

Istotnie, Janusz Krasiński to pisarz
wyjątkowy. Mistrz wszystkich trzech
rodzajów literackich. Autor oryginalnych
i poruszających utworów, bogatych tema-
tycznie i różnorodnych gatunkowo. Zaczął
od poezji tworzonej w ukryciu. Swoje wier-
sze układał, „chodząc po celi”. Zapisywał je
na tabliczce z chleba tylko po to, by się ich
szybko nauczyć, a następnie ukryć „pod
czaszką, tam, gdzie go już nie dosięgną”.
Z więziennych utworów w całości ocalały
tylko trzy, wszystkie powstałe w Rawi-
czu: w 1953 r. – „Drewniak” i „Piosenka
o szkiełku” oraz w 1954 r. – „Karuzela”, któ-
ra jako pierwsza ujrzała światło dzienne.
Ukazała się kilka miesięcy po zwolnieniu
Krasińskiego z zakładu karnego we Wron-
kach, na fali październikowej odwilży na
łamach popularnego wówczas czasopisma
„Po Prostu”.

Choć po więzieniu Krasiński porzucił
poezję, to nigdy nie rozstał się z liryką.
Przenikała jego prozę i dramaty. Pisał
opowiadania, reportaże i powieści, słu-
chowska radiowe, scenariusze filmowe
i sztuki teatralne. Jego opus magnum jest
pięciotomowy cykl powieściowy: „Na
stracenie” (1992), „Twarzą do ściany”
(1996), „Niemoc” (1999), „Przed agonią”
(2005) i wydany już pośmiertnie „Prze-
łom” (2015).

Pentalogia Krasińskiego to współczesna
powieść rzeka, która opowiada o drama-
tycznych losach Szymona Bolesty na tle
równie dramatycznych wojennych i powo-
jennych polskich dziejów. W książkach tych
autor zawarł de facto całą historię PRL,
z jej wstrząsami i tragediami, nadziejami
i punktami zwrotnymi, a w ostatniej z nich
naszkicował także – w sposób trafny
i niebanalny – wyłaniającą się w wyniku
transformacji III RP.

Nie uważał się jednak za pisarza histo-
rycznego. Nurtowało go, kim jest człowiek
i co w ekstremalnych sytuacjach dzieje się
w jego wnętrzu. Główny bohater pięcio-
księgi, żyjący w świecie, w którym rządzi
przemoc i bezprawie, dobrze zna smak
doczesnej trwogi. Jednakże najbardziej boi
się utraty własnej tożsamości i splamienia
sumienia. Dlatego pozostaje czujny, bez-
błędnie rozpoznając „wnyki na duszę”, by
ostatecznie ocalić choćby jej okrucieństwo...

W prologu do nieznanej w Polsce ksią-
żeczki, wydanej w 2009 r. sumptem Polonii
kanadyjskiej, pt. „Tabliczka z chleba” Janusz
Krasiński napisał: „Choć odniosłem szereg
sukcesów w kraju i poza jego granicami,
pozostałem pisarzem niezbyt znanym. Mó-
wię to nie z żalu niedocenionego twórcy,
a jedynie świadom tego, iż grunt, na który
padają moje słowa, nie wszędzie jest mi
przychylny. Jeszcze wtedy, gdy odsiadując
swoją wieloletnią wyrok, myślałem o napi-
saniu książki, w której dałbym prawdziwe
świadcstwo najlepszemu z systemów, nie
wierzyłem, że będzie ona mogła ukazać się
za mego życia, i dla nienapisanego jeszcze
rękopisu szukałem w wyobraźni głębokiej
dziupli w starej wierzbie. [...] Wreszcie
napisałem, cztery tomy. Są, nawet pięknie
wydane, tylko trudno dostępne, przemil-
czane. Piszą o nich nieliczni, za to wybitni
krytycy. Kto przeczytał bodaj jeden z tego
cyklu, domyśli się, komu niewygodna jest
zawarta w nich prawda, choć nie szukałem
w niej odwetu”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka napisała monografię o Januszu Krasińskim
„Życie dla pisania prawdy” (Kraków 2021).



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Slalom Disneya

Pytania, „jak uratować świat” oraz „czy rodzina będzie receptą na wszystko” (w końcu mówimy o filmie Disneya), zostały w przypadku „Dziwnego świata” przesłonięte przez inną kwestię: Dlaczego najnowsza animacja Pixara nie zarabia w kinach tyle, ile się spodziewano? I czy ma to coś wspólnego z faktem, że Disney przekroczył kolejną granicę – w rodzinnej premierze na sezon świąteczny dostajemy w prezencie gejów, w dodatku niepełnoletnich (Ethan Clade, jeden z głównych bohaterów, ma lat 16). Już w poprzedniej produkcji studia, którą był dziwny spin-off serii „Toy Story”, czyli film „Buzz Astral”, na ekranie pojawiła się lesbijska para wychowująca wspólnie dziecko,

ale – jak się okazuje – można pójść dalej.

Marsz do nowego wspianego świata będzie kontynuowany, bo przecież koncern Disneya zapowiedział już, że celem jest sytuacja, w której połowa pojawiających się na ekranie postaci to przedstawiciele LGBTQ+ i wszelkich innych mniejszości. Czy kłopoty „Dziwnego świata” mogą ten marsz spowolnić? W amerykańskich mediach wybuchła wokół filmu Qui Nguyena ciekawa debata. Zwolennicy postępu nade wszystko gniewnie wyliczają 20 krajów, do których „Dziwny świat” nie trafi (bo Disney nie chce rozwścieczać widzów m.in. w Chinach czy Turcji). Sugerują też, że w USA film za-tonie, bo koncern zamiast chwalić się animacją rodzinną z gejowskim

romansem nastolatków, mocno ten fakt ukrywa. Czy film Nguyena spisano na straty? Nie jest to wykluczone – ideologie ideologiami, ale wciąż jeszcze głosy widzów (i ich portfele) mają znaczenie. Łatwo spełnić postulaty wpływowych grup nacisku, trudniej przekonać rozczarowanych rodziców, że dostali oczekiwaną rozrywkę.

Kilka dni temu pracę stracił CEO Disneya, Bob Chapek. Od stycznia akcje firmy straciły na wartości ponad 40 proc. Chapek nie tylko był aktywnym promotorem agendy LGBTQ+, lecz także wszedł w ostre starcie z Ronem DeSantisem, republikańskim gubernatorem Florydy, który zakazał homopropagandy w szkołach. Co wygra – ideologia czy chęć zysku? Zobaczmy, jakie decyzje będą podejmowali kolejni szefowie koncernu. Tak, wiem, więcej powinno być w tym tekście o filmie, a mniej o polityce. Ale po pierwsze, film przeciętny i niezbyt oryginalny (recykling pomysłu m.in. z „Fantastycznej podróży” Asimova), a po drugie – to nie my zaczęliśmy. ©©



★★★★★
REŻ. QUI NGUYEN
„DZIWNY ŚWIAT”
(„STRANGE WORLD”)
USA 2022,
ANIMOWANY



NOWE SERIALE: „ODDZIAŁ SPECJALNY ECHO 3”

Serial stworzony przez Marka Boala (scenarzysta i producent filmów „The Hurt Locker. W pułapce wojny” czy „Wróg numer 1”) to amerykańska wersja izraelskiej produkcji „When Heroes Fly” (pisałem o niej w „Do Rzeczy” 8/2019) inspirowanej powieścią Amira Gutfreunda. Brat i mąż Amerykanki zaginionej nieopodal granicy

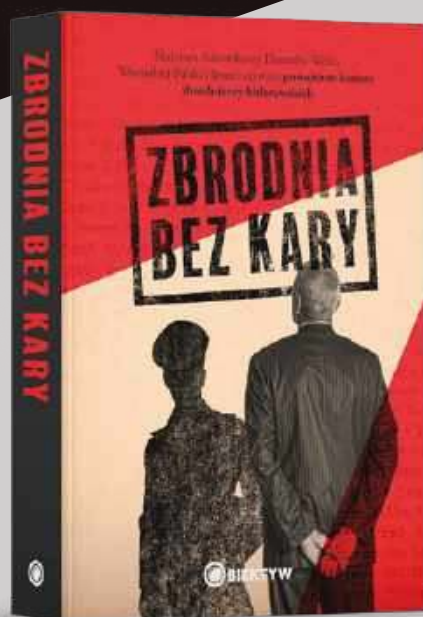
Kolumbii z Wenezuelą ruszają jej z odsieczą. W oryginale był to przede wszystkim thriller, Boala bardziej interesują polityczne implikacje tajnych operacji amerykańskich specjalistów, zwłaszcza działających na własną rękę. ©©

• sezon 1 „Oddział specjalny Echo 3” („Echo 3”)

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 3 „Mroczne materie” („His Dark Materials”), USA/Wielka Brytania 2022
- sezon 3 „Kruk”, Polska 2022
- sezon 1 „Willow”, USA 2022
- sezon 1 „Pewnego razu na krajowej jedyńce”, Polska 2022





Historia największych zbrodni opowiedziana migawkami wspomnień

- ◆ Ponad 60 mln ofiar
- ◆ 6 lat wojny
- ◆ Tylko 182 wyroki dożywocia za popełnione zbrodnie
- ◆ 26 dziennikarskich śledztw tropem nieukaranych zbrodniarzy
- ◆ Kaci wyciągnięci z ukrycia

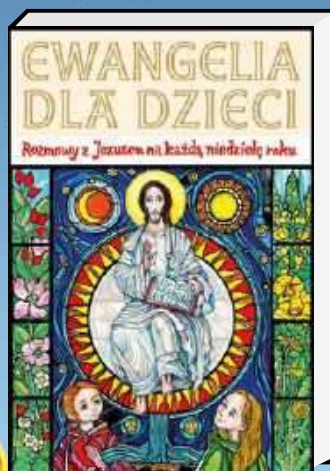


interia

WielkaHISTORIA.pl

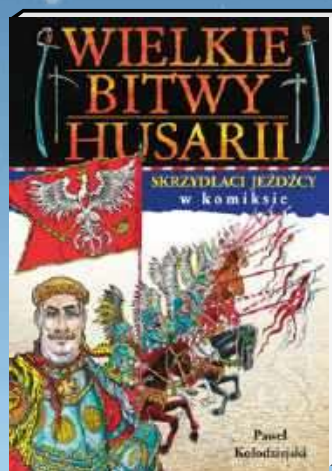
BABKA OD HISTY

Agustyna Janowska M. Paul



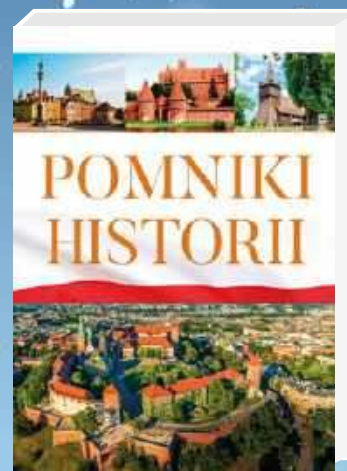
s. Bożena Maria Hanusiak

**Ewangelia
dla dzieci**



Joanna Wieliczka-Szarkowa,
Paweł Kołodziej

**Wielkie bitwy
husarii
w komiksie**



Monika Karolczuk

**Pomniki
historii**



**Książki dostępne w księgarni
internetowej www.religijna.pl**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.

Molestowanie Oscara

KINO

Chcielibyście obejrzeć komedię o aktorkach robiących karierę przez łóżko? A może dreszczowiec o zdemoralizowanych i skorumpowanych narcyzach mieniących się dziennikarzami? Nie tym razem. Producenci z Hollywood wolą bezpieczniejsze tematy. Zwłaszcza gdy trzeba odciąć się od kolegi po fachu, który próbował żyć jak Howard Hughes, będąc od niego uboższym i mniej przystojnym. Zamiast filmu o wszechogarniającej hipokryzji, w którym samych siebie mogliby zagrać Meryl Streep, Quentin Tarantino tudzież tabuny znanych i lubianych osobistości show-biznesu, dostaliśmy odgrzewany kotlet. Oblesny Harvey Weinstein i jego ofiary mającą na drugim planie. Przesłoniły

ich nieustraszone dziennikarki „New York Timesa”, które nagłaśniając występki producenta, zapoczątkowały jego upadek. Po kompromitacji liderki kruczaty przeciw „seksualnym drapieżcom” nie było zresztą innego wyjścia.

Reżyserię feministycznej wersji „Spotlight” powierzono



★★★★★

REŻ. MARIA SCHRADER
„JEDNYM GŁOSEM”
 („SHE SAID”)
USA 2022

wyst. Carey Mulligan, Zoe Kazan, Patricia Clarkson

Niemce, bo jak świadczy casus Rolanda Emmericha, nikt nie robi bardziej proameerykańskiego filmu niż cudzoziemiec marzący o willi z basenem w Beverly Hills. W kinach dzieło Marii Schrader przepadło z kretesem, co krytycy uznali za objaw „ucieczki widzów od poważnych tematów”. Teraz podobną asertywnością będą się mogli wykazać szafarze Oscarów. Czy starczy im odwagi? ©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KRAINA ZAPOMNIENIA

vod.pl

Niejeden chciałby się obudzić w zupełnie innym miejscu. Paryskiemu subiektowi, który popadł w konflikt z prawem, ta sztuka się udała. Zamiast w celi rano przywitał w uroczym mieszcynie bez nazwy, bardzo przypominającej Sisteron. Wszyscy mieszkańcy dotknięci są zbiorową amnezją. Nawet piękna Julia, wystrojona jak na bal, nie poznaje swego Romea (pardon, Michela). W 1927 r., gdy George Neveux napisał sztukę o blaskach i cieniach życia bez wspomnień, choroba Alzheimera była rzadkim zjawiskiem, gdyż mało kto dożywał sędziwego wieku. Gérard Philipe, idealny odtwórca ról romantycznych kochanków, umarł, mając lat 36. Czy warto uczcić 100. rocznicę urodzin legendy francuskiego kina poza ojczyzną już prawie zapomnianą, oglądając surrealistyczną baśń dla dorosłych? Jak najbardziej, zwłaszcza że w Julię wcieliła się aktorka, która o mały włos nie zagrała księżniczki w „Rzymskich wakacjach”.



★★★★★

REŻ. MARCEL CARNÉ
„JULIA ALBO KLUCZ DO SNÓW”
 („JULIETTE OU LA CLEF DES SONGES”)
FRANCJA 1951

wyst. Gérard Philipe, Suzanne Cloutier, Jean-Roger Caussimon

TATA SIĘ ZSIKAŁ

CANAL+ ONLINE

Demokracja szaleje, postkomunizm wisi w powietrzu, mężczyźni noszą wąsy, a wypożyczalnia wideo działa w co drugim bloku. Kto by pomyślał, że początek lat 90. będzie kiedyś wspomniany z nostalgią? Dla Tomeka ten czas to pożegnanie z dzieciństwem. Chłopak wyrasta z klocków Lego, zaczyna się oglądać za dziewczynami.



★★★★★

REŻ. KONRAD AKSINOWICZ
„POWRÓT DO TAMTYCH DNI”
POLSKA 2021

wyst. Teodor Kozłowski, Agnieszka Książkiewicz, Maciej Stuhr

Marzenie o Ameryce pryska w dniu, w którym z Nowego Jorku wraca ojciec – mroczna wersja radiowego prezentera z „Listów do M.”. Po pierwszej rodzinnej sprzeczce senior wpada w alkoholowy ciąg, a Tomek, zgodnie z duchem epoki, musi wziąć sprawę we własne ręce. Film arcydziełem nie jest, starsi aktorzy radzą sobie lepiej od nastoletnich, jednak realizm tej historii przeraża. Każdy, kto dzieckiem będąc, miał w bliskim otoczeniu mordercę, poświadczy, że Aksinowicz nic a nic nie przesadził. Na szczęście mamy już XXI w. Polacy gardzą wódką i piją gruzińskie wina. ©

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „PENTIMENT”

Darzę estymą twórczość Umberta Eco, a „Imię róży” zajmuje w moim sercu i na mojej półce miejsce szczególne. Kiedy więc usłyszałem o przygodówce, która klimatem i snutą opowieścią nawiązuje do tego arcydzieła, nie mogłem sobie odmówić jej wypróbowania. Jest to gra niezwykle. Nie mam

tu miejsca, by rozplątać się nad tym tytułem, by pisać o podobieństwach i skojarzeniach z „Imieniem róży”. Kryminalna intryga przeplatana odniesieniami historycznymi, postaci z krwi i kości, zapach papieru, który niemal czuć z ekranu, piękna oprawa wizualna... Ach, cóż to za unikat!



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

Konwencja 2D z dialogami wyłącznie tekstowymi może niektórych odrzucać, ale naprawdę warto dać grze się porwać. ©

Radosław Wojtas

• Gatunek: przygodowa
• Platforma: XSX, XONE, PC
• Producent; wydawca: Obsidian Entertainment, Xbox Game Studios

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 536a258947

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Do hymnu!

Jakiś czas temu z lubością cytowałem w tym miejscu zdania Piotra Wierzbickiego z jego uroczego „Powrotu do Mickiewicza”, by teraz wszystkim, którzy podobnie jak niżej podpisany uważają „Pana Tadeusza” za najważniejszą i najpiękniejszą książkę kiedykolwiek napisaną w języku polskim, z równą przyjemnością zaanonsować pracę prof. Andrzeja Waśki wydaną w serii „Literatura i Pamięć”.

Ten spisany trzynastozgłoskowcem arcypoeemat wpisał się, jak żadne inne dzieło literackie, w krwiobiegu nie tylko polskiej kultury, lecz także naszej historii. „Skąd bowiem, jeśli nie z »Pana Tadeusza« – retorycznie pyta Andrzej Waśko – bierze się ogólnonarodowy kult Konstytucji 3 maja? Skąd patriotyczna rehabilitacja konfederacji barskiej? Kto wpoił Polakom przekonanie o przełomowym znaczeniu ofiary Legionów Jana Henryka Dąbrowskiego? Czy nie dlatego w roku 1927 »Mazurek Dąbrowskiego« ustanowiony został oficjalnie hymnem narodowym Polski niepodległej, że pieśń ta grana jest przez kurantowy zegar w Soplicowie i stanowi finał koncertu Jankiela?”. Niewątpliwie, to nie Mickiewicz wyłożył nam w „Panu Tadeuszu” nasze dzieje, ale je w nim ukształtował.

I pomyśleć, że taki znawca przedmiotu, którym był z pewnością Juliusz Kleiner, wydziwiał na używanie przez Jankiela prostych, by nie powiedzieć – prostackich, środków, a słuchaczom jego koncertu zarzucał niską kulturę muzyczną. Może by, idąc tym tropem myślenia, zasugerować naszym kibicom, by na meczach naszej reprezentacji odśpiewywali „Ode do radości”. Byłoby prześlicznie.

Ten sam prof. Kleiner, a także Kazimierz Wyka i Stanisław Pigoń gniewnie marszczyli brwi



FOT. WOLFGANG OLUSZAK/EPAST NEWS

na samą myśl o kluczniku Rębajle, widząc w nim „odstraszający wzór szlacheckiego anarchizmu i prywaty”. Tymczasem to on właśnie, to Gerwazy jest kto wie, czy nie najciekawszym bohaterem „Pana Tadeusza” i trzeba być wdzięcznym Danielowi Olbrychskiemu, że w ekranizacji Andrzeja Wajdy wydobyl z tej postaci to, co najistotniejsze. A gdy cytował księdza Robaka, by „uprzątnąć śmieci” w naszym domu rodzinnym, co w momencie premiery filmu wpisywało się w palącą wręcz potrzebę lustracji – przez widza przechodziły ciary. Teraz Andrzej Waśko wnikliwie przeanalizował, scena po scenie, to wszystko, co mówi Gerwazy, jakich metod używa, by zrealizować swoje cele – owszem, po części partykularne, a także narodowe i patriotyczne. Z pewnością jest to bohater, jak czytamy, „groźny, powikłany psychologicznie i moralnie niejednoznaczny”, ale wyjątkowy. A majora Płuta pozbawił życia może nie pro publico bono, ale też nie było to skrytobójstwo, lecz czyn – jak

przekonywał Leszek Zwierzyński w tekście „Gerwazy – kozioł ofiarny?”, pomieszczonym w obszernym aneksie dopełniającym książkę „»Pan Tadeusz«. Media pamięci” – bohatera romantycznego, takiego jak Kordian czy Konrad Wallenrod. „Wielki to zdrajca czy wojownik?” – pytała o tego ostatniego Maria Janion. A kim w takim razie był ostatni klucznik Horeszkowa?

Czepiali się „Pana Tadeusza” nawet nasi najwięksi; Norwid ironizował, że „zapewne, poemat to arcynarodowy, w którym jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają, aż Francuzi przyjdą zrobić im Ojczyznę”, a zdaniem Słowackiego „cały Tadeusz jest ubóstwieniem wieprzowości życia wiejskiego”. Tyle że autor „Beniowskiego” przyznawał:

*Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemność stolica.*

Bo i pewnie.

Po napisaniu „Pana Tadeusza” pan Adam złamał pióro. Miał 36 lat. Rzeczywiście, co mógł jeszcze w poezji powiedzieć, co dodać? Profesor Waśko jak najślusniej wywodzi, że „doskonałość ze swej istoty nie domaga się żadnych uzupełnień”.

Pprzed laty Artur Górski, pisząc o Mickiewiczu, wykrzyknął w uniesieniu: „Monsalwat!”. Tak właśnie, to słowo tego poety jest naszym zamkiem Świętego Graala. „»Pan Tadeusz«. Media pamięci” to rzecz wolna od podobnych, pewnie nadmiernych emocji. Ale miłość do literatury polskiej ta sama. Pracę prof. Waśki gorąco polecam wszystkim miłośnikom „Pana Tadeusza”, a już uczącym w szkole polonistom w szczególności. Jak dobrze, że powstają podobne książki. Rzeczywistość, w której o literaturze wypowiadałyby się wyłącznie vargi i inne suchanowy, byłaby nie do zniesienia. ©©



★★★★★
ANDRZEJ WAŚKO
„»PAN TADEUSZ«.
MEDIA PAMIĘCI”
WYDAWNICTWO
INSTYTUTU
PAMIĘCI
NARODOWEJ,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dwa bieguny

Mishima nazwał swój esej „spowiedzią krytyczną”; jest to w istocie credo człowieka szukającego doskonałości ciała i duszy. Ciało widzi jako jeden z najważniejszych instrumentów na tej drodze, musi więc być ono w perfekcyjnej kondycji. Zwolenników maksymy „w zdrowym ciele zdrowy duch” przerażać natomiast powinno to, do czego doskonale wytrenowany instrument pisarz chce przeznaczyć; otóż najwyższym ideałem jest śmierć, śmierć bohaterska, w imię najszczytniejszej idei. Gdy zapoznamy się z przesłaniem Mishimy, odkryjemy, że ci, którzy kreują go na ikonę gejowską (miał skłonności homoseksualne i dbał o ciało – to widać wystarczy do ubóstwienia w tych kręgach), mocno błędzą. Chyba że ktoś widzi zgrabne połączenie poglądów Mishimy i postulatów LGBT – ja nie widzę.

W eseju nie ma śladu homoerotyzmu, artysta kontemplujący swoje doskonale ciało jest narcyzem i poszukiwaczem perfekcji, jedności ducha i materii. Wśród obszernego i znakomitego dorobku Mishimy Yukio „Słońce i stal” zajmuje miejsce szczególne. Napisał dwa lata przed samobójczą śmiercią wprowadza nas w sam środek filozofii pisarza uważającego

się za współczesne wcielenie samuraja, skrajnego japońskiego nacionalisty, wyznawcę kultu cesarza, a jednocześnie oryginalnego, wrażliwego i utalentowanego twórcy.

Kolejny paradoks: Mishima twierdzi także w „Słońcu i stali”, że najwyższą formą indywidualizmu jest roztopienie się w grupie. Trudno nie myśleć, czytając te słowa, o totalitarnych systemach, w których jednostka jest niczym. Artysta, istota wyjątkowa, głoszący potrzebę wyrzeczenia się tego, co stanowi o jego wyjątkowości? Materiał do przemyslenia.

Jednocześnie ukazuje się w Polsce tom opowiadań Osamu Dazai „Owoce wiśni”.

Ich bohater-narrator to całkowite przeciwieństwo nadczłowieka Mishimy: łże, cudzołoży, krzywdzi bliskich. Jest świadom wyrzucanego zła i dzieli się z czytelnikiem zarówno szczegółami, jak i absmakiem wywołanym przez własną mizериę.

Dazai odebrał sobie życie w 1948 r., gdy Mishima rozpoczął karierę. Spotkali się raz. „Nie cierpię pana pisania” – wykrzyczał w twarz Mishima Dazaie-mu, który zabił się w 1970 r. Taplanie się w niedoskonałości i pogoń za doskonałością dwóch odmiennych pisarzy doprowadziły do tego samego końca. ©©



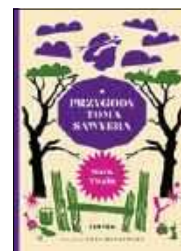
★★★★★
MISHIMA YUKIO
„SŁOŃCE I STAL”
PIW 2022



★★★★★
OSAMU DAZAI
„OWOCY WIŚNI”
CZYTELNIK 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Amerykańska klasyka w przekładzie Anny Bańkowskiej. Czytajmy, aż „cancel culture” jej nie zakaże, jak to się stało z „Huckiem Finnem”. Po większą dawkę Twaina odsyłam do pięciotomowego wydania dzieł w PIW.



MARK TWAIN
„PRZYGODY TOMA SAWYERA”
WYDAWNICTWO KROPKA

„Najbardziej tajemnicza gwiazda Hollywood” – twierdzi w podtytule autor, ceniony redaktor i krytyk, autor m.in. biografii Sary Bernhardt. O Garbo pisali już David Bret, Barry Paris czy Ellen Matson. Gottlieb najciekawiej.



ROBERT GOTTLIEB
„GRETA GARBO”
ZNAK

Piętnaście opowiadań węgierskich modernistów. Tylko niektórych już znamy (np. Gyula Krúdy, Géza Csáth), resztę też witam z wielkim zainteresowaniem. Wybór i przekład Elżbiety Cygielskiej, Anny Góreckiej oraz Julii Wolin.



AUTORZY RÓŻNI
„HALANDŻA”
PIW

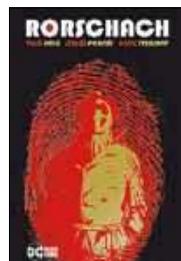
Duchy, wojna, globalne ocieplenie, no i wiele okazji do spożycia napojów, których nie rekomendujemy dzieciom – Pilipiuk przedstawia nową porcję opowieści o swych najpopularniejszych bohaterach: Wędrowcy i Semenie. ©©



ANDRZEJ PILIPIUK
„FACECI W GUMOFILCACH”
FABRYKA SŁÓW

KOMIKS TYGODNIA: „RORSCHACH”

Powrót do uniwersum stworzonego przez Alana Moore'a i Dave'a Gibbonsa w znakomitej powieści graficznej „Strażnicy”. Mieliśmy wcześniej serial HBO kontynuujący i przepisujący na nowo całą historię (choć w odróżnieniu od filmu Zacka Snydera szanujący kształt początkowego pomysłu), była i seria prequeli (cykl „Strażnicy. Początek”). Komiks napisany przez Toma Kinga



TOM KING, JORGE FORNÉS
„RORSCHACH”
EGMONT 2022

koncentruje się na najbardziej tajemniczej i najciekawszej postaci sagi, czyli psychopatycznym mścicielu, który jednocześnie miewa zaskakująco trafne diagnozy na temat chorób toczących społeczeństwo. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

W lśniącej zbroi

Turnieje rycerskie, traktowane początkowo jako ćwiczenia bitewnego kunsztu, stały się z czasem emanacją etosu rycerskiego i nieodłącznym elementem średniowiecznej oraz renesansowej obyczajowości europejskiej. Honorowe potyczki, nienaganne maniery i propagowanie cnót chrześcijańskich oraz

świeckich. A także imponujący oręż i lśniąca zbroja.

Tym ostatnim poświęcona jest wystawa „Od turnieju do karuzelu. Igrzyska rycerskie w nowożytnej Europie” w Muzeum Łazienki Królewskie. Prezentuje arcydzieła płótnarstwa, stanowiąc opowieść o kulturze turniejowej XV–XVI w. w Polsce i w Europie. Głównym elementem wystawy są naturalnej wielkości manekiny w ponad 30-kilogramowych zbrojach, ilustrujące konny pojedynek. Ekspozycje wypożyczono z drezdeńskiego Staatlichen Kunstsammlungen, które szczyci się jedną z najwspanialszych kolekcji uzbrojenia turniejowego i ceremonialnego. Uzupełnieniem są gabloty z innymi elementami rycerskiego rynsztunku. ©©

GDZIE? Muzeum Łazienki Królewskie
KIEDY? do 2 kwietnia 2023 r.



FOT. PAVEŁ CZARNECKI/Muzeum Łazienki Królewskie



FOT. MUZEUM ZAMKOWE W MALBORKU

PRZEMIANY W MALBORKU

– Od ponad 200 lat prowadzone są w Zamku w Malborku systematyczne badania i prace konserwatorskie. Niniejsza wystawa opowiada o początkach tego, trwającego do dziś procesu, w którym używane były argumenty naukowe, konserwatorskie, a także ideologiczne. Malbork nie jest bowiem obiektem neutralnym ideologicznie – mówi dr hab. Janusz Trupinda, dyrektor Muzeum Zamkowego w Malborku. Wystawa „»Zatem Najświętsza Maria Panna musi oglądać swoją sprofanowaną siedzibę« – Malbork między polityką a sacrum (1772–1856)” ilustruje historię przemian zamku. ©©

GDZIE? Zamek w Malborku
KIEDY? do 30 grudnia



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Bolek, Lolek i inni

Wtym roku Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej obchodzi 75-lecie istnienia. To w nim narodzili się: Bolek i Lolek, Pampalini, Reksio, Baltazar Gąbka... Wydana właśnie seria czterech płyt nie tylko przypomni muzyczne tematy znane nam z dzieciństwa, lecz także będzie sporym odkryciem dla melomanów. Album zawiera 41 nagrań z najpopularniejszych kreskówek. Są zatem czołówki do seriali z udziałem wymienionych bohaterów, a także muzyka z „Błękitnego rycerzyka”, „Lisa Leona” czy filmu „Porwanie w Tiuturliście”. Na drugiej płycie znajdziemy utwory Antoniego Mleczki skomponowane w latach 1975–1987 do serialu „Pampalini łowca zwierząt”. Jest na niej osiem

piosenek zaśpiewanych przez Andrzeja Zauchę. Album „Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie” (1986) wypełnia muzyka Marka Wilczyńskiego i Andrzeja Korzyńskiego do filmu fabularnego o tym tytule. Tym razem w roli wokalisty, w czterech piosenkach, pojawia się Piotr Fronczewski.

Prawdziwą perłą w tym zestawieniu jest krążek „Mini Polish Animated Shorts”. Znalazły się na nim jazzowe nagrania do pięciu animacji artystycznych powstałych w latach 1966–1969. Kwintet Krzysztofa Komedy nagrał 10-minutową suitę do filmu „Rondo”. Nowi Singers zaśpiewali w animacjach „Mini” i „Bajka”, zespół Adama Sławińskiego nagrał muzykę do „Pieniądza”, a grupa Tadeusza Kocyby do „Flirtu”. ©©



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„THE BEST OF STUDIO FILMÓW RYSUNKOWYCH”
GAD



★★★★★
MAREK NAPIÓRKOWSKI
„STRING THEORY”
AGORA

Suita napisana na gitarę elektryczną i orkiestrę kameralną AUKSO. Lider prowadzi rozimprowizowane dyskusje ze smyczkami, a sekcja rytmiczna – Max Mucha (kontrabas) i Michał Bryndał (perkusja) – podtrzymuje je na odpowiednim poziomie intelektualnym.



★★★★★
TOMASZ STAŃKO QUINTET
„WOODEN MUSIC”
ASTIGMATIC

W 80. urodziny trębacz dostajemy nagrania, które odnaleziono po 50 latach w archiwach niemieckiego Radia Bremen. Natchniony freejazzowy lot z udziałem Janusza Stefańskiego (dr), Bronisława Suchanka (b), Janusza Suchanka (sax) i Zbigniewa Seferta (violin). ©©

W4UA



SUMMIT

W4UA

WORLD FOR UKRAINE



7-9 grudnia 2022

G2A Arena, Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com

Generał Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów armii amerykańskiej, powiedział niedawno, że „Ukraińcy nie proszą nikogo, by się za nich bił. Nie chcą, by bili się za nich żołnierze amerykańscy, brytyjscy, niemieccy, francuscy czy jacykolwiek inni. Sami walczą we własnej obronie. Chcą tylko środków do obrony przed rosyjskim najeźdźcą. Stany Zjednoczone będą ich wspierać tak długo, jak będzie trzeba”.

Ktoś może powiedzieć, że Amerykanom jest wygodnie tak mówić (bo lepiej patrzeć z satysfakcją na wystrzeliwane pociski niż z bólem – na śmierć własnych żołnierzy) i że lepiej wysyłać broń niż wchodzić bezpośrednio do wojny. Może również Ukraińcy mówią, że wystarczy im broń, bo wiedzą, że na bezpośrednią interwencję w swojej obronie i tak nie mogą liczyć. Niemniej robią to, co mówią. Bronią się sami. Działają tak – co często podkreśla Marian Piłka – jak Izrael, który nigdy nie chciał obcych wojsk na swoim terytorium, natomiast zawsze chciał pomocy w uzbrojeniu i potrafił dzięki niej obronić swe faktycznie obleżone państwo.

I ukraińskie deklaracje, że sami będą decydować o warunkach pokoju, są właśnie pochodną tej nie tyle może polityki (bo sama polityka nie zawsze jest wystarczającą poręką stanowiska państwa), ile postawy. Jeśli dziś powszechnie przyjmuje się, że po wojnie Ukraina będzie uchodzić w Europie za mocarstwo średniego zasięgu, militarnie porównywalne z Niemcami (od Francji i Wielkiej Brytanii będzie ją jeszcze różnił brak broni nuklearnej), to właśnie dlatego, że dziś broni się sama. Tymczasem jednak trwa wojna.

REAGAN WRACA

I CO Z TEGO WYNIKA

W listopadowym numerze „The Atlantic” prof. Phillips O’Brien, wybitny amerykański historyk wojskowości, opublikował artykuł „Przyszłość wojen Ameryki rozstrzyga się na Ukrainie”. „The Atlantic” jest, co ważne, pismem bliskim poglądom establishmentu rządzącej Partii Demokratycznej.

O’Brien traktuje politykę Stanów Zjednoczonych wobec Ukrainy jako model ich zaangażowania w przyszłe konflikty na świecie w ogóle. Interwencję zbrojną ma zastąpić „wspomagający nadzór”, a więc udostępnianie wspieranej stronie „pomocy finansowej, zaawansowanych technologii, informacji wywiadu” oraz



Ukraiński żołnierz na linii frontu w obwodzie donieckim na Ukrainie, 20 listopada FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Ukraińcy i wschodnioflankowcy



Marek Jurek

Założenia naszej polityki od lat mijają się z zaletami ukraińskiej obrony. Chcemy, by w razie potrzeby bili się za nas inni. Aby traktowali wschodnią flankę jak własną granicę

„koordynacji i mobilizacji wsparcia dyplomatycznego”.

Amerykański strateg przypomina przebrane amerykańskie wojny – Wietnam i niedawno ewakuowany Afganistan – ale mógłby do tego dopisać również Irak. Przekonuje, że przejęcie odpowiedzialności za obronę danego kraju zmieniało charakter konfliktu i demobilizowało narody, w obronie których Stany Zjedno-

zione interweniowały. Jako pozytywny historyczny model amerykańskiego zaangażowania wskazuje natomiast pośrednie wsparcie afgańskich powstańców po najeździe sowieckim oraz ruchów dysydenckich w Europie Środkowej i Wschodniej, w praktyce więc przede wszystkim Solidarności. Phillips O’Brien nie wymienia Ronalda Reagana, ale rekomenduje po prostu powrót do jego doktryny. Ważną

ilustrację komplementarności jego założeń i aktualnej polityki USA może stanowić (o czym pisałem wcześniej w „Do Rzeczy”) ostrożna reakcja prezydenta Bidena na eksplozję w Przewodowie.

MIĘDZY ELBLĄGIEM A SEWASTOPOLEM

Myśląc o wojnie, należy zakładać, że przynajmniej w pierwszej fazie będziemy prowadzić ją sami (ewentualnie korzystając w tym okresie z symbolicznego, a nie kluczowego wsparcia) i że w wypadku poniesienia w tym okresie strat terytorialnych od zakresu wsparcia naszych sojuszników będzie zależeć, w jakim stopniu zdołamy je naprawić.

Co to może oznaczać w praktyce? O tym, że wojna między Rosją a Ukrainą będzie się toczyć o Zagłębie Donieckie, pisał już pół wieku przed odzyskaniem przez Ukrainę niepodległości Włodzimierz Bączkowski. Takie rzeczy można przewidzieć, dyktując je historia, socjologia i geografia. O Krymie Bączkowski nie pisał, bo wówczas ostatnią przed sowiecką strukturą państwową na tym terytorium była tatarska Krymska Republika Ludowa, nad którą mandat (nigdy oczywiście niezrealizowany) powierzyła Liga Narodów Polsce.

Pierwszym kierunkiem rosyjskiej agresji na nasz kraj byłoby najpewniej – poprzez przemyk suwalski – północne i środkowe Podlasie, więc tereny, gdzie również dywersja byłaby najłatwiejsza, a także całe pogranicze okręgu królewskiego do Elbląga. Gdy weźmiemy pod uwagę, że w kończącym się roku wojska rosyjskie znalazły się na Białorusi, a militarne znaczenie Królewca dla Rosji wzrosło – łatwo uświadomić sobie, że strategiczne bezpieczeństwo Polski zmniejszyło się nawet bardziej, niżby wynikało z samego faktu agresji na sąsiadujący z nami kraj. Osłabło bardziej w tym sensie, że nawet po ustaniu działań wojennych może być mniejsze, niż było wcześniej. To jeden ze skutków wojny dla Polski.

KOSZMAR GENERAŁA DE GAULLE'A

W wypadku agresji na Polskę ziem, które moglibyśmy stracić w pierwszej fazie wojny, mógłby nam nie zwrócić żaden Artykuł Piąty. Na kresach Europy jest wiele terytoriów trwale okupowanych przez najeźdźców, na obszarach, gdzie konflikty „zamrożono” być może na zawsze, a w każdym razie bezterminowo. To np. Naddniestrze, Krym, północny Cypr,

Zasadnicze interesy naszego kraju to dziś demilitaryzacja Królewca i wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi

rejonu utracone przez karabaskich Ormian w ostatniej wojnie. Następstwa strat w początkowym okresie agresji mogą się więc okazać nieodwracalne, nawet jeśli agresor ostatecznie wojny nie wygra. Dlatego trzeba przygotowywać naszą obronę pod kątem odparcia pierwszego uderzenia i zapobieżenia dywersji wewnątrz naszych granic, ale jeszcze bardziej należy myśleć, jak w ogóle zmniejszyć prawdopodobieństwo wojny.

Warto zawsze mieć w pamięci gaullistowską dystynkcję pomiędzy nawet pewnością interwencji sojusznika a niepewnością jej czasu i zakresu. Właśnie dlatego de Gaulle uważał, że funkcję odstraszenia Francja musi w największym stopniu zapewnić sobie sama, zachowując w pełni sojusze reasekurujące bezpieczeństwo. Tak wyglądała geneza francuskiej obrony nuklearnej.

Innym, choć zbieżnym, przykładem podobnej polityki jest strategia polityczna Republiki Federalnej, szczególnie w ostatnim ćwierćwieczu zimnej wojny. Niemcy cały czas pozostawały kluczowym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na kontynencie, prowadząc jednocześnie politykę, która w maksymalnym stopniu miała zapobiec wojnie, mogącej obrócić w perzynę ich kraj. Gdy to zagrożenie minęło – zrealizowały swój najważniejszy cel, narodowe zjednoczenie.

NIEPODZIELNOŚĆ TO ATRYBUT PAŃSTWA

Warto uświadomić sobie, jak bardzo założenia naszej polityki od lat mijają się z zaletami ukraińskiej obrony, które tak chwali gen. Milley. My, przeciwnie do tego, co amerykański szef połączonych sztabów przypisuje Ukraincom, „chcemy, by bili się za nas żołnierze amerykańscy, brytyjscy, niemieccy, francuscy i wszylni”. Założeniu, że się bić będą, że „flankę” traktują jak własną granicę, jest podstawą nie tylko naszego poczucia bezpieczeństwa, lecz także optymizmu, z którym patrzymy na tragedię ukraińskiej wojny i jej możliwe konsekwencje. Przyzwyczajeni do „rozwoju sponsorowanego” nad

ceną „sponsorowanego bezpieczeństwa” się w ogóle nie zastanawiamy.

Owszem, tromtadacją byłoby założenie, że jesteśmy w stanie wszystkim zagrożeniom stawiać czoła sami. Podobnie saską głupotą byłoby przekonanie, że najlepszą polityką zagraniczną jest brak polityki, bo skoro interesy krajów się różnią – to nigdy nie bywają zbieżne. Państwa z reguły potrzebują chroniących je sojuszy. Co więcej – interesy narodów nie tylko się często łączą, lecz także bywają państwa i narody, które łączy wzajemne i względnie trwałe przekonane o wspólnocie wartości i interesów. Zjawisko to nie stanowi jednak reguły, a nawet tam, gdzie działa, ma różne zakresy i formy.

Przymierz (lub zewnętrzne okoliczności) mogą jedynie wzmocnić bezpieczeństwo, a nie je zastąpić. Lepiej nie zakładać niepodzielności sojuszy. Warto pamiętać, że nasi sojusznicy z drugiej wojny światowej wojnę wygrali. Nie tylko Brytyjczycy, lecz także Francja, która formalnie uzyskała status wielkiego mocarstwa potwierdzony stałym miejscem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Polska niepodległość na pół wieku straciła.

POKÓJ, SENS WOJNY

Uczestnicząc we wsparciu Zachodu dla Ukrainy, powinniśmy więc, jak wszyscy nasi kluczowi sojusznicy, pamiętać, że celem jest przywrócenie pokoju. Żeby go utrzymać, trzeba się szykować do wojny, żeby jej uniknąć, nie można zakładać, że jest nieunikniona. Należy więc zmniejszać prawdopodobieństwo jej wybuchu na naszych granicach. A to już zadanie dyplomacji, która jest konieczną formą realizacji suwerenności, a nie jedynie jej ozdobnym atrybutem.

Z tego punktu widzenia zasadnicze interesy naszego kraju to demilitaryzacja Królewca i wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi. Nasi sojusznicy powinni to brać pod uwagę w wypadku wszelkich rozmów z Rosją, nasi przeciwnicy powinni wiedzieć, czego oczekujemy po normalizacji stosunków w powojennym świecie. Oczywiście kwestie te mogą być o tyle przedmiotem uregulowań pokojowych w Europie, o ile rokowania będą dotyczyć problematyki szerszej niż sama niepodległość i całość Ukrainy. Jeśli tak będzie, jeśli przedmiotem rokowań będzie całości relacji Zachodu i Rosji, to kwestii dla nas ważnych w żadnym wypadku nie mogą pomijać. Jeśli tego chcemy, to należy o tym myśleć i mówić już dziś.

Jak delegalizować konserwatystów, nie zmieniając zapisów prawa



Małgorzata Wołczyk

Wolność słowa nie spadła nam z nieba, wydzieraliśmy ją okupantom kosztem życia naszych najlepszych rodaków. Zmieniając słowa, liberalny salon zmienia prawo – bez wprowadzania zmian legislacyjnych. Nowa Armia Czerwona chce nas uciszyć

Przeciętny nadwiślański zjadacz chleba, słusznie zatroskany o przebieg wojny i wskaźniki inflacji, nie uwierzy, że dniem i nocą trwa operacja na słowach, aby zmieniając ich znaczenie, zmianie uległo prawo i finalnie można było zdelegalizować konserwatystów bez konieczności wprowadzania zmian legislacyjnych.

Owszem, brzmi nieprawdopodobnie, ale to dlatego, że mainstreamowe media wyciszają newralgiczny temat i cały arsenał swoich obaw o „wolność słowa” wystrzelują wyłącznie w kierunku rządu PiS. W dodatku same biorą udział w działaniu zmierzającym do tego, aby zmienić naszą mentalność pod dyktando dogmatów lewicy. Wydawało się, że po doświadczeniach PRL żaden partyjny bełkot skazujący wolną myśl na eliminację nie jest już możliwy. Tymczasem, gdy kolejny wariant lewicowej nowomowy wkracza do języka debaty publicznej, do szkoły czy na ulicę, i to opakowany

dość atrakcyjnie w „europejskie wartości” – trudno o możliwość odwrotu.

JĘZYK KSZTAŁTUJE RZECZYWISTOŚĆ

Czy ktokolwiek usłyszał od położnej, że urodziła mu się osoba LGBT? Zdaje się, że jeszcze nie istnieją tak nowoczesne porodówki, które spełniałyby życzenie nowych komisarzy ludowych od inkluzyjnego języka. A jednak w wielkomiejskim gronie, gdy wdamy się w rozmowę i przypomnimy, że nie ma osób LGBT, a jedynie ideologia, od razu krzyżują się na nas spojrzenia, jakbyśmy popełnili wykroczenie. Wiadomo, perfekcję tego mechanizmu wypracował Goebbels, instruując, że „kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą”. Z chwilą jednak, gdy tłum przyjmie tę „prawdę” jako własną, trudno nam, istotom tak społecznym, stawać w kontrze do dominującej większości. Ci, którzy nie mają ochoty i siły przeciwstawiać się, wolą przyjąć ideologiczny język, ponieważ tłum zapewnia nam ochronę

przed konfliktami i przed tymi, którzy się z nami nie zgadzają.

Historia niewiele może nauczyć, gdy biologiczna potrzeba bycia w stadzie każe posłusznie wyczuwać nastroje i poddawać się im. Uskutecznianie strategii „my kontra oni” zwiększa zależność od grupy, ale – co groźniejsze – może być wykorzystywane do zmieniania prawa bez konieczności wprowadzania nowych zapisów. Proces legislacyjny jest długi i zawiły, wymaga namysłu, analiz, zgody większości, racjonalnego dowodzenia. Dla lewicy to zbyt długa i niepewna droga, woli zbierać owoce rewolucji jak najszybciej. Niewielka grupa zaangażowanych aktywistów, celebrytów posiadających tysiące followersów może zmienić język w debacie i dyskursie prawnym, po prostu zmieniając definicję słów.

W ostatnich latach okazało się np., że wyrażenia: „uchodźca”, „prawa kobiet”, „tolerancja”, „fasyzm” znaczą zgoła co innego, niż podają to ich utrwalone wiedzą



FOT. ANDRZEJ STODK

i doświadczeniem słownikowe definicje. Zresztą lewica wcale nie ukrywa, że ten perfidny zabieg na języku przeprowadza z premedytacją. „Dopiero tworzenie nowych definicji może pozwolić na zmianę” – wyjaśnia w rozmowie z „Wyborczą” Zuzanna Rokita. Oczywiście jako badaczka gender z UW ma na myśli głównie zabiegi związane z wprowadzeniem genderowej nowomowy. „Język kształtuje rzeczywistość. To, w jaki sposób mówimy, ma duży wpływ na to, co sądzimy o danych zjawiskach, zdarzeniach czy osobach. Tworzenie nowych definicji jest strategią odzyskiwania języka, która ma pozwolić na łamanie stereotypów” – mówi w wywiadzie.

Tym sposobem łamie się nie tylko stereotypy, lecz także ludzkie kręgosłupy i sumienia. Cóż innego znaczy bowiem przejęcie przez aborcjonistów pojęcia „prawa kobiet”? Kto słysząc w dyskursie publicznym tę zbitkę słowną, kojarzy ją jeszcze z walką o prawa wyborcze?

Tym ładnie brzmiącym taranem forsuje się dziś ordynarne prawo do kaprysu zabijania własnego dziecka. To kobieta rości sobie prawo określenia statusu człowieczeństwa dziecka: jeśli pojawiło się nie w porę i niechciane, to ona ustali, czy ma prawo do życia. Za operacją słowną nadeszła operacja legislacyjna, na którą zgodziły się już w większości kraje rozwiniętego Zachodu i ich parlamenty. Trzeba więc uczulać Polaków jak najczęściej na pewne słowa fetysze, za których plecami czai się rewolucyjny ferwor kulturowego neomarksizmu. Spójrzmy na coraz modniejsze słowo: patriarchy.

„Nigdy nie wierzyłam w patriarchy, nie czułam, że żyję w architekturze, która tworzy wrogi mi świat, dopóty, dopóki idea rodziny na moich oczach nie zamieniła się w labirynt, z którego nie ma wyjścia. Pełen przymusu i szantażu, domagający się ode mnie ślepego podporządkowania” – czytamy w niedawnym reportażu w „Wysokich Obcasach” z 20 października 2022 r.

Czytelniczki „WO” od paru lat odkrywają nową walkę klas, to znaczy płci: odkrywają, że są poddane heteropatriarchalnej opresji. Tak jak robotnik rodzi się skazany na brutalny świat kapitalistycznego wyzysku, w którym nie miał szans, tak kobieta bez względu na swój wysiłek skazana jest na opresję męskiego świata, pełnego tradycyjnej hierarchii, z której powinna się wyemancypować i wyzwolić. Stygmatyzowany przez marksisistów kapitalizm zastąpiony dziś został heteropatriarchatem.

PATOLOGICZNY WIKTYMIZM

Lewica wynajduje nowe struktury rzekomego ucisku, ponieważ żywi się konfliktem wewnętrznym – musi wykreować ofiarę i jej wroga. I nawet jeśli nam, polskim kobietom, udało się narzucić pewien rodzaj matriarchatu z racji polskiej historii i roli kultu maryjnego, to wmawia się, że jesteśmy uciskane i z racji posiadania chromosomu X automatycznie stajemy się ofiarą naszego polskiego macho w łagodniejszej odmianie wąsatego Janusza. To oczywiście wszystko mieści się w logice sztandarowych haseł lewicy o „dyskryminacji”: Afroamerykanie są dyskryminowani w postkolonialnym świecie białych, homoseksualiści dyskryminowani przez homofobów, kobiety dyskryminowane przez heteropatriarchat. Nowa ideologia patologicznego wiktymizmu każe oskarżać innych o nasze porażki, słabości i szukać usprawiedliwienia dla naszego lenistwa, nieudolności czy braku szczęścia. Radikalna lewica będzie lansować i podsycać te wzajemne pretensje, szukając spełnienia swego snu o rewolucji. W dodatku bycie w grupie „dyskryminowanej” umożliwia zdobycie pewnego rodzaju władzy nad innymi: „Jestem czarnoskóra, moi przodkowie byli gnębieni przez was, więc musicie uklęknąć przede mną”.

Przykłady można mnożyć. Bart Staszewski, wymyślając tablice z napisem „strefy wolne od LGBT”, doskonale wiedział, że współczesny układ sił daje mu władzę promowania kłamliwej narracji wskutek wsparcia nowej Międzynarodówki. Adekwatną nazwę na ten rodzaj szantażu usłyszałam od Brytyjczyków, niektórzy nazywają ten zabieg „weaponized our empathy” – uzbrojoną empatią wykorzystaną przeciwko nam samym.

Bo skoro jestem imigrantem, to musisz mi automatycznie współczuć i przyjąć mnie do swojego kraju, skoro

Jestem z Afryki, to ty jako Europejczyk automatycznie odpowiadasz za los moich przodków i z racji współczucia musisz pogodzić się z tym, że nie szanuję procedur związanych z przekraczaniem granicy oraz zgodzić się na siłowe wtargnięcie takich jak ja. Pytanie, jak poradzić sobie jednak z perspektywą takiej fali gości, gdy wedle ostatnich danych Instytutu Arabskiego, na które powołuje się partia Zemmoura, aż 52 proc. z ankietowanej grupy 18–25-latków mieszkających w Afryce chce przyjechać do Europy. Jak pomieścić miliony Afrykańczyków na naszym skrawku Europy?

To jest oczywiście obłęd w stanie czystym, ale sami przekonujemy się, jak skutecznie implantowany. Cóż z tego, że istnieje Frontex, a unijne prawo jasno stanowi o ochronie granic zewnętrznych UE, skoro multikulturalizm i szantaż empatią całkowicie unieważniły istniejące prawo o migracji nielegalnej i polityce azylowej? Wystarczy, że Janina Ochojska wspomni coś o „torturowaniu uchodźców w Polsce”, a już wszystkie europejskie media prześcigają się w reportażach znad granicy. Ochojska cynicznie wykorzystuje ten arsenał szantażu empatii.

Tymczasem jeśli się dobrze zastanowić, to nie istnieje świat wolny od dyskryminacji, bo każdy z nas jej doświadczył: wystarczy być zbyt małym wśród wysokich, zbyt chudym wśród grubych, introwertykiem w gronie ekstrawertyków, katolikiem wśród ateistów, prawakiem wśród lewaków i dyskryminacja gotowa. Oczywiście lewica wiedziała, komu rozdać te karnety na poniżonych, bitych i prześladowanych obywateli, bo przecież nie będzie wstawiać się za prześladowanymi chrześcijanami ani za nienarodzonymi dziećmi – to jest dla niej żaden elektorat. Kapitalizuje głosy tych, którzy mają wszelkie szanse do niej przylgnąć: mas imigrantów, pogubionych w swej zachwianej tożsamości młodych ludzi, podatnych na mody i dyktat większości. Ta ideologia bycia urodzoną ofiarą jest niezwykle niebezpieczna i to zarówno dla jednostki uczoney nienawiści wobec wrogię jej systemu, jak i dla wspólnoty rozbijanej na licytujące się wzajemnie „mniejszości”, z których każda uważa, że należy jej się monopol na bycie ofiarą.

Oczywiście w czasie, gdy zachodni świat pogrąży się w absurdalnych i utopijnych problemach na temat używania zaimków osobowych czy nauczania matematyki w perspektywie gender (tu

bryluje jak zwykle Hiszpania), Chińczycy ani myślą poddawać się podobnie samobójczym projektom i hołdują jak zwykle powiedzeniu „co masz zrobić jutro, zrób dziś”, aby zaskoczyć nas znów projekcją swojej siły w wielu dziedzinach.

Wydawało się, że po 1989 r. my, Polacy, mamy silny układ odpornościowy, tymczasem atrakcyjność kulturowego neomarksizmu uczyniła nas podatnych na syreni śpiew o nowym uciskanym proletariacie.

Gdyby jednak sprawa kończyła się tylko na różnicy światopoglądów, tak miłe widzianej w wolnym, liberalnym świecie. Praktyka pokazuje, że jak w przypadku aborcji czy polityki migracyjnej litera prawa może być obchodzona lub anulowana bez faktycznych zmian legislacyjnych, zmuszając wszystkich do zaakceptowania nowego stanu rzeczy. Przykład pierwszy z brzegu: w 2020 r. polski Trybunał Konstytucyjny musiał przyznać, że przepisy dotyczące aborcji z powodu ciężkiej wady płodu są niezgodne z konstytucją. Tymczasem w Hiszpanii (jeszcze do niedawna tak katolickiej, dziś najbardziej progresistowskiej za sprawą sprawczości jej lewicy) Trybunał Konstytucyjny uparcie milczy od 12 lat w temacie zgodności prawa do aborcji z zapisami konstytucji, mimo skarg posłów o niekonstytucyjności nowych zapisów wprowadzonych przez Zapatero. Powód jest oczywisty: współczesne, pragmatyczne rozumienie „prawa kobiety” jest ważniejsze od zapisów konstytucyjnych. Podobnie z innymi zapisami łamiącymi wprost zapis art. 14 hiszpańskiej konstytucji o równości przed prawem niezależnie od płci. Szokująca hiszpańska ustawa „o przeciwdziałaniu przemocy ze względu na płeć” z góry kryminalizuje wszystkich mężczyzn. To mężczyzna posądzony o przemoc w związku jest zmuszony dowodzić swojej niewinności, a nie kobieta dowodzić jego winy jako oskarżyciel. Za sprawą ideologii gender odrzucono największą zdobycz prawną świata zachodniego: domniemanie niewinności. To się dzieje naprawdę w Hiszpanii, bezprecedensowe łamanie zapisów konstytucji na skutek wprowadzania tylnymi drzwiami ideologicznych dekrétów lewicy i presji na tamtejszy TK.

NOVA ARMIA CZERWONA

Tym, czego najbardziej obawiają się mieszkańcy krajów ogarniętych wokizmem, czyli najnowszą, połączoną wer-

sją politycznych wzmożeń spod znaku agendy LGBT, antyrasizmu, radykalnego feminizmu, poprawności politycznej, jest fakt, że jedynym sposobem, aby obronić tę utopijną ideologię, jest już nie tylko uciszanie, stygmatyzowanie konserwatywistów, ale przede wszystkim ich zamykanie. Nie istnieje bowiem możliwość obrony tak nieracjonalnych idei, pozbawionych wewnętrznej logiki i koherencji. Wystarczą argumenty wywiedzione z nauki, aby absurdalne tezy lewaków runęły jak domek z kart. Radykalna lewica będzie więc musiała sięgnąć po przemoc w szerszym zakresie, aby uciszyć oponentów, bo szkalowanie i otaczanie „kordonek sanitarnym” już im nie wystarcza. To, co podkreślają konserwatyści zachodni, to ciche aresztowania, o czym zresztą sporo mógłby opowiedzieć światu nasz redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz. Jeśli wierzyć statystykom, które pojawiły się w internetowym programie Johna Douglasa Andersona, byłego wicepremiera Australii, a teraz politycznego komentatora: w 2018 r. w Rosji aresztowano 400 osób za niepoprawne komentarze w mediach społecznościowych, podczas gdy w tym samym roku w Wielkiej Brytanii aresztowano aż 3,3 tys. osób. Ten proceder zamykania odbywa się po uprzedniej zawaolowanej operacji słownej, która zmieniała znaczenie słowa „niebezpieczny”. Niebezpiecznym staje się więc dziś nie agresor, który zagraża fizycznie, ale każdy, kto nie podziela opinii mainstreamu. Do karania takich „niebezpiecznych” ludzi służy oskarżenie z paragrafu „hate speech”. To dlatego liberalny salon z taką łatwością podejmuje dziś temat delegalizacji PiS. Jeszcze parę lat rządów socjalistów europejskich, a my, konserwatyści, będziemy zamykani na gruncie „prawa i wartości europejskich”.

Wolność słowa nie spadła nam z nieba, wydzielaliśmy ją okupantom kosztem życia naszych najlepszych rodaków. Podobnie w Europie – koncepcja, rozwój i ochrona tej wolności zajęły wieki starań i pracy odważnych intelektualistów. Zwykle nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo coś jest cenne, dopóty, dopóki tego nie tracimy. Zmieniając słowa, liberalny salon zmienia prawo – bez wprowadzania zmian legislacyjnych. Nowa Armia Czerwona chce nas uciszyć w debacie, musimy się jej oprzeć. Zanim przyjdzie nam znów pisać z obozów internowania prośby o paczki od rodziny...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

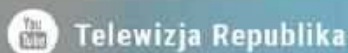
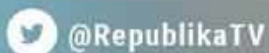
POLITYCZNA

kawa



Tomasz Sakiewicz wspólnie
z zaproszonymi do studia
dziennikarzami i politykami
podsumowuje najważniejsze
wydarzenia minionego tygodnia.

niedziela
w samo południe
12:00



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Ruch charyzmatyczny (zwany też pentekostalnym lub zielonoświątkowym) do niedawna kojarzył się głównie z obiema Amerykami, ale to już przeszłość. Jest obecny na coraz większą skalę również w Polsce – i cieszy się rosnącym poparciem biskupów. Problem w tym, że rozwiązanie kryzysu, które oferują chrześcijanie charyzmatyczni, jest tylko pozorne. Funkcjonalnie są sojusznikami sił rewolucyjnych.

O charyzmatykach zrobiło się głośno w połowie października, podczas wizyty ich polskiej delegacji u samego papieża Franciszka. Nie byli to wyłącznie katolicy. W przypadku środowisk zielonoświątkowych często trudno jest mówić o sztywnej przynależności eklesjalnej. Część charyzmatyków to formalnie członkowie Kościoła, część należy do wspólnot protestanckich; wszyscy praktykują jednak podobną, bardzo specyficzną duchowość, czyniąc w praktyce rozróżnienia na katolicyzm i protestantyzm tyle niemożliwymi, ile po prostu... wtórnymi. W ocenie samych charyzmatyków to ogromna zaleta, bo podkreśla „ekumeniczny wymiar” ich przeżywania chrześcijaństwa, co miałoby być zgodne z wolą ojców Soboru Watykańskiego II. Według krytyków mamy do czynienia raczej ze swoistym synkretyzmem „ekumenicznym” i rozmywaniem własnej tożsamości. Z perspektywy zarówno nauki katolickiej, jak i wykładni „tradycyjnego” protestantyzmu jest to poważny problem. Zwłaszcza w Kościele katolickim: czym innym jest ograniczona współpraca z protestantami, np. w obronie życia ludzkiego, a czym innym jest nieustanne „mieszanie się” na nabożeństwach i przekreślanie jakichkolwiek różnic. Chodzi w końcu nie o drugorzędne sprawy, ale o ortodoksję i herezję, o zbawienie i potępienie...

POZASAKRAMENTALNY „CHRZEST”?

Papież Franciszek takich problemów nie widzi. Wprost przeciwnie – na październikowym spotkaniu swoim zwyczajem wywołał kolejny skandal. Nie dysponujemy wprawdzie dosłownym zapisem jego słów, ale relacje uczestników spotkania są dość zgodne – a był wśród nich również metropolita Łodzi, abp Grzegorz Ryś. Jeżeli wierzyć tym świadectwom, to papież miał piętnować „przeciąganie” wiernych z jednej wspólnoty do drugiej, nie czyniąc przy tym rozróżnienia pomię-



Katolicy, protestanci... nieważne



Paweł Chmielewski

Kryzys Kościoła katolickiego jest w powszechnym odbiorze naznaczony przede wszystkim przez spór dwóch „stronnictw”: tradycjonalistów i rewolucjonistów. Ci pierwsi odwołują się do nauczania przedsoborowego, a ponadto – częściowo – do Jana Pawła II i Benedykta XVI; odrzucają projekt budowania nowego Kościoła otwartego na „ducha świata”. Drudzy chcą „iść naprzód”, a różnią się tylko co do postulowanego tempa. Niektórzy wolą pędzić i od razu wprowadzać do Kościoła np. ideologię LGBTQ+, inni wolą czynić to krok po kroku, mniej zauważalnie... W ostatnich latach wyrosła jednak jeszcze trzecia grupa. To nowi charyzmatycy, którzy deklarują brak zainteresowania „politycznymi” waśniami



Papież Franciszek, przywódca ewangeliccy i kardynałowie na Złotym Jubileuszu Katolickiej Odnowy Charyzmatycznej w Circo Massimo 3 czerwca 2017 r. w Rzymie

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

dzy przeciąganiem heretyka do Kościoła, a przeciąganiem katolika do wspólnoty heretyckiej. To absurd, bo różnica jest fundamentalna i dla każdego katolika powinna być oczywista; papież miał jednak zwracać uwagę na wyjątkowość historii każdego człowieka i mówić, że... należy te sprawy powierzyć Duchowi Świętemu. Jak to oceniać, czytelnicy wiedzą; zostawiam tu jednak papieża, bo nie o nim jest ten artykuł; ponadto to nie pierwsza jego wypowiedź tego rodzaju.

To, co jest w całym wydarzeniu szczególnie interesujące, to fakt, że Ojciec Święty spotkał się właśnie z polskimi środowiskami pentekostalnymi. Okazuje się bowiem, że to właśnie w naszym kraju ruch charyzmatyczny jest szczególnie silny i Kościół w Polsce zaczyna wyrastać na jedną z głównych światowych przestrzeni budowania swoistego zielonoświątkowego ekumenizmu. Według uczestników spotkania z Franciszkiem w Watykanie miano uznać, że w tym roku to właśnie w naszym kraju wydarzyło się jedno z trzech najważniejszych i największych wydarzeń charyzmatycznych. Chodzi o konferencję „Już czas”, która odbyła się w lutym tego roku na terenie archidiecezji łódzkiej, a w której udział brali katolicki biskupi i księża, duchowni protestanccy oraz świeccy liderzy pentekostalni.

Konferencję można byłoby z jednej strony uznać za przejaw typowego posoborowego ekumenizmu, gdyby nie jej podtytuł: „Spotkanie liderów Kościoła”. Bo o jakim „Kościół” mowa, skoro jego liderami są zarówno katolicki biskupi, jak i reprezentanci wspólnot opartych na schizmie i herezji? Łódzkie wydarzenie zostało zbudowane na zupełnie nowatorskiej eklezjologii, która nie utożsamia już Mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa z Kościołem katolickim; to eklezjologia interpretująca nauczanie Soboru Watykańskiego II w duchu zerwania z przeszłością, a która widzi „Kościół” jako enigmatyczny byt, do którego katolicy jedynie „przynależą” w podobny sposób jak protestanci. To poniekąd chichot historii: chodzi przecież o słynne sformułowanie „subsistit in”, które wywołało po Soborze wiele kontrowersji, a które starał się w zgodzie z ortodoksją tłumaczyć kard. Józef Ratzinger. Okazuje się, że jego wysiłki były próżne: radykalni ekumeniści i tak czytają je tak, jak im się podoba.

Konferencja „Już czas” nie była wypadkiem przy pracy, o czym świadczy nie tylko uznanie, które wyrażać mieli dla niej ekumeniści z Watykanu. Idea stworzenia całkiem nowego „Kościół przy-szłości”, który „przełamie historyczne podziały denominacyjne”, leży u samych fundamentów ruchu pentekostalnego. Charyzmatycy uważają, że od kilkudziesięciu lat mamy do czynienia ze szczególnym działaniem Ducha Świętego, który wzbudza u wierzących w Chrystusa nowe przeżywanie wiary, niezależnie od wspólnoty, do której należą. W istocie dla pentekostalnej tożsamości ważne są nie tyle sakramenty i doktryna, nie wierność Urzędowi Nauczycielskiemu, ile... wysoce subiektywne doświadczenie, które nazywają „chrztem w Duchu Świętym”. Taki pozasakramentalny „chrzest” miałyby oznaczać nawiązanie przez wierzącego odnowionej relacji z Bogiem, co miało by z kolei stać się punktem wyjścia do odnowy całego chrześcijaństwa i położyć ostateczny kres podziałom i sporom, dając początek nowej historii świata (sic!). To, jak zauważy czytelnik, błąd millenarystyczny w czystej niemal postaci.

PRZED SYNODALNĄ BURZĄ

Wiele wskazuje na to, że część polskich biskupów uważa ruch zielonoświątkowy za nadzieję na odnowę chrześcijaństwa w Polsce. Sądzą, że pentekostalizm doprowadzi do zatrzymania

ludzi w Kościołach lub nawet powrotu wielu z tych, którzy odeszli. Być może jest to sensowne w kategoriach czysto instytucjonalnych. Przecież w takich krajach jak Brazylia czy Honduras, które jeszcze do niedawna były niemal wyłącznie katolickie, dziś większość chrześcijan należy do protestanckich wspólnot zielonoświątkowych. Polscy biskupi mogą chcieć zatrzymać taki eksodus, godząc się, by charyzmatyzm rozwijał się w ramach Kościoła. Problem w tym, że ruch pentekostalny niesie ze sobą całą gamę niezwykle głębokich zagrożeń, które zostały wyżej ukazane w największym tylko skrócie. Trzeba się zatem zastanowić, czy w Kościele katolickim w Polsce podchodzi się do tego fenomenu z należytą roztropnością. Niestety, wydaje się, że brakuje wciąż krytycznej refleksji. Świadczy o tym już choćby wspomniana konferencja „Już czas”, która cechowała się przyjęciem jako aksjomatu niekatolickiej eklezjologii. A na tym, niestety, nie koniec. Niezwykle pouczająca jest pod tym względem działalność polskiej sekcji organizacji Charis. Chodzi o organizację, którą w 2019 r. papież Franciszek powołał w celu zgromadzenia pod jednym parasolem wszystkich katolickich ruchów pentekostalnych. Na włosko- i anglojęzycznych stronach Charis można przeczytać, że jest to ruch dla katolików. W sekcjach dotyczących rejestracji wspólnoty zaznacza się to bardzo wyraźnie. W Polsce tego zastrzeżenia jednak nie ma. Warunki rejestracji w Charis to charyzmatyczność czy życie „chrztem w Duchu Świętym”, ale nie katolickość.

To pokazuje, że potrzebny jest w naszym kraju pilny i gruntowny namysł nad przyszłością ruchu pentekostalnego. Tym bardziej że wielkimi krokami zbliża się ogólnosiwiatowa synodalna burza: w ramach tworzenia „Kościół synodalnego” urzędy watykańskie proponują daleko idące uzgodnienie katolicyzmu z rewolucją. Musimy być przygotowani na to, by stawić temu wyzwaniu czoła. Chrześcijanie zielonoświątkowi, którzy pryncypialnie rezygnują z doktrynalnego namysłu nad miejscem Kościoła w świecie na rzecz emocjonalnych przeżyć, mogą stać się – świadomi lub nie – ważnym zasobem dla grup radykalnych progresistów. Trzeba to wziąć pod uwagę, a czasu jest doprawdy mało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Bogdan Rymanowski

Fragment książki „Dopaść Morawieckiego. Życie doczesne i wieczne Kornela buntownika”

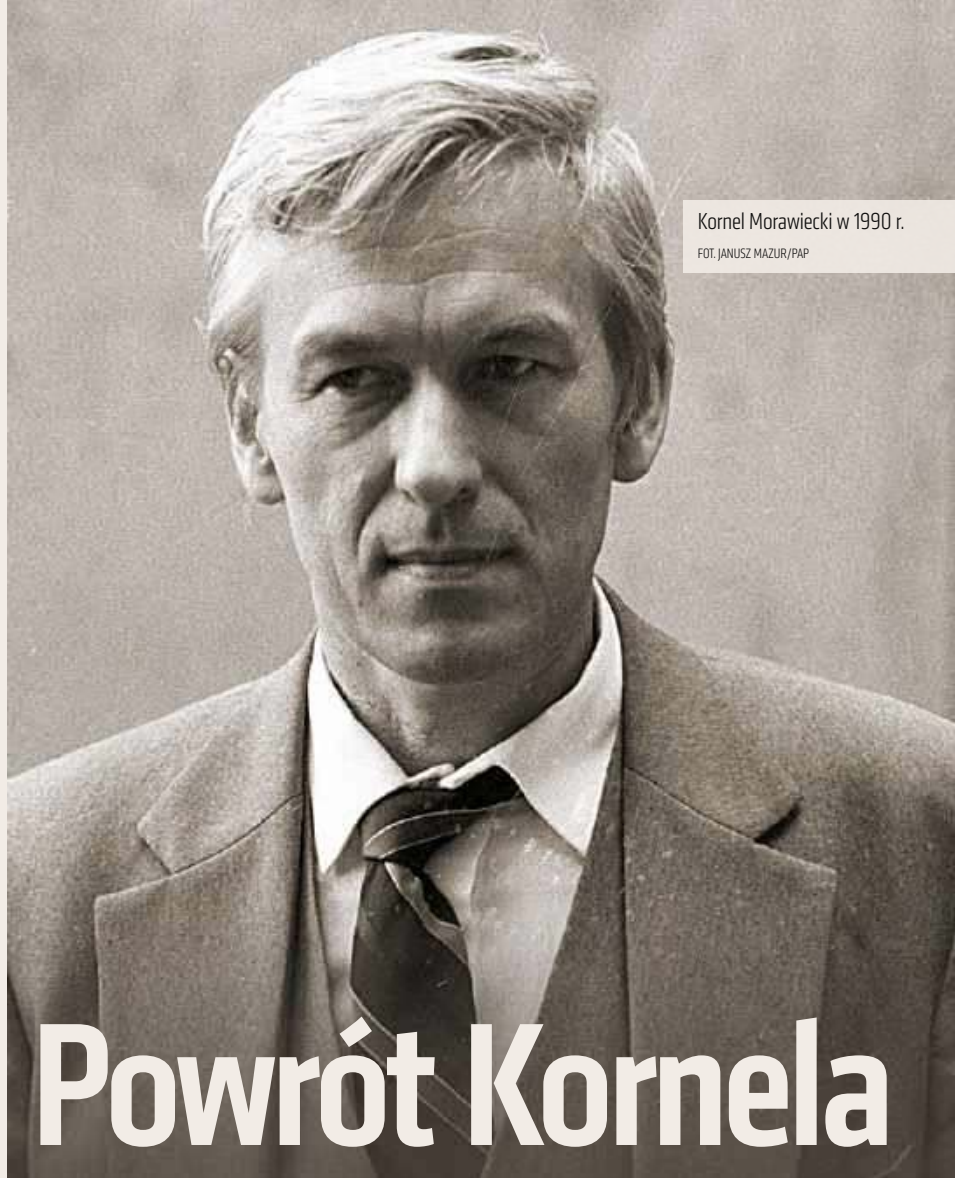
Początek lipca 1988 r. Kornel, Andrzej Myc i Andrzej Czuma (działacz ROPCiO, w III RP minister sprawiedliwości) spacerują wzdłuż jeziora Michigan. Jest już po północy, ale upał nadal jest duży. W pewnej chwili, ku osłupieniu idących z nim przyjaciół, Kornel zbiega z chicagowskiej promenydy, ściąga ubranie i rzuca się do wody.

– Pobiegłem za nim. Za chwilę razem pływaliliśmy. Kornel musiał jakoś odreagować te wszystkie spotkania, nieprzespane noce, ciągnące się godzinami rozmowy i tysiące twarzy, które poznał. W tym pływaniu było coś nierealnego. Noc w Chicago, wokół rozświetlone drapacze chmur, a my w jeziorze – wspomina Andrzej Myc.

W jednej chwili do pływających w Michigan przyjaciół powraca podziemia przeszłość. Flesz za fleszem. Tajne spotkania, długie nocne narady, ucieczki przed SB, ciągły pośpiech, aby zdążyć na czas. Wraca wspomnienie spaceru z pierwszych tygodni stanu wojennego.

Idą ulicą Tęczową we Wrocławiu. Wracają z jakiegoś konspiracyjnego spotkania. Rozmawiają o czymś zawzięcie, gdy zza zakrętu wyłania się patrol ZOMO. Trzech milicjantów kieruje się wprost na nich. Wyobraźnia zaczyna pracować w przyspieszonym tempie. A co, jeśli poproszą o dowody? Co, jeśli przeszukają pełne bibuły kieszenie? A jeśli rozpoznają Kornela? Może już teraz rzucić się do ucieczki. Patrol jest już trzy metry przed nimi. Strach paraliżuje im mowę. Ale instynkt podpowiada, że nie mogą przestać rozmawiać, bo wyglądałoby to podejrzenie. Więc plotą jakieś głupoty, udając tak zaaferowanych rozmową, jakby cały świat wokół nie miał znaczenia. Unikają wzroku zomowców. Nie chcą kusić losu. Trzy sekundy później jest już po wszystkim. Patrol mija ich, nie zaczepiając.

– Gdyby ktoś wtedy powiedział, że wkrótce będziemy pływać z Kornelem w samym środku nocy w Chicago, pomyślałbym, że bredzi. Jednak rzeczywistość okazała się bardziej szalona niż nasza działalność – komentuje Andrzej Myc.



Kornel Morawiecki w 1990 r.

FOT. JANUSZ MAZUR/PAP

Powrót Kornela

Gen pływaka odzywa się w Kornelu raz jeszcze 4 lipca, w Dniu Niepodległości. Siedzą we trójkę przy bulwarowym stoliku, czekając na mocniejszy podmuch wiatru. Upał jest nie do wytrzymania. Podchodzi kelner. Myc zamawia zimne napoje. Gdy odwraca wzrok, Kornela już nie ma. Chwilę później jego głowa wyłania się z jeziora, jakieś dwieście metrów od brzegu.

– Andrzej Czuma strasznie się przejął. Dorwał jakąś motorówkę i pognął za Kornelem. Złapał go dwie mile od linii brzegowej. „Wsiadaj do łódki!” – woła. Ale Kornel nic sobie z tego nie robił. „Wsiadaj!” – krzyczy jeszcze raz. I znowu odmowa. „Dobra, to płyn do brzegu, a my popłyniemy obok!”. Zmęczony pływaniem Kornel powiedział wtedy „OK”. Gdy dopłynął do plaży, był cały siny. Trząśnięty z zimna. Położył się na piasku w pełnym słońcu i niemiłosiernie spalił. Polacy, u których nocowaliśmy, smarowali go później kwaśnym mlekiem – wspomina Andrzej Myc.

Po wizycie w Chicago pora na Detroit. A pomiędzy jeszcze odwiedziną małego Ann Arbor, gdzie spotyka się z profesorami Zbigniewem Oziewiczem i Jerzym Petryniakiem. Przyjaciółmi z SW, którzy robią kariery na miejscowej uczelni.

Morawiecki ma regularny kontakt telefoniczny z Polską. Podśłuchy ograniczają szczerłość i wymuszają mówienie szyfrem, lecz po latach wspólnej działalności nie sprawia to nikomu problemu. Lider SW konsultuje się w ten sposób z Myśleckim, Zarachem, Frankiewiczem i Łukowską-Karniej.

„Uważaj, te chuje nas słuchają, skurwysyny siedzą, pierdzą i nas słuchają” – ostrzegał wtedy swoich rozmówców Wojciech Myślecki.

SPOSÓB NA POWRÓT

– Dowiedziałem się – opowiadał później Kornel – że wedle wielu opinii źle się stało, że dałem się z Polski wyrzucić. Większość uważała jednak, że powinie-

nem tę okazję wykorzystać do załatwienia jak największej liczby spraw. Ale też, że powinienem jak najszybciej wracać. Byłem tego samego zdania. Pozostawał więc tylko sposób.

Już na przełomie lipca i sierpnia docierają do Ameryki informacje, że władze są gotowe rozpocząć rozmowy z Lechem Wałęsą. Kornel wita je z ostrożną nadzieją.

„Pierwszym i niepodlegającym dyskusji krokiem w tym wymuszonym dialogu winno być przywrócenie legalnej działalności NSZZ »Solidarność« w oparciu o statut przyjęty przez I Krajowy Zjazd. Jest to konieczny wstęp do nieuniknionych zmian w Polsce” – pisze w napisanym w USA, a kolportowanym w kraju oświadczeniu.

Dwa tygodnie później wybuchają strajki. Staje Kopalnia Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju, potem do protestu dołącza się trzynaście innych kopalń. Strajki wzbuchają też w porcie w Szczecinie oraz Stoczni Gdańskiej, gdzie na czele protestu staje Jacek Merkel. Głównym postulatem jest ponowna legalizacja Solidarności. Generał Kiszczak grozi użyciem wojska, jeśli protesty się nie zakończą.

„Jak i kiedy nastanie wyzwolenie Polski, będzie zależeć od naszej odwagi i wrażliwości sumienia” – pisze Morawiecki w kolejnym oświadczeniu, przewidując, że „obecne strajki, żądania górników i portowców są zapowiedzią upadku systemu”.

W sierpniu 1988 r. Kornel przenosi się do Kanady. Pod dach przyjmuje go Zbigniew Bełz – jeden z założycieli SW, emigrant roku 1982. Kornel wie już, że jego powrót do kraju jest kwestią dni. Zdaje sobie sprawę, że może to nastąpić dopiero wtedy, gdy pozbędzie się towarzyszącej mu na spotkaniach publicznych obawy. Jeszcze w USA ktoś przynosi mu „Trybunę Ludu”, w której Jerzy Urban komentował na bieżąco jego wystąpienia. Był świetnie zorientowany. Przytaczał nawet słowa, które Kornel wypowiadał w mniejszym gronie.

Jest 23 sierpnia 1988 r. Toronto. Kanadyjska Polonia organizuje przyjęcie na cześć Morawieckiego. Gospodarze ogłaszają, że Kornel na dniach będzie przyjęty przez wiceprezydenta USA – George’a Busha seniora. Salę ogarnia euforia. Przemawia Morawiecki.

I robi coś, co mu się publicznie nigdy nie zdarzało. Publicznie kłamie, że zamierza odwiedzić kolejne kanadyjskie

miasta. W ten sposób chce wprowadzić w błąd słuchających go agentów z Polski. Kilka minut później wymyka się dyskretnie z przyjęcia i udaje do garażu, gdzie czeka samochód. Wtajemniczeni w całą sprawę gospodarze dają mu alibi. Gościom, którzy pytają, gdzie zniknął Kornel, odpowiadają, że źle się poczuł i musi odpocząć.

– Kornel tego samego dnia miał zaplanowane kolejne spotkanie w kościele w Toronto. Ale już tam nie poszedł. I wtedy stracili go ze swoich radarów – opowiada Dariusz Olszewski.

– Ci, którzy mnie wtedy śledzili, byli mniej czujni. Wiadomo już było, że za kilka dni spotkam się z wiceprezydentem Bushem. Zapewne nie sądzili, że zrezygnuję z takiej możliwości – mówił potem Morawiecki.

Z PASZPORTEM GŁOWACKIEGO

Jeszcze przed przyjęciem Kornel dzwoni do prof. Kazimierza Głowackiego, wykładowcy na amerykańskiej uczelni. Prosi przyjaciela, aby ten pożyczył mu swój paszport. Historia ich znajomości to jeszcze jeden dowód na to, że w życiu nie ma przypadków.

– Mój teść był ciepłym i dobrym człowiekiem – komentuje Jadwiga Morawiecka. – Ojciec Kornela jako majster kładł rury ciepłownicze i spotkał w Warszawie siedzącego na ławce załamanego dwudziestolatka. Zapytał, co się stało. Chłopak powiedział, że pochodzi ze wsi i właśnie przed chwilą oblał egzamin na studia. Z rosyjskiego. I nie ma już po co wracać do domu. Teść obiecał pomoc. Poradził, aby pojechał do Wrocławia. Tam syn i synowa coś wykombinują. Tym młodym człowiekiem był Kazik Głowacki. Kiedy do nas przyjechał, posłałam do dziekana na Wydziale Matematyki – Lucjana Sobczyka, gdzie były jeszcze wolne miejsca. Dziekan był życzliwy i Kazik został przyjęty. Po pierwszym roku przeniósł się na górnictwo odkrywkowe. Po studiach wyłudował na AGH w Krakowie, a potem na stypendium w Ameryce.

Paszport Głowackiego dociera do Toronto pocztą ekspresową błyskawicznie. Ale pojawia się problem z wyglądem. Kornel już siwieje, a jego młodszy o kilka lat przyjaciel wciąż jest brunetem. Zamiana zdjęć (Morawiecki robił to wiele

razy, ukrywając się w Polsce) nie wchodzi w grę. Amerykańskie służby imigracyjne są czujne i natychmiast wykryłyby lewe dokumenty.

Pozostaje inne rozwiązanie. Również obarczone ryzykiem. Przyjaciele kupują farbę do włosów, a Kornel spędza kilkanaście minut przed lustrem. Podczernia sobie włosy, zmienia uczesanie i jest gotowy do podróży.

A ta jest pełna przygód. Z Toronto Morawiecki zamierza lecieć do Wiednia. Niestety, spóźnia się na samolot. Z lotniska musi wrócić na noc do miasta. Następnego dnia przywożą go na terminal niemal w ostatniej chwili i personel nie chce przyjąć jego bagażu.

Sprzyja mu jednak szczęście. – Jak oficer na lotnisku dowiedział się, że muszę być następnego dnia w Wiedniu i jest to sprawa polityczna, załatwił mi lot pierwszą klasą – relacjonował Kornel.

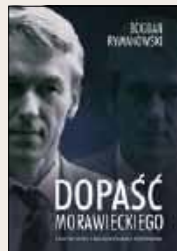
Morawiecki wchodzi na pokład maszyny jako Głowacki. Gdyby podróżował na własnym paszporcie, mogłaby go czekać powtórka z 4 maja. Zamierza dotrzeć do Polski, jeszcze zanim agenci wywiadu PRL doniosą władzom w Warszawie o jego zniknięciu.

Przez Manchester i Monachium dociera do Wiednia. – Tam się okazało, że moi znajomi nie mogą mnie odwiedzić autem do Polski, bo mają paszporty austriackie, ale nie przejadą przez Czechy, bo nie mają wizy. Zdecydowałem się jechać pociągiem do Krakowa, ale znów się spóźniłszy i pociąg odjechał – relacjonował Morawiecki.

Kornel ma w stolicy Austrii jeszcze jedną znajomą. Dzwoni do niej i prosi o pomoc. Traf chce, że właśnie zatrzymał się u niej prof. Jerzy Przystawa. Wracający z Włoch naukowiec Politechniki Wrocławskiej i dobry znajomy Morawieckiego. Ten sam, który bronił zaciekle lidera SW zaraz po jego zatrzymaniu w listopadzie 1987 r.

– Jurek przyjechał maluchem wypełnionym winogronami i innymi włoskimi przysmakami. Część musiał zostawić, żebym się zmieścił z moim bagażem – opowiadał Morawiecki.

Do kraju jadą całą noc. Na czechosłowacko-polską granicę docierają o świcie. Jest już piątek, ostatni dzień sierpnia 1988 r. Ich samochodowe radio łapie polską stację.



BOGDAN RYMANOWSKI
„DOPAŚĆ MORAWIECKIEGO”
ZYSK I S-KA 2022



Z Wiolettą Sawicką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Wilcze dzieci

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: To pierwsza pani książka non fiction, choć cykl kresowy też dyskontował fakty – i to nierzadko pro domo sua...

WIOLETTA SAWICKA: Saga „Wiek miłości, wiek nienawiści” jest inspirowana losami mojej kresowej rodziny. Na płaszczyźnie fabularnej wątki prawdziwe mieszają się z fikcyjnymi, ale tło, na którym rozgrywa się akcja na przestrzeni lat 1913–1990, jest prawdziwe, wręcz drobiazgowo oddane. Chciałam, aby czytelnik wczuł się w klimat i panujące wówczas realia. I chyba się udało, gdyż – jak czytam w różnych opiniach – moja saga według części recenzentów jest najlepiej przedstawioną historią Polski na przestrzeni stu lat.

„Wilcze dzieci” to już zupełnie inny rodzaj literatury. Nie ma tam żadnej fikcji. Jest to dokument napisany na podstawie relacji teraz dorosłych już osób, ale wówczas dzieci, z czasów, gdy w 1945 r. Prusy Wschodnie, czyli terytorium Trzeciej Rzeszy, zdobywała Armia Czerwona.

Zainteresowanie tym zagadnieniem wynika z adresu Wioletty Sawickiej?

Poniekąd tak, gdyż urodziłam się na terenie byłych Prus Wschodnich, mieszkam w Olsztynie. Jednak mimo że interesuję się historią, nie słyszałam o „wilczych dzieciach” dopóty, dopóki

w ubiegłym roku nie zaczęłam robić researchu do powieści „Anna. Gorzki smak miodu”. Losy sierot wschodniopruskich to mało znany lub wręcz nieznamy wątek ze schyłkowego okresu drugiej wojny światowej i kilku lat po niej. Chciałam go przybliżyć. A ponieważ wcześniej napisałam trochę reportaży o czasach, gdy Prusy Wschodnie zdobywała Armia Czerwona, pomyślałam, że nie opowiem o „wilczych dzieciach” lepiej niż właśnie w tej formie. To chyba pierwsze na polskim rynku wydawniczym tego typu opracowanie. Wcześniej ukazały się tylko dwie tłumaczone książki na ten temat. Jedna niemieckiej dziennikarki, druga litewskiego dziennikarza. Obie zresztą są powieściami. Ja napisałam dokument. Opatrzony relacjami oraz zdjęciami.

Przez dekady o „wilczych dzieciach” milczano. Dlaczego?

Z tego samego powodu, dla którego do przełomu lat 90. w naszym systemie geopolitycznym prawdziwy obraz Armii Czerwonej wyzwalającej Europę z jarzma faszyzmu był tematem tabu. Nie mówiono o bestialstwie i gwałtach, których wobec cywilnej ludności – m.in. Prus Wschodnich – dopuszczali się sowieccy żołnierze. Wręcz do tego zachęcani rozkazami

swoich dowódców. O czym także piszę w „Wilczych dzieciach”. Do czasu, kiedy istniał Związek Sowiecki, mieszkające na Litwie „wilczęta”, które ukrywały się pod fałszywą tożsamością, musiały być cichsze od wody. Mówimy o grupie od 5 do 7 tys. osób, gdyż według szacunków historyków tyle sierot wschodniopruskich przedostało się na Litwę i tam pozostało.

W jaki sposób i gdzie odnajdywała pani swych bohaterów? Dlaczego więcej ich znalazło się na Litwie lub w obwodzie kaliningradzkim niż na terenie Polski?

Bardzo trudno było dotrzeć do bohaterów. Przeważnie mieszkają na Litwie albo w Niemczech. Osierocone dzieci ukrywały się przede wszystkim na północnych obszarach byłych Prus Wschodnich, a więc na terenach obecnego obwodu kaliningradzkiego, i stamtąd w poszukiwaniu żywości oraz schronienia przedostawały na Litwę. Te, które pozostały po polskiej stronie granicy, w większości trafiły do domów dziecka. Los ich kolegów z północy był znacznie cięższy. Ukrywając się w lasach czy w ruinach, dzieci musiały dosłownie walczyć o przetrwanie, a często miały zaledwie po kilka lat. To właśnie one z czasem zyskały miano „wilczych dzieci”. Według

szacunków takich maluchów zdanych tylko na siebie było ok. 10 tys. Niektóre źródła podają, że nawet więcej. Uruchoimiłam wszelkie możliwe kontakty, żeby do nich dotrzeć. Nie miałam możliwości osobistego spotkania z wieloma „wilczętami”. To starsi, schorowani ludzie, rozrzućeni po litewskich wioskach. Dlatego część relacji, które zawarłam w książce, przedstawiłam w sposób pośredni, korzystając z litewskich publikacji.

Trudno było nakłonić odszukanych do zwierzeń?

Tak. Nawet po latach traumatyczne wydarzenia dla niektórych są bardzo bolesne i nie chcieli do nich wracać. Inni zdecydowali się opowiedzieć mi swoje losy, okazując silne emocje, dotykali nie do końca zabliźnionych ran. Jako reporterka nauczyłam się słuchać. Nie ponaglać bohatera, dać mu potrzebny czas na zebranie myśli, uspokojenie. Czasem cisza między słowami jest wymowniejsza od słów. To pomaga w budowaniu zaufania, którym mnie obdarza rozmówca, powoli się otwierający. W tym przypadku powracający wspomnieniami do wyjątkowo wstrząsających przeżyć.

Czy i jak „wilcze lata” rzutowały na ich biografie? Odnajdywały swe rodziny biologiczne?

Mówimy o dzieciach, które zostały sierotami w wieku przedszkolnym i same musiały zatroszczyć się o siebie, by przetrwać. Znaleźć gdzieś bezpieczną norę do spania, coś do zjedzenia, upolować szczura, zdobyć kawałek padliny czy odebrać trochę resztek z psiej miski. Tak żyły wilczęta.

Niektóre dzieci były zbyt małe, aby pamiętać, jak się nazywają, gdzie i kiedy się urodziły, co się stało z ich najbliższymi. Zachowały urywki wspomnień. Część osieroconych dzieci z terenów Prus Wschodnich wywieziono w głąb ZSRS. Część w latach 1947–1948 deportowano do sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec. Te, które zostały na Litwie, ukrywały się pod przybraną tożsamością niemal pół wieku. Dlatego wiele niemieckich rodzin nie potrafiło odnaleźć swoich bliskich. Dopiero od przełomu lat 90. pozostałe w Związku Sowieckim „wilczęta” mogły się ujawnić. Wówczas same zaczęły poszukiwać swoich przodków. Co też nie było łatwe, choćby z tej przyczyny, że tylko garstka przygarniętych przez Litwinów sierot z Prus Wschodnich miała szansę się wykształcić. Zdecydowana większość ledwo umiała czytać i pisać

albo w ogóle pozostała alfabetami. Litewskim chłopom, którzy mimo ryzyka zdecydowali się przyjąć pod swój dach małych Prusaków i nadać im litewską tożsamość, dzieci były przede wszystkim potrzebne do pracy w gospodarstwie. Nauką nie zwracano sobie głowy. Wyrosłe w innej mentalności i systemie „wilczęta” dla swoich niemieckich krewniaków stały się obcymi ludźmi. Dlatego dla wielu powrót do kraju ojców nie był udany. Wracali na Litwę.

Na traktowanie ludności cywilnej Prus Wschodnich przez Sowieców znaczący wpływ miał autor „Burzliwego życia Lejzorka Rojtszwańca”?

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich. Sowieci wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie nazistów popełnione na froncie wschodnim i śmierć ponad 10 mln cywilnych rodaków. Odium sowieckiej zemsty dotknęło też kobiety i dzieci. Do czego wręcz zachęcały ulotki rozdawane sowieckim żołnierzom przez sowieckich propagandystów. Przytoczę w tym miejscu słowa Ilji Erenburga z „Krasnoj Zwiezdy” z 24 lipca 1942 r., które wykorzystałam jako motto w książce, a które dobitnie pokazują, jaki los czekał cywilną ludność Prus z rąk sowieckich zdobywców:

„... niemcy to nie ludzie. Od teraz słowo »niemiec« to dla nas najgorsze przekleństwo. Jeśli nie zabiłeś przynajmniej jednego Niemca dziennie, straciłeś dzień. Jeśli zabiłeś jednego Niemca, zabij drugiego – nie ma dla nas nic radośniejszego niż niemieckie truchła. Nie licz dni. Nie licz kilometrów. Licz tylko jedno: zabitych przez siebie Niemców. Zabij Niemca! – prosi stara matka. Zabij Niemca! – modlą się dzieci. Zabij Niemca! – krzyczy ojczyzna. Nie przegap! Nie daruj! Zabij!”.

Za przeciwstawiania się zbrodniom czerwonoarmistów na ludności cywilnej Prus Wschodnich siono zapłaciły dwie znane później postacie.

Major Lew Kopielew, przyszły literaturoznawca, za to, że okazał się człowiekiem i bronił swoim żołnierzom dostępu do Niemek, został skazany na osiem lat łagru. Podobny los spotkał także późniejszego laureata Literackiej Nagrody Nobla Aleksandra Sołżenicyna, który w randze kapitana uczestniczył w operacji wschod-



WIOLETTA SAWICKA
„WILCZE DZIECI”
PRÓSZYŃSKI
MEDIA 2022

niopruskiej. Sołżenicyn został aresztowany przez NKWD w lutym 1945 r. w okolicach Elbląga po tym, gdy przechwycono jego list do przyjaciela, w którym krytykował sposób prowadzenia wojny przez ZSRS. Trafił na osiem lat do wychowawczego obozu pracy.

Bohaterowie pani reportażu spotykali także „dobrych Rosjan”?

Oczywiście, że tak. Uważam, że nie ma złych narodów. W każdym są tylko źli albo dobrzy ludzie. Zarówno pośród Niemców, jak i Rosjan znajdowali się sprawiedliwi, którzy sprzeciwiali się zbrodniczej polityce przywódców. „Wilczęta” także spotykały na swej drodze Rosjan, którzy pomogli im przedostać się przez granicę albo obdarowali chlebem czy lekarstwami.

A jak wspominają napływającą na Warmię i Mazury ludność polską?

Bohaterki, z którymi rozmawiałam, mówią wprost, że żadnej krzywdy od Polaków nie doświadczyły. Obie zostały tutaj po tym, gdy po podziale Prus Wschodnich Warmia, Mazury i Powiśle przypadły Polsce. Ale jest też druga strona medalu. Prerażona skalą masowych gwałtów i bezkarnością sowieckich żołnierzy napływająca ludność polska, dopiero co zasiedlający teren Warmii i Mazur, powracała w głąb kraju. Z niektórych powiatów wyjechała ponad połowa osadników. Jak powiedział mi kiedyś w jednym z reportaży, historyk Tadeusz Baryła, także autor posłowania do „Wilczych dzieci”, paradoks drugiej wojny światowej polegał na tym, że Niemców od Rosjan odróżniał w istocie krój mundurów. Ci pierwsi mieli je eleganckie, projektowane przez Hugo Bossa. Drugi maszerowali brudni, w walonkach i zawieszonych kufajkach, ale bestialstwo było to samo. Po obu stronach cierpiały dzieci, które przecież nie wywołują wojny. Dziecko wobec niej jest zawsze ofiarą, niezależnie od tego, po której stronie frontu się urodziło. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wioletta Sawicka,
dziennikarka i pisarka,
autorka pentalogii „Wiek miłości,
wiek nienawiści”, silnie osadzonej
w naszych dziejach najnowszych,
oraz najnowszej książki
„Wilcze dzieci”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zza grobu...

Wśród licznych zbrodni komunistycznych, popełnionych na Polakach po 1944 r., warto zwrócić uwagę na te, które robią szczególne wrażenie. Chodzi o przypadki, gdy osoby podstępnie zamordowane przez funkcjonariuszy UB, KBW i MO zdołały wyjść z grobu, ukryć się i przeżyć.

Pierwszy przypadek to likwidacja kilku osób w miejscowości Budki Petrykowskie (powiat Grójec). „Szwadron śmierci” kierowany przez Władysława Rypińskiego „Rypę” powstał z inspiracji wysokich działaczy PPR (a przed wojną KPP): Joska (Juliana) Kolego i Magdaleny Finkiel-Treblńskiej i był organizowany przez osławionego Kubę Krajewskiego (PPR i GL-AL). Na ich polecenie rozpoczęły się na terenie województwa warszawskiego skrytobójcze mordy, które miały obarczyć odpowiedzialnością „reakcję”, czyli podziemie niepodległościowe. Mord w Budkach Petrykowskich został popełniony nocą 1 grudnia 1945 r. na Zbigniewie Hankem (sędzia sądu grodzkiego, delegat rządu na powiat Grójec, działacz Stronnictwa Narodowego), Bolesławie Łukowskim (zastępca delegata, również z SN), Tadeuszu Liszkiewicz (podporucznik AK). Ofiarą miał być również Józef Sikorski, rolnik, miejscowy działacz PSL.

Sikorski został żywcem pogrzebany z pozostałymi ofiarami, był tylko ranny. Po odjeździe sprawców wyostał się z jamy grobowej, złożył obszerną relację władzom PSL oraz zeznanie w sądzie okręgo-

wym, a następnie ukrywał się aż do 1957 r. Mimo że sprawcy zostali rozpoznani, nie spotkała ich kara. Niektórzy spadli w hierarchii partyjnej nieco niżej, inni zostali przydzieleni do odległych od miejsca zbrodni struktur UB i MO (np. aż w Białymstoku).

Podobny przypadek miał miejsce 1 stycznia 1947 r. pod wsią Windyki (powiat Mława). Grupa Operacyjna KBW i UB ujęła i zamordowała na miejscu Andrzeja i Mariana Wojciechowskich (ojciec i syn). W tym przypadku oprawcom również nie do końca udało się tak, jak miało być... Po latach opisał to funkcjonariusz UB w „pracy magisterskiej” złożonej w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR w 1968 r.: „W czasie akcji likwidacyjnej prowadzonej przez KBW i grupy operacyjne Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wraz z milicją wykonano wyroki na miejscu” (ale to nie były wyroki, tylko zbrodnie!), „oddział KBW ujął we wsi Windyki groźnych bandytów [...] i rozstrzelał Andrzeja i Mariana Wojciechowskich. Obaj zostali pochowani na polu, ale jeden z nich został tylko ranny i wyszedł z mogiły”. Są to dane z „Meldunku Specjalnego nr 2”, skierowanego do Komendy Wojewódzkiej MO.

Ile było takich zbrodni popełnionych „w majestacie” komunistycznego bezprawia? Prawdziwi sprawcy, nawet rozpoznani i opisani, nigdy za to nie odpowiedzialni. Po 1989 r. prokuratorzy (postpeerelowsky) uznawali te zbrodnie za przedawnione i umarzali postępowania. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwsza klęska Moniuszki

Pracę nad operą „Paria” podjął Moniuszko jeszcze przed „Hrabina”, z niewyjaśnionych jednak powodów odłożył partyturę. Być może nie zamierzał do niej wracać, choć wyjątki z opery pojawiały się czasami na koncertach. W 1865 r. napisał jednak muzykę do dramatu o tym samym tytule (który był podstawą libretta), ciepło przyjętą przez publiczność. To zobligowało go do wznowie-

nych) zmian. Próby rozpoczęły się po wakacjach, premiera miała miejsce 11 grudnia 1869 r. Była to pierwsza duża porażka Moniuszki na scenie. Publiczność była zawiedziona. Zauważono, że kompozytor wykorzystał znane już fragmenty innych utworów, ponadto opera raziła brakiem inwencji melodycznej. Zdarzały się też trudne do zaakceptowania zgrzyty – akcja działała się w Indiach, a w partyturze pojawiały się polskie rytmy. Opera sprawiała wrażenie, jakby wyszła spod pióra człowieka wypalonego, pozbawionego radości tworzenia.

Pojawiły się wyważone recenzje, nie było w nich entuzjazmu, ale nikt nie odważył się na otwartą krytykę. Dominowały mgliste wypowiedzi o znaczeniu i zasługach artysty dla polskiej muzyki, co wzbudzało irytację kompozytora. Dla niego „Paria” była znaczącym dziełem, które powinno się podobać, a jego przywiązanie do tej opery można porównać do miłości ojca, który ze swoich dzieci najbardziej kocha to, które przyszło na świat ułomne...

„Paria” spadła z afisza po sześciu przedstawieniach. Był to pierwszy taki wypadek w warszawskiej karierze Moniuszki. Nie wydano też w całości partytury, drukiem pojawiła się tylko transkrypcja fortepianowa na cztery ręce oraz fragmenty opery na głos z fortepianem. Finansowo też nie było najlepiej – wprawdzie Teatr Wielki zapłacił 500 rubli (6 tys. euro), ale wydawnictwo Gebethnera i Wolffa tylko 250. A to oznaczało katastrofę dla rodziny kompozytora. ©

**Dla niego „Paria”
była znaczącym
dziełem, które
powinno się podobać**

nia pracy, tym bardziej że uwielbiał dramat Casimira Delavigne’a i w czasach młodości sam przełożył go na język polski. Oczywiście był to przekład na domowe potrzeby, na krajowych scenach grano „Parię” w tłumaczeniu Wacława Szymanowskiego.

„W tych dniach – informował »Kurier Warszawski« w kwietniu 1869 r. – Stanisław Moniuszko wykończył zupełnie dawno już rozpoczętą muzykę do opery »Paria«. Uwerturę do tej opery już kilkakrotnie publicznie wykonywano. Życzyć by należało, żebyśmy ją prędzej na scenie ujrżeli, tym bardziej że od dawna nic nam nowego ze swych utworów Moniuszko na scenie nie dał słyszeć”.

Libretto przygotował Jan Chęciński, oparł się na dramacie Delavigne’a, wprowadzając jednak wiele (z reguły korzyst-



FRANCISZEK: JESTEM KOMUNISTĄ

Papież Franciszek po raz kolejny zaskoczył wszystkich tym, co myśli o komunizmie. Tym razem zaszedł w swoich wypowiedziach naprawdę daleko. „Kiedy patrzę na Ewangelię tylko z socjologicznego punktu widzenia, tak, jestem komunistą i był nim też Jezus” – powiedział w wywiadzie dla „America Magazine”, czasopisma wydawanego przez jezuitów w Stanach Zjednoczonych. Papież dodał, co prawda, że „komuniści ukradli nam trochę chrześcijańskich wartości. Inni uczynili z nich katastrofę”. Ale czy to coś zmienia?

FOT. OBSERVATOIRE ROMAIN/AP/PIAST NEWS

PRZYKLEJENI I WYNIESIENI

Aktywiści, którzy przyklejają się w rozmaitych miejscach, by protestować w obronie klimatu, tym razem zjawili się w filharmonii w Hamburgu. Ku niezadowoleniu widowni zajęli miejsce dyrygenta i przykleili się do stalowej barierki na jego podium. Okazało się jednak, że sama barierka nie jest na stałe montowana w podstawie, więc razem z nią wyprowadzono ich na zaplecze. Orkiestra wróciła do wykonywania utworów Brahmsa i Beethovena.

RASISTOWSKA MAŁPIA OSPA

Światowa Organizacja Zdrowia oficjalnie ogłosiła, że zmienia nazwę małpiej ospy. Od tej pory ta choroba nazywać się będzie „mpox”. WHO dokonała zmiany, bo otrzymywała skargi, iż nazwa „małpia ospa” jest stygmatyzująca i rasistowska. Specjalną petycję w tej sprawie podpisało 30 osób zajmujących się wirusami. W petycji zwracano uwagę, że przez taką nazwę choroba „może być powiązana z Afryką”.

NIEZASZCZEPIENI WŁOSI MUSZĄ PŁAĆ

Szczepienia przeciw COVID-19 nie są już we Włoszech obowiązkowe, ale pozostał problem kar nałożonych na ludzi, którzy się nie szczepili, gdy tego jeszcze wymagano. Nowy rząd problemu nie rozwiązał, więc agencja ściągająca podatki i kary właśnie przygotowała „prezenty świąteczne” dla niezaszczepionych. Zaczęła właśnie rozsyłać wezwania do zapłaty 100 euro kary. Takie pisma otrzymają blisko 2 mln osób.

NA INSTAGRAMIE PROSIŁ O POMOC W UKRYCIU ZWŁOK

Szesnastolatek z Pensylwanii w USA został aresztowany po tym, jak w przyczepie, w której mieszkał, policjanci odnaleźli ciało 13-latki z raną postrzałową. Chłopak wcześniej poprosił na Instagramie o pomoc w pozbyciu się ciała. Będzie teraz odpowiadał za zabójstwo, posiadanie broni oraz zacieranie śladów morderstwa. ©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Na tropie łupkowego złota

Unia Europejska dyskutuje nad ustanowieniem powszechnie obowiązującej maksymalnej ceny za rosyjską ropę. Cel jest prosty: Zachód chce zachować stabilne dostawy surowców energetycznych, a jednocześnie zmniejszyć choć trochę ogromne zyski, które wpływają do skarbcza na Kremlu ze sprzedaży czarnego złota oraz gazu. Jest to jakiś pomysł. Niewykluczone jednak, że Węgrzy – w koszmarnym stopniu uzależnieni od dostaw z Rosji zarówno ropy, jak i gazu – wpadli na coś jeszcze lepszego. Otóż węgierski koncern naftowo-gazowy MOL ogłosił w ubiegłym tygodniu,

że w przyszłym roku zamierza zainwestować 40 mld forintów (ok. 455 mln zł) w poszukiwanie ropy i gazu na terenie własnego kraju. MOL odnalazł bowiem istotne złoża ropy na głębokości 2100 m w pobliżu miasteczka Vecsés pod Budapesztem. Według wstępnych szacunków jego eksploatacja może zwiększyć węgierską produkcję ropy o ok. 10 proc.

Eksploracja na skalę przemysłową własnej ropy czy niekonwencjonalnego gazu może być nie tylko opłacalna, lecz także odegrać kluczową rolę w kwestii bezpieczeństwa Europy oraz zmniejszenia zależności

energetycznej Starego Kontynentu od Rosji.

Może i Polsce – która dekadę temu szykowała się już do zostania drugim Kuwejtem – w czasach drogich surowców energetycznych opłacałoby się wrócić do tematu wydobywania bogactw ukrytych na naszym własnym terytorium. Gdyby udało się doprowadzić do eksploatacji naszych złóż, to nie tylko przyczyniłoby się to do wzrostu zamożności kraju, lecz także doprowadziłoby do poważnej zmiany układu sił między krajami Europy Środkowej a państwami eksportującymi surowce energetyczne. ©

W tej sprawie pełno jest znaków zapytania, a znając chińską cenzurę, całej prawdy nie poznamy zapewne nigdy. Pewne jest tylko to, że w pożarze zginęło 10 osób. Doszło do niego 24 listopada w Urumczy, czteromilionowej stolicy regionu autonomicznego Sinciang w zachodnich Chinach. Pożar wybuchł na 15. piętrze wieżowca mieszkalnego. Na nagraniu, które zaczęło krążyć po chińskich mediach społecznościowych, widać, jak wóz strażacki z dużej odległości próbuje gasić pożar. Wygląda to żałośnie, ponieważ strumień wody nie był w stanie sięgnąć miejsca, w którym szalał ogień. Nie jest jasne, jak konkretnie zginęły ofiary. Według jednej z wersji zdarzeń w związku z panującym od sierpnia (!) w mieście lockdownem mieszkańcy wieżowca nie mogli wychodzić ze swoich mieszkań, a klatki schodowe były pozamykane. Ponieważ budynki mieszkalne odgrodzone są zaporami, służby ratunkowe nie zdołały dotrzeć na miejsce na czas i dlatego też strażacy nie byli w stanie szybko ugasić pożaru. Ta wersja pojawia się najczęściej w chińskich mediach społecznościowych. Z kolei władze miasta od razu kategorycznie zaprzeczyły informacjom, że mieszkańcy nie mogli opuszczać swoich mieszkań. Według wóldarży Urumczy mimo lockdownu lokatorzy wieżowca mogli codziennie, na zmianę, wychodzić na pewien czas na klatki schodowe i dziedzińce, żeby się przewietrzyć.

Mieszkańcy Urumczy zareagowali wściekłością na alarmujące wiadomości na temat pożaru, które zaczęły się pojawiać na bieżąco w mediach społecznościowych. Ludzie zaczęli się w końcu skrzykiwać na demonstracje, podczas których wykrzykiwali hasła przeciwko lockdownowi i domagali się podstawowych wolności. W odpowiedzi władze wysłały oddziały policji ubrane od stóp do głów w kombinezony mające chronić przed COVID-19. Funkcjonariusze wyposażeni byli też w tarcze, pałki i reflektory do oślepiania protestujących. Na filmikach z tych zajęć widać, jak w stronę policjantów, którzy na wzór rzymskich legionistów utworzyli z tarcz pancierz chroniący cały oddział, zaczęły lecieć różne twarde obiekty. Chińscy cenzorzy dwoili się i troili, by usuwać z sieci nagrania z protestów, ale takich treści było po prostu zbyt wiele, by skutecznie zdusić komunikację na ten temat.

Ponad siły



Piotr Włoczyk

Chińskimi miastami wstrząsnęły protesty, których ChRL nie widziała od czasu wydarzeń na placu Tian'anmen. Czerwony cesarz musi się teraz jak niepyszny wycofywać z polityki „zero-COVID”, z której uczynił swój znak firmowy

Widząc, jakie nastroje panują wśród ludności miasta, władze Urumczy postanowiły w końcu pójść na ustępstwa. Wóldarze przeprosili za zaniedbania, które przyczyniły się do tragedii mieszkańców wieżowca, i obiecały ukarać winnych. Pojawiła się też obietnica, na którą najbardziej czekały 4 mln mieszkańców miasta – polityka lockdownów zostanie mocno zliberalizowana.

XI MUSI ODEJŚĆ

Wydarzenia w Urumczy uruchomiły w poprzedni weekend cały ciąg wydarzeń, który wstrząsnął Chinami i zadziwił komentatorów na całym świecie. W największych chińskich miastach, także w stolicy, doszło do dużych protestów, podczas których demonstranci nie tylko domagali się zniesienia totalitarnych obostrzeń sanitarnych, lecz także pojawiły się hasła stricte polityczne, jak np. wezwania do obalenia Xi Jinpinga. Takich haseł

nie formułowano w Chinach na większą skalę od czasów krwawo stłumionych protestów na placu Tian'anmen. Ludzie skrzykiwali się zazwyczaj w symbolicznych miejscach – na ulicach noszących nazwę Urumczy [chodzi o nazwę ulicy Urumczy, która jest właściwie w każdym dużym chińskim mieście, jak np. ul. Łódzka w polskich miastach – przyp. PW.]. Niektóre protesty były spokojne – ludzie palili po prostu świeczki ku pamięci ofiar pożaru i nieśmiało wzywali rząd do odejścia od sanitarnego totalitaryzmu, ale w wielu miastach policja bezpardonowo atakowała protestujących, rozganiając tłumy i aresztując ludzi, którzy odważyli się zabrać głos. W Szanghaju, gdzie doszło do dużych manifestacji, ofiarą brutalności policji padł m.in. Edward Lawrence, dziennikarz BBC, który relacjonował protesty.

– Te protesty wynikają z lęków, a także ze wzburzenia w związku z restrykcjami covidowymi, które przynoszą coraz

Xi



Do ogromnych demonstracji na przełomie listopada i grudnia doszło nawet w samym Pekinie
FOT. KEVIN FRAVER/GETTY IMAGES

większe koszty. Chodzi nie tylko o kwestie ekonomiczne, lecz także o przypadki śmierci, co miało miejsce m.in. w czasie pożaru apartamentowca w Urumczy – mówi „Do Rzeczy” prof. Kristin Stapleton, sinolog z University of Buffalo. – Uważam, że władze zdolają stłumić protesty na krótką metę, ale niezadowolone społeczeństwo z polityki przywódcy będzie rosło. Rząd nie ma więc wyboru i będzie musiał znieść najbardziej dotkliwe obostrzenia, które szczególnie drażnią obywateli.

Widać już, że ten proces powoli się zaczyna. W czwartek zniesione zostały dotkliwe lockdowny w Szanghaju i w Kantonie. W tym ostatnim mieście, które od października w znacznej mierze było zamknięte, ogłoszono nawet odejście od akcji powszechnego testowania. Władze centralne na początku pandemii przekazały zarządzanie polityką antycovidową lokalnym władzom, a ci ostatni rozumieli doskonale, że Xi oczekuje od nich

bezwzględne powstrzymanie wirusa. Teraz lokalne władze wreszcie dostały z rządu centralnego sygnał, że można nieco odkręcić obywatelom covidową śrubę.

W ten sposób do rewolucyjnych zmian dojdzie również w samym Pekinie, gdzie wreszcie – po trzech latach pandemii – ogłoszono, że osoby zarażone będą mogły poddawać się samoizolacji w sposób indywidualny, czyli od teraz władze poszczególnych dzielnic nie będą już zamykały całych kompleksów apartamentowców po wykryciu choćby jednego przypadku koronawirusa. Dla Chińczyków jest to istna rewolucja i powiew wolności.

NADCIĄGAJĄCA FAŁA

„Nasz kraj staje w obliczu nowej sytuacji i nowych zadań, jeżeli chodzi o powstrzymywanie pandemii i kontrolowanie rozprzestrzeniania się wariantu omikron, który słabnie. Coraz więcej osób jest zaszczepionych, a ponadto nabyliśmy

doświadczenie w walce z wirusem” – ogłosiła wicepremier ChRL Sun Chunlan, która odpowiada za koordynowanie walki z koronawirusem.

Słowa te zostały jednak powszechnie przyjęte z dużym sceptycyzmem. Nie od dziś wiadomo bowiem, że chińskie szczepionki są bardzo słabe, przez co decydowano się na lockdowny, by utrzymać propagandową wizję Chin jako mocarstwa, które doskonale chroni swoich obywateli. W kwestii jakości chińskich szczepionek nic się nie zmieniło. Znoszenie obostrzeń, gdy Chiny mierzą się obecnie z największą falą zachorowań od początku pandemii, jasno pokazuje, że powodem liberalizacji wcale nie jest niezależna decyzja władz, ale presja obywateli. Okazało się po prostu, że nawet chińskie społeczeństwo, które tak często bywa porównywane do karnej armii, ma już serdecznie dość życia w ciągłym zamknięciu, z масечkami przyrośniętymi do twarzy i z wszechobecną kontrolą sanitarną prowadzoną za pośrednictwem aplikacji w smartfonach.

Rzucenie ogromnych sił policyjnych na protestujących, blokowanie miejsc, gdzie skrzykują się demonstranci, a także rozpoczęcie kampanii wyszukiwania „wrogich sił” mających rzekomo odgórnie sterować protestami przeciw dobrej, komunistycznej władzy, na pierwszy rzut oka może świadczyć o tym, że władze panują nad sytuacją, ale w rzeczywistości ten pokaz siły nie jest w stanie przykryć rzeczywistości – Xi Jinping rakiem wycofuje się z polityki „zero-COVID”, z której uczynił symbol swoich rządów. Po trzech latach okazało się w końcu, że nawet czerwone mocarstwo nie jest w stanie urzędowo powstrzymać rozprzestrzeniania się wirusa. Chiny w końcu przejdą więc przez to, z czym zmagają się w latach 2020–2021 cała reszta świata. Wszystko wskazuje jednak na to, że to, co tak odwlekano w Chinach, teraz uderzy w relatywnie krótkim czasie z ogromną siłą.

Oficjalnie Chiny wciąż radzą sobie z koronawirusem absolutnie wzorcowo. Jak raportuje chińskie ministerstwo zdrowia, z powodu COVID-19 w ChRL umarły zaledwie trzy osoby na milion. Dla porównania: w USA oficjalnie się podaje, że żniwo koronawirusa jest proporcjonalnie tysiąc razy większe (3 tys. przypadków śmierci na 1 mln mieszkańców). Jak długo jeszcze Pekin będzie w stanie się trzymać tej fikcji?



Włosi odmówili przyjęcia statku „Ocean Viking” z migrantami. Przyjęli go Francuzi. Teraz mają pretensje

FOT. GABRIELE MARICCHIOLO/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Wojna relokacyjna



Olivier Bault

Francuzi pokłócili się z Włochami o to, kto ma przyjmować migrantów wciąż dowożonych statkami do Europy przez organizacje pozarządowe

Czy po wygranej prawicowej koalicji pod przywództwem Giorgii Meloni Włochy stały się wrogiem Francji? Do takiego wniosku można by dojść, słuchając 22 listopada w Zgromadzeniu Narodowym wypowiedzi zdenerwowanego francuskiego ministra spraw wewnętrznych. Odpowiadając na krytykę skierowaną pod jego adresem z ław deputowanych formacji Marine Le Pen, Gérald Darmanin stwierdził, wskazując jednoznacznie na Włochy i czyniąc ten zarzut deputowanej Zjednoczenia Narodowego (RN), że nie mogą być prawdziwymi patriotami ci, którzy stoją po stronie wrogów Francji.

Spór dotyczył faktu przyjęcia 11 listopada przez Francję statku „Ocean Viking”

należącego do pozarządowej organizacji SOS Méditerranée z 234 migrantami zabranymi na pokład trzy tygodnie wcześniej u wybrzeży Libii. Gdy Rzym odmówił udostępnienia portu, załoga postanowiła wziąć kurs na porty francuskie, a rząd Élisabeth Borne zezwolił na wysadzenie nielegalnych imigrantów w wojskowym porcie w Tulonie, rozpętując równocześnie prawdziwą wojnę dyplomatyczną z rządem Giorgii Meloni. To starcie przypominające czasy, kiedy przywódca Ligi Matteo Salvini – dzisiaj minister infrastruktury i transportu oraz wicepremier w rządzie Meloni – był ministrem spraw wewnętrznych i wicepremierem w ramach prawicowo-lewicowej koalicji Ligi z Ruchem Pięciu Gwiazd. W 2018 r. prezydent Macron mówił o „cynizmie” i „braku odpowiedzialności” Mattea Salvini i włoskiego rządu po odmowie przyjęcia statku „Aquarius”, należącego do tej samej organizacji (z 629 nielegalnymi imigrantami na pokładzie). Rzecznik francuskiego rządu stwierdził nawet, że „C'est à vomir” („przyprawia o mdłości”) patrzenie na to, co robi włoski rząd. Emmanuel Macron nie zgodził się wówczas, aby Francja przyjęła statek „Aquarius”, i to Hiszpania zgodziła się na jego zawinięcie do jej portu. Były to początki rządów socjalisty Pedra Sáncheza, jeszcze

zanim wrócił on do polityki brutalnego wypychania nielegalnych imigrantów na granicach lądowych z Marokiem, praktykowanej przez swojego poprzednika.

SZANTAŻ

Francja Macrona ma zatem swoistą tradycję obrażania krajów teoretycznie zaprzyjaźnionych, o czym przekonały się już nieraz rządy w Warszawie i Budapeszcie, które są ponoć w rękach „szalonych umysłów okłamujących własne narody” (wypowiedź Emmanuela Macrona z października 2018 r. w Bratysławie), a także rządy w Londynie, które należało, zdaniem francuskiego prezydenta, koniecznie ukarać za brexit.

Obecne napięte stosunki z Rzymem wyróżnia jednak jeszcze wyższy poziom agresji słownej ze strony Paryża, której towarzyszy otwarty szantaż, a także to, że do konfliktu dochodzi w kontekście wciąż trudnych relacji z Londynem (m.in. na tle rekordowej liczby migrantów wypływających do Wielkiej Brytanii przez kanał La Manche z francuskiego wybrzeża) oraz ochłodzenia relacji z Berlinem, odkąd kanclerzem Niemiec został socjaldemokrata Olaf Scholz.

Francuski minister spraw wewnętrznych, deklarując 10 listopada, że Francja

przyjmie tych 234 nielegalnych imigrantów na pokładzie „Ocean Viking”, „na zasadzie wyjątku”, dodał, że odmowa Włoch jest „niezrozumiała” i „egoistyczna”. Dzień później minister ds. UE Laurence Boone mówiła o „nadszarpniętym zaufaniu” w stosunkach z Włochami. – Istnieją jasne europejskie zasady zaakceptowane przez Włochów, którzy są de facto pierwszymi beneficjentami europejskiego mechanizmu solidarności finansowej – grzmiał Olivier Véran, rzecznik francuskiego rządu, grożąc odebraniem funduszy unijnych, jeśli Włochy nie będą przyjmować statków organizacji pozarządowych, specjalizujących się od lat w bezpłatnym transporcie nielegalnych imigrantów z libijskiego wybrzeża do Europy.

Paryż ogłosił, że zawiesza umowę relokacyjną z Włochami, na mocy której ok. 3,5 tys. nielegalnych imigrantów wnioskujących o azyl miało zostać przyjętych przez Francję do lata przyszłego roku. Problem w tym, że od stycznia do połowy listopada tego roku wylądowało we Włoszech już 93 tys. osób, czyli prawie dwa razy więcej niż w roku ubiegłym. Tymczasem dobrowolny mechanizm relokacji, w którym uczestniczą 23 kraje UE, w tym Francja i Niemcy, przewiduje na cały rok 2022 jedynie ok. 8 tys. relokacji migrantów spośród wszystkich tych, którzy znajdują się we Włoszech, w Hiszpanii i Grecji. W tym roku Francja zgodziła się na przekazanie z Włoch zaledwie 40 osób ubiegających się o azyl. Jednocześnie francuska żandarmeria i policja codziennie wypychają na granicy z Włochami kilkudziesięciu imigrantów, którzy wcześniej przepłynęli przez Morze Śródziemne – czy to z pomocą europejskich NGOśw, czy na mniejszych, ale liczniejszych łodziach wypływających z wybrzeża Tunezji lub Algierii.

OSAMOTNIENI W STARCIU

Rząd francuski postanowił nie tylko zawiesić zapowiadany skromny udział w relokacji, lecz także zaapelował do pozostałych krajów, biorących udział w tym dobrowolnym programie, aby również przestały przyjmować imigrantów z Włoch. Wszystkie odmówiły, co pokazuje pewne osamotnienie Francji w wywołanej przez siebie kłótni z Włochami.

Nie udało się też Francuzom wciągnąć w konflikt z Rzymem Komisji Europejskiej, która tym razem – o dziwo – uznała, że nie ma w tym zakresie odpowiednich kompetencji.

Warto też zwrócić uwagę na wspólne oświadczenie rządów Włoch, Grecji, Cypru i Malty z 12 listopada. Jak możemy w nim przeczytać, kraje te stoją na stanowisku, że nie mogą zgodzić się z koncepcją, wedle której to ich porty „są jedynymi możliwymi europejskimi punktami zejścia na ląd dla nielegalnych imigrantów, zwłaszcza gdy odbywa się to w sposób nieskoordynowany, na podstawie wyboru dokonanego przez prywatne statki, które działają całkowicie niezależnie od właściwych władz państwowych”. Oświadczenie przypomina ponadto, że „modus operandi tych prywatnych statków nie jest zgodne z duchem międzynarodowych ram prawnych dotyczących operacji poszukiwawczych i ratowniczych” oraz że „każde państwo musi skutecznie sprawować jurysdykcję i kontrolę nad statkami pływającymi pod jego banderą”.

Francja stoi natomiast twardo na stanowisku, że prawo morskie nakłada obowiązek na Włochy, aby przyjmowały każdy statek przybywający z libijskiego wybrzeża z imigrantami na pokładzie i że jeśli Włochy nie będą tego robić, to Francja nie będzie przyjmować żadnych imigrantów w ramach relokacji.

Jeśli zaś chodzi o francuski argument, jakoby prawo międzynarodowe nakazywało kierować imigrantów „ratowanych” na morzu do najbliższego bezpiecznego portu (ma wątle podstawy w momencie, gdy w przeciwieństwie do tego, co powtarzają jak mantrę zwolennicy otwartych granic we Francji i Włoszech, imigrantom na pokładzie „Ocean Viking” nie groziła rychła śmierć), to prawda jest taka, że statek „Ocean Viking” miał bliżej do Libii, a następnie kolejno do Tunezji i na Malte.

W przypadku statku „Ocean Viking” hipokryzja władz w Paryżu jest tym większa, że mimo iż pływa on pod norweską banderą, należy do organizacji SOS Méditerranée, mającej siedzibę we francuskim mieście Marsylii. Organizacja ta jest sownie dofinansowywana przez liczne francuskie samorządy będące w rękach francuskiej proimigracyjnej lewicy, m.in. przez miasto Paryż. W lutym 2017 r., za prezydentury socjalisty François Hollande’a (za którego czasów Emmanuel Macron był najpierw doradcą prezydenta ds. UE, a następnie ministrem gospodarki i przemysłu), organizacja SOS Méditerranée została ogłoszona „Wielką Sprawą Narodową” przez rząd francuski. Umożliwiło jej to m.in. bezpłatne nadawanie swoich kampanii komunikacyjnych

w publicznych stacjach radiowych i kanałach telewizyjnych.

NIEDOPILNOWANI IMIGRANCY

Należy też podkreślić, że w tym samym czasie, kiedy „Ocean Viking” nie dostał pozwolenia na cumowanie we włoskim porcie, rząd Meloni zgodził się przyjąć trzy inne statki organizacji pozarządowych z setkami nielegalnych imigrantów na pokładzie.

Co się natomiast tyczy migrantów dowiezionych do Europy na pokładzie „Ocean Viking”, to wbrew wstępnej deklaracji ministra Darmanina, jakoby 44 osoby miały zostać natychmiast zawrócone do krajów swojego pochodzenia, na koniec listopada bilans był taki, jak zwykle we Francji: dwóch obywateli Bangladeszu i dwóch obywateli Mali zostało odesłanych do kraju, a 230 może zostać we Francji co najmniej na czas rozpatrywania wniosków azylowych. Z tych 230 migrantów ok. 150 zamieszkuje w ośrodkach dla imigrantów, a ok. 80 osób, w tym 26 uznanych za nieletnich, „wyparowało” i wędruje dziś po strefie Schengen.

Dlatego też rząd Élisabeth Borne został ostro skrytykowany przez opozycję centroprawicową oraz przez Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen zarówno za zgodę na cumowanie „Ocean Viking”, jak i za niedopilnowanie imigrantów, a w szczególności za wywołanie awantury z Włochami i nazwanie Włochów „wrogami Francji”.

Włoski rząd ze swojej strony robi wszystko, aby podjąć merytoryczną rozmowę z Paryżem, jednocześnie nie idąc na ustępstwa i zapowiadając twardą walkę z nielegalną imigracją. Włoski minister spraw zagranicznych Antonio Tajani – były przewodniczący Parlamentu Europejskiego z centroprawicowej partii Forza Italia Silvia Berlusconi – uznał francuskie reakcje na odmowę Rzymu na przyjęcie „Ocean Viking” za „nieproporcjonalne do sprawy”. – Do Włoch w tym roku przybyło 90 tys. migrantów, a mieliśmy umowę o relokacji 8 tys., do tej pory relokowanych zostało 117 osób – odpowiedział Tajani na zarzuty francuskich ministrów. Włoski wiceminister spraw zagranicznych Edmondo Cirielli z partii Bracia Włoscy Giorgii Meloni zauważył z nutą ironii: – To, że Francja przyjmuje jeden statek co cztery–pięć lat, nie jest niczym nadzwyczajnym, ale to wciąż dobra wiadomość.



Szczyt OUBZ, Erywań,
23 listopada 2022 r.
FOT. PRESIDENT.GOV.BY

Rozłam w „rosyjskim NATO”

Premier Armenii Nikol Paszynian odmówił podpisania deklaracji Rady Bezpieczeństwa Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ). Dokument dotyczył pomocy dla jego kraju w kontekście konfliktu z Azerbejdżanem. Paszynian stwierdził, że zaoferowane wsparcie jest dalece niewystarczające. Bezskutecznie oczekiwał od sojuszników jasnej politycznej oceny sytuacji – nazwania Azerbejdżanu agresorem. Domagał się również, aby wszyscy członkowie organizacji zażądali od Baku wycofania wojsk z terytorium Armenii.

OBUZ, czyli „rosyjskie NATO”, jest systemem bezpieczeństwa zbiorowego i sojuszem wojskowym, zrzeszającym część państw postsowieckich. Oprócz Rosji w jego skład wchodzi Armenia, Białoruś, Kazachstan, Kirgistan i Tadżykistan. Powstał w 2002 r., na początku prezydentury Putina. Jest to jeden z trzech – obok Wspólnoty Niepodległych Państw (WNP) oraz Eurazjatyckiej Wspólnoty Gospodarczej (EuWG) – projektów integracyjnych, skupiających wokół Moskwy byłe republiki ZSRS.

Nie po raz pierwszy OUBZ odmówiła interwencji po stronie Ormian. Wcześniej podobna sytuacja miała miejsce w 2020 r., podczas wojny w Górskim Karabachu. Tyle że wtedy konflikt toczył



Maciej Pieczyński

Prowadzona z raczej mizernym skutkiem wojna na Ukrainie sprawiła, że państwa jeszcze niedawno związane z Moskwą silnymi więzami nieśmiało próbują te więzy poluźnić. Przywódcy Armenii, Kazachstanu czy Kirgistanu odsuwają się od Rosji

się na spornym obszarze, do którego pretensje zgłaszają zarówno Erywań, jak i Baku. We wrześniu 2022 r. Azerowie uderzyli na terenie samej Armenii. Paszynian miał więc powody, by tym razem oczekiwać wsparcia sojuszników. Na nagraniu ze szczytu OUBZ widać nerwową reakcję Putina. Podczas wspólnego zdjęcia uczestników rozmów żaden z przywódców nie chciał stanąć obok rosyjskiego prezydenta. Paszynian zasugerował nawet, że być może OUBZ jest niepotrzebna, skoro nie spełnia swoich funkcji. Później złagodził stanowisko. Przy czym Armenia jest nadal mocno związana z Rosją. Na jej terenie znajdują się rosyjskie bazy wojskowe.

Wolta Paszyniana wpisała się w antyrosyjskie nastroje części armeńskiego społeczeństwa. Szczyt OUBZ odbywał się w Erywanii. Ulicami miasta przeszli demonstranci, protestujący przeciwko

wizycie Putina w stolicy Armenii. Cały ten kontekst wywołał ostre reakcje w Moskwie. Deputowany do Dumy z ramienia Jednej Rosji Jewgienij Fiodorow publicznie nazwał Armenię „nielegalnym tworem państwowym”, powstałym wskutek bezprawnego oderwania od ZSRS. W jego ocenie obecni rządzący w Erywanii, podobnie jak ich koledzy w Kijowie, objęli władzę w rezultacie „rewolucji” zorganizowanej przez Amerykanów. Zaapelował, by „rozwiązać problem rusofobii w Armenii”. Już po szczycie OUBZ Paszynian omówił kwestię bezpieczeństwa na Kaukazie z Emmanuelem Macronem. Prokremlowska propaganda przedstawiła ten fakt nieomal jako zdradę, próbę zbliżenia z Zachodem, który chce rozbić jedność OUBZ.

Stosunek Moskwy do obecnego premiera Armenii nigdy nie był jednoznaczny. Paszynian objął władzę w rezultacie

protestów społecznych, a to zawsze budzi niepokój Kremla, który jak ognia boi się „kolorowych rewolucji”. Z drugiej strony akurat ta rewolucja nie miała charakteru antyrosyjskiego czy prozachodniego. Partia Paszyniana przed objęciem rządów domagała się co prawda wyjścia Armenii z EuWG, potem jednak sam premier wielokrotnie podkreślał, że nie ma alternatywy dla bliskich relacji z Rosją. Putin ostatecznie zaakceptował zmianę władzy w Erywanii, nigdy jednak do końca nowej ekipie nie zaufał.

KAZACHSTAN Z BOKU

OUBZ nie wsparła Armenii w wojnie z Azerbejdżanem, ale swoją skuteczność pokazała w styczniu tego roku, tłumiąc protesty w Kazachstanie na prośbę prezydenta tego kraju – Kasyma-Żomarta Tokajewa. Już samo pojawienie się wojsk rosyjskich (stanowiły trzon kontyngentu) podziało pacyfikująco na przeciwników prezydenta. Tokajew z pomocą Putina stłumił protesty i wyeliminował politycznych rywali, związanych z byłym wieloletnim prezydentem Nursułtanem Nazarbajewem. Wydawałoby się więc, że pogłębienie integracji Kazachstanu z Rosją jest kwestią czasu.

Sytuacja zmieniła się jednak po 24 lutego. Tokajew nie poparł „specoperacji”. 16 marca w przemówieniu zwracał uwagę na „trudną sytuację międzynarodową” oraz na wyzwania gospodarcze, które stoją przed Kazachstanem w obliczu wojny na Ukrainie. Samego konfliktu nie komentował, walczących stron nie oceniał.

W czerwcu, występując publicznie w Petersburgu, zapowiedział, że nie uzna niepodległości samowznających donieckiej i ługańskiej republik ludowych (wówczas jeszcze formalnie niewłączonych w skład Federacji Rosyjskiej). Zaznaczył, że w Kazachstanie jest rozwinięte społeczeństwo obywatelskie, stąd też Kazachowie wyrażają różne opinie na temat wojny. Mówiąc o separatystycznych republikach, zauważył, że w ich przypadku zachodzi sprzeczność między prawem do samostanowienia narodów a poszanowaniem integralności terytorialnej. Argumentował, że gdyby konsekwentnie honorować tę drugą zasadę, na świecie, zamiast 193 państw pojawiłoby się nagłe ok. 500–600. To zaś oznaczałoby chaos. – Dlatego my nie uznajemy ani Tajwanu, ani Kosowa, ani Osetii Południowej, ani Abchazji. Tę zasadę będziemy stosować

również do quasi-państwowych terytoriów, którymi, naszym zdaniem, są Ługańsk i Donieck – oświadczył prezydent Kazachstanu. To była polemika z Putinem, który wcześniej stwierdził, że skoro uznano niepodległość Kosowa, to władze republik donbaskich nie musiały nawet pytać Kijowa o zgodę na odłączenie się.

Co symboliczne – Tokajew odwołał defiladę z okazji 9 maja. Formalnie z przyczyn finansowych. W październiku odrzucił żądanie Rosji, by wywalić ambasadora Ukrainy z powodu jego komentarzy na temat Rosjan. Nie oznacza to jednak, że prezydent Kazachstanu zamierza całkowicie wyrwać się z objęć Putina. Raczej stara się tam, gdzie to możliwe, prowadzić politykę wielowektorową. Największym partnerem handlowym Kazachstanu jest Unia Europejska jako całość. Silne są też związki gospodarcze z Chinami – drugim, obok Rosji, wielkim mocarstwem, z którym ten kraj graniczy i musi jakoś układać swoje relacje. Jednak aż 90 proc. kazaskiej ropy eksportowane jest przez rosyjskie ropociągi. Z uwagi na sojusz wojskowy oraz liczną mniejszość rosyjską, która potencjalnie może być dla Putina pretekstem do powtórzenia scenariusza ukraińskiego, to właśnie Moskwa jest tu najtrudniejszym partnerem. Takim, z którym Astana nie zamierza relacji zrywać, ale też któremu wolałby nie oddawać całej suwerenności. Dlatego z jednej strony Tokajew poparł integralność terytorialną Ukrainy, ale z drugiej – sprzeciwił się zawieszeniu członkostwa Rosji w Radzie Praw Człowieka.

Niejednoznaczna polityka Astany wywołuje czasem gniewne reakcje kremłowskiej propagandy. Niedawno politolog Dmitrij Drobnicki w rosyjskiej telewizji powiedział, że Kazachstan będzie „następnym (po Ukrainie) problemem” dla Rosji, bo i tam może się „rozwinąć nazizm”. Wskazał też, że Moskwa powinna przeciwko władzom Kazachstanu wykorzystać licznie mieszkających tam Rosjan. Na te groźby zareagowało kazaskie MSZ. Dmitrij Pieskow odciął się od opinii Drobnickiego.

W ubiegłym tygodniu Tokajew spotkał się z Putinem i usłyszał propozycję stworzenia nowego sojuszu Rosji, Kazachstanu i Uzbekistanu. Na razie nie odpowiedział ostatecznie ani „tak”, ani „nie”.

KIRGISKI RYSA

Ostatnio pojawiła się również rysa na relacjach Rosji z Kirgistanem. Przewod-

niczący tamtejszego parlamentu Nurlan Szakijew wezwał do dekomunizacji oraz derusyfikacji nazw dzielnic w stolicy kraju – Biszkeku. Są one wyraźnym spadkiem po czasach sowieckich. Nazwy dzielnic: Leninowska, Pierwszomajowa, Swiedłowska oraz Październikowa mogą już niedługo zniknąć z mapy Biszkeku. To jednak nie podoba się Moskwie. Wiceszefowa komisji spraw zagranicznych Dumy Swietłana Żurowa ostrzegła Kirgistan przed „wejściem na drogę Ukrainy”, grożąc w ten sposób interwencją „w obronie Rosjan”. Jej zdaniem zmiana nazw dzielnic to dopiero początek. Następnym krokiem będzie „całkowite usunięcie języka rosyjskiego”, zamykanie szkół oraz doprowadzenie do sytuacji, w której „młodzież przestanie w ogóle mówić po rosyjsku”.

To nie pierwszy raz, gdy Kirgistan budzi zaniepokojenie na Kremlu. Podczas wrześniowego szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy prezydent Sadyr Dżaparow kazał na siebie czekać Putinowi. Czyli symbolicznie upokorzył prezydenta Rosji w jego własnym stylu. Miesiąc później Dżaparow odmówił udziału w szczycie WNP. Ponadto Kirgistan odwołał wspólnie z OUBZ manewry. Oficjalnie – z powodu niedawno zakończonego konfliktu z Tadżykistanem.

Tak czy inaczej, wpływ Rosji na sojuszników słabnie w miarę, jak słabnie sama Rosja. Po pierwsze, problemy Putina na Ukrainie ośmielają przywódców państw postsowieckich. Nawet jeśli nie zamierzają związać się z Zachodem, to przynajmniej próbują wykorzystać szansę na zwiększenie swojej niezależności od potężnego partnera. Po drugie, sankcje nałożone na Rosję odbijają się również na jej sojusznikach. Biorąc pod uwagę, że okręt może jeszcze nie tonie, ale nabiera już wody, rozglądają się za szalupami ratunkowymi. Po trzecie, sojusz z Rosją zwyczajnie przestaje się opłacać. Gołym okiem widać, że OUBZ nadaje się co najwyżej do tłumienia protestów ulicznych, jak w przypadku Kazachstanu. Ale już nie potrafi lub nie chce obronić Armenii przed Azerbejdżanem. Nie uczestniczy nawet w „specoperacji”. A skoro Rosja ugrzęzła na Ukrainie, to raczej nie będzie w stanie realizować swoich gróźb pod adresem zbuntowanych sojuszników.

Nieźrównane zyski ze zrównoważonego rozwoju



FOT. ADRIAN STOCK



Jakub Wozinski

Robiące w ostatnim czasie zawrotną karierę ratingi ESG to coś więcej niż tylko kolejna moda panująca na rynkach finansowych – to mechanizm zasilający lewackie środowiska i idee setkami miliardów dolarów

W ostatnich latach można odnieść wrażenie, że największym zmartwieniem wielkich międzynarodowych firm czy banków stało się promowanie lewicowego światopoglądu w każdy możliwy sposób. Historycznie rzecz biorąc, sympatie wielkiego kapitału na ogół zawsze lokowały się po lewej stronie sceny politycznej, lecz jeszcze nigdy dotąd prowadzona przez niego agitacja nie była aż tak intensywna. Wielkie korporacje wysyłają hurtem swo-

je delegacje na homoparady, prześcigają się w dążeniach na rzecz zeroemisyjności, a swoje materiały reklamowe podporządkowują coraz bardziej nowomowie zrównoważonego rozwoju.

PUNKTY ZA LEWICOWOŚĆ

To wielkie wzmożenie nie jest wcale dziełem przypadku, lecz ma u swoich źródeł dość prozaiczną przyczynę. Wielki wyścig wielkiego biznesu o palmę pierwszeństwa w zakresie politycznej poprawności i jego wszechobecna chęć dostosowania się do najnowszych standardów woke culture to w znacznej mierze efekt działania mechanizmów finansowych związanych z tzw. ratingami ESG. Za tym mało wciąż w Polsce znanym skrótem kryją się przyznawane największym na rynku firmom oceny realizowania przez nie określonych standardów w zakresie środowiskowym, społecznym i organizacyjnym (pokrywających się z postulatami zrównoważonego rozwoju). W przeciwieństwie do tradycyjnych ratingów przyznawanych przez tzw. wielką trójkę w oparciu o kryteria ściśle ekonomiczne

nowy rodzaj ocen dotyczy kwestii dużo bardziej subiektywnych. Ujmując rzecz wprost: gwarancję wysokiego ratingu można uzyskać, wyłącznie dostosowując się do wszelkich standardów lewicowego światopoglądu.

Oficjalnie na wysoką ocenę zapracować można jedynie, spełniając wyłącznie bardzo wyśrubowane normy. Jak dotąd nie wypracowano jednak jeszcze żadnych standardów w tym zakresie, a firm zajmujących się oceną jest nawet 600. Badanie przeprowadzone przez naukowców z MIT wykazało niedawno, że kryteria stosowane przez sześć spośród największych podmiotów działających na rynku różnią się w sposób diametralny. Nic więc dziwnego, że amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd (SEC) wyraziła zamiar uregulowania tego specyficznego „rynku”.

Zestandaryzowanie ratingów ESG będzie zapewne przypominało próbę ustalenia kanonicznej wersji lewicowości, lecz bez względu na to, czy uda się tego dokonać już teraz, interes kręci się świetnie. Agencje ratingowe mnożą się jak

grzyby po deszczu, a popyt na ich usługi nie maleje. Firmy, które gorączkowo starają się o jak najlepszy rating, narzekają na to, że wymaga się od nich udostępniania prawdziwych stosów dokumentów i poufnych danych. Ostatecznie zaś i tak często okazuje się, że największym uznaniem autorów ratingów cieszą się firmy, które teoretycznie powinny być wśród najgorzej ocenionych. Jak bowiem wytlumaczyć to, że wyższy rating niż produkująca auta z napędem elektrycznym Tesla otrzymują naftowi potentaci, jak choćby Chevron czy też Exxon? Nad wyraz pomysłne oceny dostali także inni potentaci z głównych indeksów światowych giełd, którzy nierzadko korzystają z niewolniczej pracy w biednych krajach Azji, lub też banki, które znane są z finansowania krajów OPEC. Najbardziej liczy się wszak to, że uczciły kolejny „miesiąc dumy”.

SZEROKI STRUMIEŃ KAPITAŁU

Uniżenie się przed lewicową rewolucją ma niestety głęboki sens ekonomiczny, ponieważ w ślad za ratingami ESG podąża mamuci w swoich rozmiarach kapitał. Na całym świecie zarejestrowanych jest obecnie prawie 3 tys. funduszy ESG, które tylko w Stanach Zjednoczonych dysponują łącznie ponad 16 bln dol. Obecnie aż jedna trzecia wszystkich środków inwestowanych przez fundusze inwestycyjne na całym świecie wydatkowana jest zgodnie z kryteriami ESG. Tłumacząc to na język zrozumiały dla laika, co trzeci dolar inwestowany jest obecnie na przedsięwzięcia, które niekoniecznie przynoszą dochód i są świetnie zarządzane, lecz przede wszystkim spełniają lewicowe standardy równościowe, ekologiczne i społeczne.

Wielkie instytucje finansowe nie pompują oczywiście pieniędzy w przedsięwzięcia, które narażałyby ich na ogromne straty. Jak już wspomniano, strumień kapitału płynie często do największych trucicieli. Równie nagminną praktyką jest tworzenie funduszy inwestycyjnych, które otrzymują etykietę ESG, choć tak naprawdę w zdecydowanej większości nie różnią się one składem od swoich tradycyjnych odpowiedników. Znane są także bardzo liczne przypadki, w których dotychczas istniejące fundusze z dnia na dzień przemianowano na zrównoważone fundusze lub fundusze ESG, nie dokonując absolutnie żadnych zmian co do ich zawartości. Finansowi pośrednicy z premedytacją wykorzystują głupotę

i niewiedzę zwykłych ludzi, którzy dają się zwieść modnym hasłom, są gotowi płacić za inwestowanie w fundusze ESG zdecydowanie większe prowizje (średnio nawet 40 proc.), traktując to jako cenę za świat wolny od rasizmu, homofobii i uratowany od katastrofy globalnego ocieplenia.

W awangardzie nowego sposobu inwestowania znajdują się przede wszystkim tzw. wielkie fundusze pasywne, czyli m.in. BlackRock czy Vanguard. To właśnie ich triumfalny pochód przez światowe giełdy umożliwił płynne zaprowadzenie nowych standardów i przekierowanie kapitału na tory wyznaczone przez nowy system ratingowy. Skumulowany w swoich rękach ogromną liczbę aktywów, fundusze pasywne (tj. inwestujące w główne indeksy) stały się nowymi suwerenami wielkiego kapitału. Największy na świecie fundusz ESG należy właśnie do BlackRock, którego prezes Larry Fink od dłuższego czasu z dumą przekonuje, że zarządzany przez niego podmiot ma ogromny wkład w całkowite przemodelowanie globalnego kapitalizmu.

Wielkiego wsparcia dla inwestowania wedle nowych standardów zrównoważonego rozwoju udziela m.in. Światowe Forum Ekonomiczne, które w czasie majowego szczytu w Davos przyjęło wspólnie ze 120 największymi firmami z całego świata specjalną deklarację dążenia do opracowania bardziej spójnych standardów opracowywania ratingów ESG. Instytucji zarządzanej przez Klausa Schwaba bardzo zależy na tym, aby wydawane oceny odpowiadały rzeczywistym wysiłkom na rzecz zrównoważonego rozwoju w większym stopniu niż obecnie.

Ratingi ESG wkraczają niestety w coraz szybszym tempie do Polski. Od dłuższego czasu uzyskanymi przez siebie wysokimi notami szczycą się choćby największe spółki Skarbu Państwa. Jeden z wiodących prywatnych banków podzielił się natomiast ze swoimi klientami informacją, że istotny wpływ na otrzymany wysoki rating miało w jego przypadku silne zaangażowanie w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

WIELKA HUCPA

Wielka finansowa hucpa nowego systemu ratingowego działa ostatecznie w ten sposób, że podkręca zyski finansowych pośredników, agencji ratingowych

i firm, które łaszą się do lewicowych środowisk na wszelkie możliwe sposoby. Tracą zaś wszystkie osoby, które powierzają funduszom swoje środki oraz podmioty, które nie chcą budować nowego, wspaniałego świata zrównoważonego rozwoju. Faktycznej destrukcji ulega jednak z wolna także struktura całej gospodarki, ponieważ pomimo tego, że ostatecznie „zrównoważone fundusze” nie różnią się aż tak bardzo od tradycyjnych, i tak część kapitału przeznaczana jest na przedsięwzięcia, które nie mają żadnej ekonomicznej racji bytu.

Co jednak najbardziej przerażające, najbardziej trwałym skutkiem funkcjonowania ratingów ESG jest triumfalny marsz lewackich ideologii przez przedsiębiorstwa na całym świecie. Faktyczna proekologiczność czy też działania na rzecz sprawiedliwości społecznej są często brane w bardzo głęboki nawias, lecz wymuszane w ten sposób wsparcie dla środowisk LGBT jest jak najbardziej realne. Antykultura zdobywa tym samym dla siebie kolejne bastiony, spychając tradycyjne wartości do katakumb głównego nurtu.

System ratingów ESG to chyba najbardziej jaskrawy w historii przykład tego, jak potężni finansiści wykorzystali lewicowe przesady i uprzedzenia jako wehikuł do generowania monstrualnych zysków. Wielki biznes nieustannie urabia społeczeństwo do przyjęcia jedynych słusznych poglądów na temat klimatu, płci i równości, a społeczeństwo posłusznie powierza mu środki na inwestycje w firmy, które w zamian za otrzymywany zastrzyk inwestycji muszą odwdziżyć się promocją jedynych słusznych poglądów na temat klimatu, płci i równości. Cały mechanizm posiada przy tym niestety bardzo duży potencjał rozwojowy, ponieważ kryteria zgodności ze standardami zrównoważonego rozwoju mogą być stale modyfikowane wedle doraźnych potrzeb.

Dokonujący się właśnie wielki zwrot w kierunku węgla doprowadzi niedługo do radykalnej obniżki ratingu ESG wielu podmiotów w całej Europie. Być może jednak właśnie nadciągający coraz większymi krokami kryzys energetyczny pomoże obnażyć cały fałsz ratingów zrównoważonego rozwoju, gdyż zgodnie z ich logiką większą wartość niż opalana węglem i działająca fabryka zdaje się przejawiać przejściowo zamknięty z powodu blackoutów zakład pracy wolny od tzw. homofobii.



Z Pawłem Mirowskim, zastępcą prezesa zarządu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, pełnomocnikiem prezesa Rady Ministrów do spraw programu „Czyste Powietrze” i efektywności energetycznej budynków rozmawia Karol Gac

Skutecznie pomagamy Polakom

KAROL GAC: Został pan we wrześniu pełnomocnikiem premiera ds. programu „Czyste Powietrze” i efektywności energetycznej budynków. Jakie ma pan cele?

PAWEŁ MIROWSKI: Ta nominacja to dla mnie ogromny zaszczyt, a także wielkie zobowiązanie. Rząd premiera Mateusza Morawieckiego pokazuje, że poprawa jakości powietrza, a także efektywność energetyczna budynków jest bardzo ważnym czynnikiem, zwłaszcza w kontekście sytuacji geopolitycznej po agresji Rosji na Ukrainę.

Do moich zadań należy m.in. tworzenie warunków do dalszej sprawnej, a przez to skutecznej realizacji programu „Czyste Powietrze”, a także szybkie i stosowne reagowanie na obecną sytuację w kontekście wzrostu cen nośników energii, oczywiście z myślą o korzyściach płynących z tych działań dla naszych beneficjentów. Wiele osób, które zamierzają zainwestować w nowe źródła ciepła, bierze pod uwagę nie tylko ceny nośników energii, lecz także to, ile zapłacą za wykonanie inwestycji realizowanej w ramach programu „Czyste Powietrze”. Dlatego podejmuję wiele działań, aby program stawał się jeszcze bardziej dostępny i przyjazny dla potencjalnych beneficjentów. Za swój cel stawiam sobie także troskę o pomoc państwa w zapewnianiu środków, aby wszyscy potencjalni beneficjenci programu zrealizowali swoje inwestycje w najbardziej efektywnym finansowo zakresie, uwzględniając

w zakresie rzeczowym składanego wniosku także prace związane z dociepleniem własnego domu.

Przed panem trudne zadanie. Na początku października Najwyższa Izba Kontroli zaprezentowała krytyczny raport dotyczący programu „Czyste Powietrze”, z którego wynika m.in., że program ma ogromny rozmach, ale przynosi niewielkie efekty.

Program „Czyste Powietrze” to pierwszy w Polsce, a także w Europie, na tak dużą skalę powszechny, masowy, a przy tym kompleksowy program obejmujący swoim zakresem wymianę źródła ciepła, jak również termomodernizację w budynkach mieszkalnych jednorodzinnych. Zastosowaliśmy w nim pionierskie rozwiązania, np. włączenie sektora bankowego do masowego programu, oraz nieustannie usprawniamy program i dostosowujemy go do warunków rynkowych, a przede wszystkim oczekiwań artykułowanych przez beneficjentów.

Wdrażanie programu jest pozytywnie oceniane zarówno przez Bank Światowy, który na bieżąco przygląda się jego realizacji, jak i przez Komisję Europejską. Muszę więc przyznać, że ze smutkiem przyjąłem raport NIK. Mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że nie zgadzam się z żadnym z zarzutów stawianych przez NIK.

Do tej pory złożono ponad pół miliona wniosków. Aktualnie dynamika składania wniosków nieco spadła, co jest spowodowane oczywistymi względami:

wojną na Ukrainie, inflacją, wzrostem cen nośników energii, a także szeroko zapowiadany zmianami programu skutkującymi przede wszystkim znacznym podwyższeniem maksymalnych kwot dotacji, które będzie można otrzymać. Jestem jednak pewny, że założone cele programu zostaną osiągnięte w 2029 r. Mogę również zapewnić, że budżet programu, wynoszący 103 mld zł, nie jest w żadnej mierze zagrożony.

Program podlega modyfikacjom i rozbudowie. Dostosowując jego wymogi do aktualnych potrzeb rynku, zawsze obserwujemy zwiększoną liczbę wniosków wpływających tygodniowo do wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz do dofinansowanych przez NFOŚiGW punktów konsultacyjno-informacyjnych, które znajdują się w 2105 gminach (85 proc. wszystkich gmin w Polsce). Jestem przekonany, że tak też będzie i tym razem, po wprowadzeniu zmian programu, które ogłosimy w połowie grudnia br. To wszystko pokazuje, że zmierzamy w dobrym kierunku.

Na początku przyszłego roku NFOŚiGW uruchomi nabór wniosków w nowej odsłonie programu. Co się zmieni?

Szczegóły zostaną ogłoszone w połowie grudnia, ale już teraz mogę zapewnić, że program stanie się jeszcze bardziej przyjaznym narzędziem, umożliwiającym uzyskanie atrakcyjne-



źródło ciepła, a obecnie chcą otrzymać dotację, aby docieplić budynek.

NFOŚiGW wspiera także inne projekty – „Mój Prąd” i „Stop Smog” – które cieszą się sporą popularnością.

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej skupia swoje działania na wsparciu rozwoju nisko- i zeroemisyjnej transformacji polskiej gospodarki. Fundusz chce zapewnić bezpieczeństwo energetyczne, dlatego oferujemy programy dotyczące poprawy jakości powietrza i efektywności energetycznej budynków, które są kierowane do beneficjenta indywidualnego. Są to programy masowe, takie jak: „Czyste Powietrze”, „Stop Smog” i najnowszy „Ciepłe Mieszkanie”. Programy te przede wszystkim służą poprawie efektywności energetycznej budynków poprzez lepszą izolację cieplną budynków, a także wymianę przestarzałych źródeł ciepła na bardziej wydajne i te, które zaliczamy do OZE. Dzięki środkom finansowym dostępnym w ramach realizowanej przez NFOŚiGW czwartej już edycji programu „Mój Prąd” Polacy mogą także uniezależnić się energetycznie poprzez montaż własnego źródła energii elektrycznej w postaci paneli fotowoltaicznych.

Dzięki takim strumieniom funduszy zewnętrznych, jak np. Fundusz Modernizacyjny, możemy finansować strategiczne projekty pomagające transformować takie gałęzie gospodarki, jak np. ciepłownictwo. To pokazuje, że NFOŚiGW aktywnie wspiera realizację celów polityki klimatycznej.

Dzięki właściwie przeprowadzonym pracom termomodernizacyjnym oraz wymianie źródeł ciepła można zaoszczędzić nawet 70 proc. kosztów energii. Dziś to chyba szczególnie ważne?

To prawda. Program „Czyste Powietrze” w nowej odsłonie wychodzi temu naprzeciw, wprowadzając dodatkowe zachęty finansowe do przeprowadzenia kompleksowej termomodernizacji budynku. Taka termomodernizacja pozwala na wygenerowanie maksymalnych oszczędności energii niezbędnej do ogrzania budynku, a co za tym idzie – znacznego zmniejszenia rachunków za ogrzewanie. Można bez wahania stwierdzić, że tymi działaniami realnie i skutecznie pomagamy Polakom w tej niełatwej sytuacji geopolitycznej, z którą każdego dnia przychodzi nam się mierzyć, a która niewątpliwie wpływa na nasze życie codzienne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

go, tj. znacznie wyższego niż obecnie, dofinansowania na wymianę tzw. kopciucha i docieplenie domu. Nowością w programie „Czyste Powietrze” będzie wydzielenie „pakietu termo”, oferującego znaczne dofinansowanie na głęboką termomodernizację. Będziemy zachęcać, aby beneficjenci najpierw docieplali własne budynki, a następnie wymieniali źródło ciepła – w końcowym efekcie działania te przyczynią się do poprawy jakości powietrza, a także sprawią, że będziemy potrzebowali mniej ciepła do ogrzania naszego budynku, czyli finalnie więcej pieniędzy zaoszczędzimy w comiesięcznych wydatkach ponoszonych przez gospodarstwa domowe. Obecnie, w związku z sytuacją na rynku, kolejny raz zmieniamy program, dostosowując go do potrzeb rynku: m.in. zwiększamy maksymalne kwoty dotacji czy zwiększamy progi dochodowe uprawniające do podwyższonego dofinansowania. Są to zmiany niezbędne, żeby przekonać Polaków, że warto do programu przystąpić.

Może problemem była biurokracja? Formalności „Czystego Powietrza” były dość skomplikowane. Dla porównania: dużą popularnością cieszyła się ulga termomodernizacyjna, która była prostsza.

Przypomnę, że wnioskodawcą programu może być właściciel/współwłaściciel budynku mieszkalnego jednorodzinnego, którego dochód roczny nie przekracza 100 tys. zł. Gdy dochód jest wyższy, możemy skorzystać z ulgi termomoderni-

zacyjnej. Od początku trwania programu jest on zmieniany i usprawniany, tak aby mogło skorzystać z niego jak największe grono wnioskodawców. Oprócz usprawnień dotyczących samego programu ważnym aspektem dotyczącym jego wdrażania jest edukacja i uświadamianie Polaków o korzyściach finansowych płynących z realizacji przedsięwzięć termomodernizacyjnych oraz wymiany źródła ogrzewania.

Czy wyższe dotacje i waloryzacja kosztów przekonają Polaków?

Bieżąca realizacja programu „Czyste Powietrze” i zachodzące w nim zmiany najlepiej pokazują, że bardzo mocno wsłuchujemy się w głos dotychczasowych i przyszłych wnioskodawców oraz beneficjentów.

Wzrost dotacji jest wynikiem analiz zwyczajki kosztów zakupu źródeł ciepła oraz wzrostu kosztów materiałów niezbędnych do przeprowadzenia termomodernizacji w budynku mieszkalnym. Nie mam wątpliwości, że wyższe dotacje będą czynnikiem zachęcającym do korzystania z programu „Czyste Powietrze”, bo warto dodać, że w przypadku głębokiej termomodernizacji będzie można uzyskać nawet ponad 100 tys. zł, a koszty będą kwalifikowane do sześciu miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Umożliwimy także ponowne złożenie wniosku przez beneficjentów programu, którzy wcześniej wymienili w ramach programu



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wojna – wygodna wymówka

Czy dzieje się w Polsce coś złego, za co rządzący Polską politycy nie zdążyli jeszcze zwalić winy na wojnę, którą Putin rozpętał na Ukrainie?

Jakoś nie mogę sobie niczego takiego przypomnieć, a słynna „putinlacja”, czyli obarczenie przez premiera Morawieckiego całą winą za szalejącą w Polsce inflację Putina i jego armię, jest tego wymownym symbolem. A przecież nawet dzieci wiedzą, że za naprawdę niemałą część nękającej Polaków – i na domiar złego coraz wyższej – inflacji odpowiada nie kto inny, jak polskie władze fiskalne (czyli rząd) i monetarne (czyli Narodowy Bank Polski).

Jasne, napaść Rosji na Ukrainę i tocząca się tam wojna w znacznym stopniu są faktyczną przyczyną wielu dotyczących nas ostatnio plag, lecz żeby zaraz wszystkich bez wyjątku i w dodatku w całości, w 100 proc. – od rzeczony inflacji, a zwłaszcza wzrostu cen energii i paliw, przez niedostatek węgla, do coraz bardziej masowego upadku polskich firm – to już jednak gruba przesada.

Ale cóż – taka jest natura uprawiania polityki, zwłaszcza tej niedojrzałej, i to nie tylko w Polsce. Politycy rządzący, bo to zazwyczaj przypadłość trapiąca ich, a nie polityków opozycji, najchętniej rządzą właśnie od jednej wygodnej dla nich wymówki do drugiej wygodnej dla nich wymówki.

Jeszcze niedawno, jak pamiętamy, za taką – jakże poręczną – wymówkę przez długie dwa lata służyła im tzw. pandemia COVID-19.

Jeśli tylko coś nie szło po ich myśli, to w trymiga winę za to zrzucali na koronawirusa lub na walkę z nim albo – jeszcze chętniej – na przeciwników tak toczony z nim walki, jak oni ją toczyli, okrzykując ich płaskoziemcami i winiąc za wszystko, za co się dało – za rosnącą liczbę chorych na wszystko, za nadmiarowe zgony na wszystko, za nieskuteczność własnej walki z COVID-19, za upadające firmy itd. A na koniec – wskazując na konieczność dofinansowania szpitali po COVID-19 – próbowali zrzucić z siebie całą odpowiedzialność za wprowadzenie tzw. Polskiego Ładu, który ma dobić polską klasę średnią, wypruwając ją z resztek dochodów.

Wojna jako wygodna wymówka posłuży polskim politykom pewnie jeszcze długo, bo nic nie wskazuje na to, żeby sama wojna na Ukrainie miała szybko się zakończyć. A że szastającemu publicznym groszem polskiemu rządowi wkrótce skończą się pieniądze, także te z zaciągania coraz to nowych długów, które na razie udzielane są na coraz wyższy procent, a wkrótce zapewne w ogóle przestaną być udzielane, przyjdzie czas na podnoszenie podatków – wszystkich, jakie się da, rzecz jasna zaczynając od podatków dla nieco bogatszych Polaków, czyli od ostatecznego dorznięcia polskiej klasy średniej.

Wygodną wymówką także dla tej operacji będzie wojna, a jeśli ta się skończy – to politycy bez trudu znajdą kolejną. A choćby konieczność odbudowy gospodarki po wojnie. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kto wytwarza nasze bogactwo

Jak państwo sądzą, kto tworzy miejsca pracy, daje przychody z podatków, dostarcza ludziom usługi i towary? To zagadka, w której są dwie odpowiedzi: A) małe i średnie przedsiębiorstwa; B) związki zawodowe.

Powiedzą państwo – cóż za absurd. Jasne przecież, że odpowiedź A jest prawidłowa. Ha! I tu się państwo mylą. Okazuje się bowiem, że dla polskiej gospodarki kluczowi są nie mali i średni przedsiębiorcy, ale związki zawodowe. A przynajmniej tak właśnie jest zdaniem

stronach rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, a sam Adam Abramowicz alarmował w tej sprawie na Twitterze.

W Komisji Energii odpowiednia poprawka została nawet zaproponowana przez posła Koalicji Obywatelskiej Sławomira Neumanna, ale nie znalazła się większość gotowa ją poprzeć. Niemal w tym samym czasie w innej komisji sejmowej zatwierdzono zwiększenie dotacji dla TVP o 700 mln zł. Widocznie TVP również tworzy bogactwo narodowe.

To wszystko właściwie nie powinno dziwić. Od dawna już można odnieść wrażenie, że rządzący nie rozumieją podstawowych ekonomicznych zależności i nie mają kompletnie świadomości, czym może się skończyć ich radosna twórczość. A przypomnieć trzeba, że w przyszłym roku przedsiębiorcy zapłacą rekordowo wysokie składki na ZUS.

Zdawałoby się, że w naszej sytuacji powinniśmy na małe i średnie firmy chuchać i dmuchać, modłać się, żeby jak najwięcej z nich przetrwało kryzys, bo od tego zależą nasz dobrobyt i pieniądze na wojsko. Jednak okazuje się, że to błędne myślenie. Chuchać należy, jak się okazuje, na pana Piotra Dudę i jego związek oraz na wszystkich innych związkowych towarzyszy spod różnych sztandarów. A przedsiębiorcy? Cóż – jak kiedyś stwierdził pan prezes: jeśli nie dają sobie rady, to widocznie się nie nadają. ©©

Od dawna można odnieść wrażenie, że rządzący nie rozumieją podstawowych ekonomicznych zależności

rządu, który w procedowanym w ubiegłym tygodniu w Sejmie projekcie ustawy o szczególnej ochronie odbiorców paliw gazowych w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku gazu uznał, że ochroną, czyli gwarancją maksymalnej ceny gazu, należy objąć właśnie związki zawodowe, ale już nie małe i średnie firmy. Wiem, brzmi to jak żywcem wzięte z filmu Barei i sam bym w to nie uwierzył, gdyby nie to, że przeczytałem o tym na

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 536a258947



Lasy Państwowe dla ochrony

Większość polskich zwierząt kręgowych to gatunki leśne. Sukcesem współpracy leśników, przyrodników i myśliwych jest stan populacji największych polskich zwierząt

Cechą prowadzonej przez Lasy Państwowe działalności gospodarczej jest łączenie funkcji gospodarczej z przyrodniczą i społeczną. W efekcie lasy są więc dostarczycielem surowca, miejscem rekreacji i ostoją dzikiej fauny, która w polskich warunkach ma się bardzo dobrze. Pomyślny los wielu gatunków, po okresie, kiedy były skrajnie zagrożone lub bardzo nieliczne, to przykład dbałości leśników o polską przyrodę.

Bielik to nasz największy ptak drapieżny. Rozpiętość jego skrzydeł może dochodzić prawie do 2,5 m! To właśnie on stał się pierwowzorem polskiego godła, orla białego.

Ptaki żyją w parach, a obszar polowań (tzw. rewir łowiecki) jednej pary to ok. 100 km kw. Jego centrum to okazałe gniazdo, najczęściej posadowione na wy-

trzymałym starym drzewie. Jedno gniazdo wykorzystywane jest przez parę ptaków przez wiele lat. Największe mogą ważyć nawet tony!

Aby ptaki mogły zbudować tak monumentalną konstrukcję, muszą przez lata nie niepokojone korzystać z tego samego drzewa i rewiru. I tu właśnie pojawia się rola leśników.

Jeszcze na początku XX w. bielików w Polsce było mało, bo zaledwie ok. 20 par lęgowych, a gatunek uznano za wymierający. Z tego względu w 1952 r. minister leśnictwa wydał rozporządzenie, dzięki któremu bieliki były pierwszym gatunkiem ptaków szponiastych objętym ochroną w naszym kraju. Właśnie dla bielików w latach 70. XX w. zaczęto w lasach tworzyć strefy ochronne. Ten kierunek

przyniósł diametralną poprawę sytuacji herbowego ptaka.

Strefy ochronne to wyłączone z działań gospodarczych otoczenie gniazd. Bliżej gniazda rygory obowiązują całorocznie, w dalszej odległości – w okresie lęgowym. Dziś ich wielkość charakteryzują przepisy ustawy o ochronie przyrody. Ale od samego początku do dziś strefy powstają niemal wyłącznie w lasach zarządzanych przez Lasy Państwowe. Choć lasy prywatne to piąta część wszystkich lasów w Polsce, do niedawna nie było tam ani jednej (!) strefy ochrony gniazd.

– Dzięki wspólnym wysiłkom ornitologów i leśników nasz herbowy ptak jest teraz w rozkwicie liczebności, a polska populacja jest trzecia pod tym względem w Europie, po Norwegii i europejskiej części Rosji – przypomina Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

Obecnie, po dziesięcioleciach ochrony, liczebność bielika w Polsce szacuje się na około 1000–1400 par.



dzikiej fauny

– Ale to nie dzieje się samo. W Lasach Państwowych wytyczyliśmy ok. 3,8 tys. stref ochrony gatunków, w większości wokół gniazd ptaków. Łączna powierzchnia tych stref to 150 tys. hektarów – mówi Gzowski. I dodaje: – Dwa proc. lasów poświęciliśmy ochronie gatunków. To powierzchnia równa połowie powierzchni wszystkich parków narodowych.

Żubr to kolejny przykład sukcesu działań ochronnych prowadzonych przy udziale leśników. Król puszczy słusznie kojarzony jest z Puszczą Białowieską i tamtejszym parkiem narodowym. Bo to okolice, gdzie te zwierzęta przetrwały najdłużej, i miejsce, w którym rozpoczęła się ich restytucja po zagładzie, którą przyniosła pierwsza wojna światowa. Ale świadomość, że większość żubrów bytuje wcale nie w parku narodowym, lecz na terenach zarządzanych przez Las Państwowy, jest niewielka.

Rola Lasów Państwowych w odtworzeniu populacji żubrów jest niebagatelna.

Dzięki wspólnym wysiłkom ornitologów i leśników nasz herbowy ptak jest teraz w rozkwicie liczebności, a polska populacja jest trzecia pod tym względem w Europie

19 września 1929 r. pierwsze żubry przewieziono do specjalnej zagrody w Puszczy Białowieskiej z ogrodu zoologicznego w Berlinie. Dały one początek odtwarzanej populacji po tym, jak żubry z Puszczy Białowieskiej wybito podczas pierwszej wojny światowej. Organizacją transportu opieką nad zwierzętami zajęli się leśnicy.

– Restytucja flagowego gatunku polskiej fauny okazała się wielkim sukcesem. Staraniem leśników i myśliwych polskich doprowadziliśmy do tego, że dziś ma świecie jest około 9,5 tys. tych zwierząt –

mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Co czwarty żyjący na świecie żubr mieszka w Polsce.

Co ciekawe w Puszczy Białowieskiej wcale nie jest ich najwięcej. Liczniejsze od białowieskiego jest stado bieszczadzkie. Na wschodzie Polski żubry są też w puszczach Knyszyńskiej, Rominckiej i Boreckiej. Zamieszkują Pomorze Zachodnie. A Las Państwowy finansują powstawanie kolejnych wolnych stad żubrów. W ostatnich latach zwierzęta zagrościły w Lasach Janowskich (pogranicze podkarpackiego i lubelskiego) i Puszczy Augustowskiej. Żubrów nie wystarczyło ot tak zawieźć i wypuścić. Każdorazowo był to kosztowny i skomplikowany proces.

– Stada wolnościowe bytują przede wszystkim na obszarach leśnych w zarządzie Lasów Państwowych i to Las Państwowy ponoszą główny ciężar opieki nad żubrami na wolności. To królewskie zwierzę to nasza duma – mówi Józef Kubica.

Las Państwowy prowadzi także kilka leśnych zagród, w których można podziwiać żubry. Zagroda w Muczmem to jedna z topowych atrakcji Bieszczadów. Przez tę prowadzoną przez Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie przewinęły się setki szkolnych wycieczek z Wielkopolski.

Żubrami dzielimy się z Europą. W ostatnich latach w ramach programu, któremu wsparcia finansowego udzielały Las Państwowy, dziesiątki żubrów pojechały za granicę, by tworzyć nowe stada w Bułgarii, Serbii czy Hiszpanii.

Spektakularne sukcesy, mierzone liczebnością populacji, odnoszą także inne gatunki. Ze skrajnie niskiego stanu startowały bobry, które zasiedlają dziś wszystkie leśne rzeki i potoki w kraju. Podobna sytuacja dotyczy łosi, które dziś widuje się w sąsiedztwie osiedli i miast.

– Dziś w Polsce jest ich ponad 30 tys., a tuż po wojnie doliczono się jedynie 18 sztuk w Nadleśnictwie Rajgród... – przypomina Gzowski.

Liczne są nie tylko łosie, lecz także dziki, sarny i jelenie – populacja tych ostatnich na polskich ziemiach jest prawdopodobnie najliczniejsza od czasów ostatniego zlodowacenia. To dlatego nie musimy się martwić o drapieżne niedźwiedzie (ponad 300 osobników w kraju), wilki czy coraz częstsze rysie, dla których duży roślinożerca są pokarmem.

– A lasy, których nie ubywa, a przeciwnie – przyrasta, są dla nich schronieniem – kwituje Gzowski.



Joanna Bojańczyk

Gdy poznamy historię mody, zrozumiemy, że wszystko już w niej było. A jednak wciąż przychodzi nowe i wciąż jest odkrywane. To jeden z paradoksów mody

Słowo „vintage” to jedna z największych karier językowych ostatnich dwóch dekad. Nie w winiarstwie, skąd zostało zapożyczone i gdzie określało stare roczniki win, ale w modzie. Tutaj nabrało nowych znaczeń. Miało reklamować, rehabilitować, nawet waloryzować stare ubrania. Uwalniać biznes modowy z poczucia winy wynikającego z wymuszonej szybkiej konsumpcji ciuchów. Miało przypominać dobre, stare czasy, kiedy dzieci były grzeczniejsze, pogoda lepsza, a suknie elegantsze. Jednak vintage polski stał się osobliwą odmianą gatunku. Osobliwości są, jak wiadomo, specjalnością historii naszego regionu. Historii mody także.

W czasach, kiedy Zachód kwitł, u nas panowała socjalistyczna bida, wieczne braki. Starzy to przeżyli, młodzi o tym tylko słyszeli. W PRL zdobycie modnej rzeczy było sztuką. Kiedy runęła żelazna kurtyna, ludzie byli spragnieni nowości. Nie mając o nich wielkiego pojęcia, przyjmowali wszelkie pomysły. Second-hand był jednym z nich – fenomenem czasów. Gdzie indziej rzecz marginesowa, u nas wystąpił w skali niespotykanej nawet u naszych sąsiadów, w końcu w podobnej sytuacji gospodarczej.

Na początku lat 90. w Polsce sklepy z używaną odzieżą zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu. Były nowością na ubogim rynku, odpowiedzią na potrzeby, szansą dla zubożałego społeczeństwa, które jeszcze nie zaczęło się dorabiać. Ubierały emerytów i dziewczyny, które szukały modnych rzeczy za małe pieniądze. Język ludowy od razu wygenerował dla nich nazwy: lumpeks, szmateks, grzebalnia.

Chwalono się „designerskim” ciuchem kupionym w miasteczku pod Rzeszowem. A same sklepy reklamowały się, czym tylko można było trafić do wyobraźni małego bywalego w świecie Polaka, dla którego już samo słowo „zagranica”



Wycieczka po szafach

wywoływało emocje: „Markowe rzeczy z Anglii”, „Świeża dostawa ze Szwajcarii”, „Odzież skandynawska”... Jeden z takich sklepów na swojej wyliczance dostępnych „eleganckich” marek zachwalał Primark, sieć słynącą z najtańszej masówki.

Mit second-handów chwyciły i rozpowszeczniły kobiece magazyny. Miały być kopalnią bezcennych, markowych ubrań za parę złotych. A czym były i czym są w rzeczywistości? Najczęściej zbieraniną sieciówkowych ciuchów z poprzednich dekad.

MAJTECZKI W KROPECZKI

Istnieje też jednak prawdziwa, bliższa oryginałowi odmiana vintage. Mam w rękach – łatwo powiedzieć, bo jest to przedmiot dużego formatu i jeszcze większej wagi – książkę angielskiej autorki Nicky Albrechtsen „Moda vintage”. Wydały ją Arkady, zawiera 1,3 tys. ilustracji.

Anglia nie jest może stolicą mody i raczej nią nie była (męskiej owszem), ale na pewno jest mistrzynią kostiumu. Znamy to z kina: wspomnę tylko ostatni

wyczyn kostiumografów brytyjskich „The Crown”, w 10-odcinkowym serialu przed naszymi oczami defiluje krawiectwo od lat 50. do 80.

W książce Albrechtsen mamy to właśnie i dużo więcej, bo praca obejmuje okres od lat 20. do 80. ubiegłego wieku. W części pierwszej znajdujemy systematykę historyczną: kolejne dekady mody. Część druga poświęcona jest omówieniu poszczególnych części ubrania: kapelusze, rękawiczki, apaszki, suknie ślubne, bielizna, szlafroki... Rozdział trzeci zajmuje się motywami zdobniczymi – pożyteczny leksykon wzorów, które dobrze znamy z ubrań. Czym są, w jakim kontekście kulturowym się rozpowszeczniły – o tym jest ta opowieść. Oto kropki: popularny wzór, chciałoby się powiedzieć „wiecznie modny”. My mamy swoje „Biedroneczki są w kropczki” i discopolowe „Majteczki w kropczki”. Starsze pokolenie pamięta być może międzynarodowy przebój z lat 60. „Itsy Bitsy Teeny Weeny” to była właśnie piosenka o bikini w kropki. Wtedy ta moda się zaczęła. Dalej idą u autorki

FOT. WYDAWNICTWO ARKADY

motywy wschodnie, wzory z Indii, desenie Indian Navajo, koronki Schiffl, wzory paisley. Kto zna, kto pamięta?

Tak, jakby ktoś przed nami wyciągał z szaf kolejne ubrania: suknie, kapelusze, biustonosze, szale i snuł o nich opowieść. Są tu niepowtarzalne egzemplarze wysokiej mody, rzemieślniczego wzornictwa, są rzeczy codziennego użytku, ale też ikoniczne elementy dawnej mody. Oglądając niektóre fotografie, zrozumiemy być może, skąd się wzięły suknie babek i prababek, które widzieliśmy w rodzinnych albumach.

„Słynny ślub księcia Windsoru z dwukrotnie rozwiedzioną Wallis Simpson odbył się w roku 1936 we Francji. Panna młoda ubrana była w prostą jedwabną suknię zaprojektowaną przez Mainbochera, odpowiedzialnego za większość codziennych strojów Simpson, a także za specjalnie dla niej skomponowany odcień błękitu zwany »błękitem Wallis«. Suknia ta stała się najczęściej kopiowanym strojem epoki. Tradycyjna sylwetka sukni z lat 30. wskazuje, że modny był też ciężki atłas duchesse krojony ze skosu, imitacja charakterystycznego stylu Vionnet” – czytamy w książce.

SZLAFROK I FUTRO STORY

Lektura tej książki po raz kolejny uświadamia powtarzalność mody, ale i to, że każdy cytat z przeszłości pojawia się w nowych okolicznościach i czasie. Gdy poznamy historię mody, zrozumiemy, że wszystko już w niej było. A jednak wciąż przychodzi nowe. Jak to się dzieje? To jeden z paradoksów mody.

Kto ma nosa do dobrych materiałów, wyłowi je sam nawet ze stosu skłębionych ciuchów w second-handzie, nie kierując się metką, tylko dotykiem. Szlachetne materiały z przeszłości można rozpoznać po dotyku. Ale „nosa” nie wszyscy mają. Tym książka Albrechtson może ułatwić rozpoznanie wartościowych, a dziś rzadko spotykanych krawców, zapomnianych domów mody.

Dowiedziałam się, że mój dziecięcy płaszczek z wełny w kurzą stopkę, przysłany w paczce z Anglii (widocznie wyrosła z niego jakaś angielska daleka kuzynka), pochodził ze znanej londyńskiej firmy Jaeger. Wtedy wstydziłam się go

nosić, bo był inny niż ubrania koleżanek, w dodatku miał rękawy do łokcia. Dziś dowiaduję się, że „Firma Jaeger powstała w 1883 r. i była synonimem modnego Londynu, a stroje z metką »Yuang Jaeger« osiągają dziś bardzo wysokie ceny”. Niestety, płaszczek zagiął w pomroce dziejów.

Na jedwabny przedwojenny szlafrok w chińskie wzory można czasem natrafić w lumpeksach, a jego kopie współczesne można znaleźć w Internecie. Nosiły je damy z cyganerii w latach 20. i 30. „W latach dwudziestych motywy orientalne często pojawiały się na bieliznie, koszulach nocnych i szlafrokach. Trudno odróżnić

oryginalne wdzianka i długie podomki od ich współczesnych odpowiedników, tak niewiele się zmieniły, jeśli chodzi o desenie, chociaż dzisiejsze jedwabie nie mają takiej faktury, jak te z lat dwudziestych. Wówczas większość tego typu garderoby importowana była z Japonii, a zatem metki z Chin i Hongkongu wskazują na późniejsze pochodzenie odzieży. Jedwab. Model z lat czterdziestych” – czytamy w książce „Moda vintage”

Kto pamięta pasy do pończoch? To upiorne urządzenie składające się z szerokiego atłasowego pasa z wszytą elastyczną wkładką (bywało, że z metalowymi fiszbinami!) oraz przymocowanymi na dole podwiązkami może wzbudzać grozę wśród użytkowniczek spodni, które nawet rajstopy uważają za zło konieczne. A taki pas nosiło się do późnych lat 60., kiedy pojawiły się rajstopy. Do tego czasu nawet chłopcy nosili pończochy na podwiązkach.

Mowa jest też o futrach, dzisiaj temat tabu, a przecież mamy do czynienia z najstarszym okryciem ludzkości. „Największym pożądanym w świecie mody cieszył się charakterystyczny lampart (błąd tłumaczki – u niej to leopard). Był nawet bardziej poszukiwany niż gronostaj, który przez długi czas zdobił stroje królów, czy nawet norka ceniona jako zwierzę obdarzone wyjątkowo miękkim futrem” – pisze Nicky Albrechtsen.

Nie cofając się do czasów jaskiniowców, warto sobie przypomnieć futro story ostatnich 50. lat. Rezygnacja z futer wywalczona przez obrońców zwierząt okazała się spektakularnym eksperymentem społecznym XX w. Dzisiaj, gdy widzę nieliczne już reklamy kuśnierzy, zastanawiam się, kto jeszcze nosi futra. O lamparcie nie wspomnę, ale przecież jeszcze parę lat temu norki widziało się

na ulicach. Dzisiaj ludzkość zimnych klimatów nosi kurtki puchowe, dzięki zwierzęta są już tylko w zoo albo w magazynie „National Geographic”.

Lektura tej książki pozwala zrozumieć, czym są i czym powinny być dobre ubrania. Uświadamia, że krzykliwe, masowe „markowe” ciuchy z wielkim logo i jeszcze większą ceną to może jeszcze jest moda, ale czy coś po niej zostanie?

Lektura tej książki pozwala zrozumieć, czym są dobre ubrania
FOT. WYDAWNICTWO ARKADY



NICKY ALBRECHTSEN
„MODA VINTAGE”
ARKADY 2022

NASZ TEST: ECOVACS DEEBOT T10 TURBO

Wysoka moc ssania, możliwość jednoczesnego odkurzania i mopowania podłogi, dopracowany system nawigacji i rozpoznawania przeszkód, pomysłowa stacja do automatycznego mycia obrotowych mopów, stosunkowo cicha praca oraz opcja patrolowania domu za pomocą kamery wbudowanej na przodzie odkurzacza – to największe zalety automatycznego robota chińskiej firmy Ecovacs.

Biały robot wygląda nowocześnie i dobrze się wpasowuje w nowoczesne wnętrza. Ma nieco 10,35 cm wysokości oraz średnicę 36,2 cm. Waży 14,3 kg. We wnętrzu kryje pojemnik na kurz o wielkości 0,4 l, a za „podwoziem” jest miejsce na dwie obracające się szczotki do mopowania podłogi. Z przodu zamontowano kamerę o rozdzielczości HD, która rozpoznając statyczne i ruchome obiekty, ułatwia robotowi nawigację oraz umożliwia robienie trójwymiarowej mapy sprzątaných pomieszczeń. Ciekawa jest też funkcja zdalnego „patrowania” domu – można np. zdalnie uruchomić kamerę i sprawdzić, co się dzieje w domu, gdy odpoczywamy na wakacjach, w godzinach pracy udać się na zdalny patrol, aby zobaczyć, jak idzie kotu walka z choinką lub czy pies znowu nie wyczyścił kocich misek. Tworzona przez robota wirtualna mapa jest niezwykle dokładna (w razie potrzeby można ją samodzielnie edytować). Robot może sprzątać wszystkie pomieszczenia, można mu też kazać w aplikacji, aby np. jeszcze raz umył podłogę

w przedpionku lub w kuchni. Robot bardzo dobrze radzi sobie z omijaniem najróżniejszych przeszkód, zabawek czy kabli (choć podczas dwutygodniowego testu raz zdarzyło mu się powiesić na kablu od telewizora).

W zestawie jest również stacja dokująca. Podobnie jak w przypadku innych robotów tego typu umożliwia ona automatyczne ładowanie robota. Znajdują się w niej również dwa zbiorniki, na czystą i brudną wodę, a także „zlew” – czyli miejsce, w którym robot wypłukuje szczotki mopujące i w którym czyste szczotki są automatycznie suszone.

To właśnie połączenie odkurzacza z przyzwoitą już mocą ssącą (3000 Pa) ze wspomnianymi szczotkami mopującymi (zmoczone pady wykonują 180 obrotów na minutę i są regularnie przez robota czyszczone) sprawia, że testowany model jest rzeczywiście bardzo skuteczny w walce z kurzem, sierścią, piaskiem, okruskami czy kocim żwirkiem. Po zakończeniu sprzątnięcia pady mopujące są w stacji dokującej suszone ciepłym powietrzem.

Na pochwałę zasługuje również akumulator o pojemności 5200 mAh, który pozwala robotowi sprzątać przez ponad cztery godziny na jednym ładowaniu.

Wady? Nie ma ich wiele, ale nie jest też tak, że zupełnie nie ma się do czego przyczepić. Pierwszy minus to wielkość pojemnika na kurz – zważywszy na to, że w tym modelu człowiek



musi sam co jakiś wyrzucić śmieci zebrane przez robota, to pojemnik ten mógłby być istotnie większy. Drugi minus: brak możliwości wydawania komend głosowych w języku polskim (po aktualizacji systemu ma być już opcja przekazania po polsku odkurzaczu, aby przestał się leniwie wygrzewać na stacji i łaskawie jeszcze raz posprzątał pod kanapą). Fatalne jest też tłumaczenie niektórych komunikatów w aplikacji. Szczegółowe ustawienia znajdziemy np. w podmenu oznaczonym „kopalnia”. Gorzej, gdy zapomni się hasła do logowania – wówczas trzeba się zmierzyć ze znajomością języka chińskiego. Trzeci minus to stosunkowo wysoka cena.

Mimo tych wad Ecovacs Deebot T10 Turbo to jeden z najlepszych robotów odkurzająco-mopujących dostępnych na rynku. Cena: 3517 zł.

©© **Jacek Przybylski**



OLED W SALONACH GRACZY

Na tę wiadomość czekały tłumy fanów najbardziej zaawansowanych gier, których grafika zawstydza często twórców hollywoodzkich produkcji. Południowo-koreańska firma LG wypuszcza na rynek gamingowy monitor z matrycą OLED. 45-calowy zakrzywiony ekran o rozdzielczości 3440 x 1440 ma zadebiutować już 12 grudnia. Wśród deklarowanych przez producenta zalet tego modelu poza prawdziwie czarną czernią wymienić można choćby szerokie pokrycie palety barw DCI-P3 (98,5 proc.), szerokie kąty widzenia (178 stopni) oraz czas reakcji (GtG), który wynosi ponoć tylko 0,03 milisekundy (sic!). UltraGear OLED ma kosztować 1,7 tys. dol., czyli równowartość 7,6 tys. zł.

MYSZ DLA NAPRAWDĘ WYMAGAJĄCYCH

Razer Naga V2 Pro to gryzoń skonstruowany dla najbardziej wymagających miłośników gier MMO (gier fabularnych dla dużej liczby graczy). Ważąca 134 g nowa bezprzewodowa mysz ma trzy wymienne panele boczne i może mieć 2, 6 lub 12 dodatkowych programowalnych przycisków kontrolnych. Pod siebie można też dostosować kółko Razer HyperScroll Pro Wheel, które oferuje sześć różnych trybów przewijania. Optyczny sensor oferuje według producenta rozdzielczość do 30 000 DPI, maksymalną prędkość do 750 IPS i przyspieszenie do 70 G. Wbudowany akumulator pozwala na prowadzenie wirtualnych rozgrywek do 300 godzin bez przerwy. Można też podłączyć do gryzonia smycz, czyli przewód USB typu C. Nie zabrakło również podświetlenia RGB LED. Niestety, mysz się ceni – trzeba za nią zapłacić 199,90 euro, czyli równowartość 934 zł. ©© **Jacek Przybylski**



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kiejdańska zdrada Radziwiłła



JACEK KOMUDA

Litewskie Kiejdany nad rzeką Niewiązą słynne są z pięknych kamieniczek, gotyckiego kościoła św. Jerzego i innych zabytków z czasów I Rzeczypospolitej. Są też miastem kontrowersji polsko-litewskich, tutaj bowiem 20 października 1655 r. hetman Janusz Radziwiłł wraz ze szlachtą Wielkiego Księstwa podpisał akt umowy kiejdańskiej – zrywający unię polsko-litewską i podporządkowujący Litwę Szwecji. Na wieść o nim sienkiewiczowski Zagłoba krzyknął do Radziwiłła: „Zdrajco, zdrajco, po trzykroć zdrajco!”. Nie przetrwał pałac, w którym rozgrywały się wspomniane wydarzenia. Na rynku znajduje się jednak pomnik Janusza Radziwiłła, który przez Litwinów awansowany był do rangi bohatera narodowego, gdyż zrywał straszny związek z Polską, wprowadzając w to miejsce światłą unię ze Szwecją. Przez Polaków hetman niezmiennie uważany jest za zdrajcę. Czy słusznie?

Oddajmy głos historykom, którzy nigdy nie byli zgodni co do jego motywów. Ludwik Kubala pisał: „Nie ma wątpliwości, iż książę Janusz jeszcze przed zaczęciem wojny utrzymywał stosunki z dworem szwedzkim przez księcia kurlandzkiego, lecz jedynie w widokach religii swojej, a nie dla żadnej zdrady, jak rozsiewali jego nieprzyjaciele”. Próbował udowodnić, że kontakty Radziwiłła ze Szwedami wynikały z chęci obrony dysydentów na Litwie, jednak zarzucił hetmanowi sprowadzenie Szwedów do Rzeczypospolitej, choć podkreślał, że na zerwanie unii z Polską zdecydował się dopiero po zajęciu Dyneburga przez Szwedów – 9 lipca 1655 r. Z kolei Zbigniew Wójcik oskarżał dysydentów polskich i litewskich oraz ich protektorów o sprowadzenie nieprzyjaciół.



FOT. DODATKOWA PUBLICZNA

Z zarzutami tymi nie zgadzał się Henryk Wisner, uważając, że Radziwiłłowie nie odegrali żadnej roli w sprowadzeniu Szwedów. „Wśród czynów księcia Janusza, za które jest obwiniany, próżno szukać takich, których nie popełnili i inni, najszlachetniejsi zda się magnaci Rzeczypospolitej, najbardziej dla niej zasłużeńi. Książę różnił się tylko jednym: wyznaniem”. Wisner uważał, że zawierając ugodę kiejdańską, kierowali się wyrachowaniem politycznym i względami natury militarnej, a nie sprawami religijnymi. **P**rzeciwno temu stanowisku wystąpił Tadeusz Wasilewski, podając, że Radziwiłł już w roku 1649 kontaktował się ze Szwedami i gotów był nawet oderwać Litwę od Polski. W 1654 r. przeszedł do otwartej opozycji wobec króla i wzywał księcia siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego II do interwencji. Podobną postawę przyjęło w Rzeczypospolitej wielu magnatów – także koronnych. Jednocześnie podnosił kwestie militarne – do lata 1655 r. Wielkie Księstwo Litewskie zostało prawie całe zawojowane przez Moskwę, Wilno i Smoleńsk zdobyte, a Jan Kazimierz ograniczył władzę Radziwiłła, popierając hetmana polnego – Wincentego Gosiewskiego.

Uwadze historyków umyka jednak fakt, że umowy poddające Litwę Szwecji były de facto dwie. Pierwszą stał się tymczasowy

pakt poddania: „Instrumentum Lithuanicae deditionis” zawarty w odległych o 12 km od Kiejdan Jaszwojnach 18 sierpnia. Akt, który gwarantował mieszkańcom Litwy prawa i przywileje, nie został jednak zatwierdzony przez króla Szwecji. Właściwy akt ugody kiejdańskiej podpisał 20 października 1655 r. osobiście Magnus de la Gardie, namiestnik królewski. Akt ten przewidywał zerwanie unii, jednak dawał Litwie o wiele gorsze warunki niż poprzedni. Jak podaje historyk litewski Alfredas Bumblauskas, chociaż miały być zachowane wolności religijne, a Szwedzi zobowiązywali się wyzwolić terytorium Litwy, to księstwo straciło suwerenność, upodabniając się do innych prowincji szwedzkich.

Jak zatem oceniać postępowanie Radziwiłła, który ostatni w Rzeczypospolitej, po kapitulacji magnatów koronnych pod Ujściem, po pogromie pod Szepielewiczami uznał protekcję Szwedów? Nie musimy tego robić – oddajmy głos mieszkańcom ówczesnej Litwy. Szlachta, wojsko, a nawet chłopci wystąpili bowiem przeciwko Szwedom i Radziwiłłowi. Wojsko zawiązało konfederację w Wierzbołowie, pozostając wiernie Janowi Kazimierzowi. Na Żmudzi wybuchło antyszwedzkie powstanie, walkę z najeźdźcą poparła magnateria na czele z Sapiehami, a nawet znaczna część ewangelików. Akces do powstania zgłosiła nawet Maria Radziwiłłowa, wojewodzina wileńska, z liczną grupą sług radziwiłłowskich. Umowę kiejdańską traktowano tak, jak napisał w pamiętniku Jan Władysław Poczeb-Odlanicki. „Tegoż roku dnia 20 oktobra poddał się króla szwedzkiego pod Kiejdanami. Daj Boże niedługo pod tą protekcją zostawać”. Dla wszystkich tych obywateli hetman wielki litewski zakończył życie jako zdrajca 31 grudnia 1655 r. w Tykocinie. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kuchnia śląska

Początek grudnia to Barbórka, a Barbórka to wiadomo – górnicy. Na Górnym Śląsku kult św. Barbary był i do dzisiaj pozostaje bardzo żywy i powszechny. W cechowniach przed pracą odbywały się msze święte, najstarszy wiekiem zawsze modlił się w intencji dobrej pracy i tego, by wszyscy wrócili żywi, śpiewano też pieśni, a podczas modlitwy paliła się gromnica. W każdej kopalni i w każdym szybie była figura św. Barbary i nawet wtedy, gdy np. protestantkie władze pruskie kazały je usuwać, górnicy zamurowywali świętą, tak by – choć niewidoczna – była obecna.

Etos pracy na Górnym Śląsku jest wyjątkowy. Gospodyni śląska musiała mieć zawsze porządnie sprzątnięte mieszkanie i umyte okna. Na terenach przemysłowych, gdzie sadza i brud unosiły się w powietrzu, trzeba je było myć dość często. I zawsze w niedzielę w każdym śląskim domu na stole pojawiał się wyśmienity obiad. Nasza mama, choć nie urodzona na Śląsku, a na Kresach, także gotowała co niedzielę wyśmienity rosół i własnoręcznie robiła makaron. Ale nie to było specyfiką kuchni śląskiej. Tym daniem była i jest rzecz jasna rolada śląska z kluskami śląskimi.

Rolada i kluski śląskie

Kluski to danie efektowne i szybkie. Zaczniemy od rolad. Należy mieć dobrą, miękką wołowinę na zrazy. Kroimy ją na plasty w poprzek włókien i porządnie rozbijamy tłuczkiem do mięsa. Przygotowujemy sobie składniki: plasterki cienko pokrojonego wędzonego boczku,



musztardę, kiszone ogórki – tarce na grubej tarce lub pokrojone w cieniułkie plasterki, sól, pieprz. Każdy plaster wołowiny smarujemy musztardą, kładziemy plaster boczku, na to ogórki i zwijamy w rulon, który obwiązujemy nitką. Obsmażamy na mocno rozgrzanym tłuszczu i przekładamy do rondla. Podlewamy zimną wodą i dusimy. Do sosu można dodać cebulę.

Tymczasem zabieramy się za kluski. Gotujemy ok. 1 kg ziemniaków. Gdy są ugotowane, rozgniatamy je dokładnie i ubijamy na dnie garnka, tak by utworzyły równą warstwę. Jedną czwartą wyjmujemy, ale nie wykładamy z garnka, tylko kładziemy na pozostałych ziemniakach (chodzi o wymierzenie proporcji), a w to miejsce wypujemy mąkę ziemniaczaną na równo z ubitymi ziemniakami. Dodajemy jedno całe jajko, troszkę soli i zagniatamy ciasto. Kiedy jest już porządnie wyrobione, plastyczne, lepimy nieduże kluski – jedna kluska powinna się zmieścić w zagłębieniu dłoni. Układamy na deseczce i palcem robimy mały dołek, czyli dziurkę. Przyda nam się ona, gdy polejemy kluski sosem – wówczas w tym zagłębieniu zostanie sos i kluski będą jeszcze pyszniejsze. Kluski gotujemy – wrzucamy na wrzącą wodę i czekamy, aż wypłyną, potem jeszcze dwie–trzy minuty powinny się pogotować i wyjmujemy je.

Rolady powinny się dusić dwie–trzy godziny, więc najlepiej, prawdę mówiąc, zrobić je poprzedniego dnia, bo smaki składników się przegrzają i rolada następnego dnia będzie smaczniejsza. Do tego podajemy modrą kapustę – i śląski obiad gotowy. Smacznego! ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kawa, wino i... George Clooney

Wśród tzw. kultowych tematów, którymi zajmuje się współczesna wiedza o jedzeniu, wyróżniłabym dwa: wino i kawę. Obych subwatków poświęcono dzieła literackie oraz wiele godzin w mediach wszelkiego rodzaju. Wiedza wygenerowała zastępy ekspertów. Mądrzenie się na tematy kulinarno-gastronomiczne jest obowiązkiem na każdej prywatnej kolacji. Publicznie czasem też.

Fakt, że czasy się zmieniały. Jeszcze w latach 90. nie było baristów, sommelierów, ogwiazdkowanych kucharzy oraz gwiazd gotujących w telewizorze. Teraz są. Weźmy kawę. Najbardziej dziwaczną rzeczą jest to, że kawa rozpowszechniła się na świecie wcale nie z krajów, w których rośnie, tylko z krajów, które wykształciły u siebie wysoką i szeroką kulturę picia. Czyli z Włoch. Ale nie, to byłoby za proste. Na drodze kawy z Włoch do Polski znalazła się Ameryka. Starbucks rozpowszechnił kawową specjalizację najpierw u siebie w domu, a potem zainstalował ją u nas. Amerykanie zaczęli pić lepszą kawę, a nie przefiltrowaną przez papier lure grzejącą się cały dzień, ale nas, Europejczyków, nauczyli, że nie można już mówić „kawa z mlekiem”, tylko „caffè latte”. Że wypicie cappuccino po południu jest zbrodnią porównywalną tylko z zamówieniem owsianki w klubie nocnym.

U nas w domu od lat używaliśmy włoskich ekspresów Bialetti, zwykłej prostej maszynki, która w dolnej części



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

ma wodę, w środku kawę, a na skutek podgrzewania gotowa kawa podchodzi do góry. Kawę z takiego ekspresu pija na śniadanie komisarz Montalbano w moim ulubionym włoskim serialu. Ma go w domu każdy Włoch; jest niezawodny, prosty w użyciu, nie psuje się. A jednak, chociaż niezawodny i prosty w obsłudze, postawiony obok współczesnych cudów techniki superekspresów wydaje się Zaporozcem przy Tesli.

Nasze dzieci uznały, że rodzice powinni się wznieść na wyższy stopień technologiczny niż poczciwy Bialetti. W ten sposób staliśmy się posiadaczami uroczego ekspresiku high-tech, maleństwa znanej firmy, której nazwy nie mogę wymienić ze względu na możliwość posądzania o reklamę.

Powiem tylko, że reklamujący firmę George Clooney podciął staremu Bialettiiemu korzenie. Prosta maszynka nie wytrzymała konkurencji z produktami zachwalanymi przez boskiego George'a, w którym kochają się wszystkie kobiety, ze mną włącznie.

I szlag trafił gadkę ekologiczną, oszczędzanie, nieszacowanie rzadkimi metalami potrzebnymi do wyprodukowania elektroniki. Do przodu marsz! Ale między nami mówiąc, maleńki ekspresik bardzo jest przyjemny. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Maska niewidka

Naukowcy z izraelskiej Hajfy – Moshe Shoham i David Greenblatt – opracowali niewidzialną maseczkę dla osób narażonych na koronawirusa. Zanim omówię to чудо, zacznę od cudu mniejszego. Otóż to dzięki temu wynalazkowi można się było oficjalnie dowiedzieć rzeczy do tej pory niesłychanych. Autorzy maseczki niewidki przy okazji uzasadnili potrzebę niewidzialności maseczki, a właściwie wskazali na szkodliwość dotychczas używanych maseczek widzialnych.

I kiedyś nie było do pomyślenia, by przeczytać oficjalnie następujące wady maseczek: „Szkodliwe skutki psychologiczne, takie jak ograniczenie identyfikacji twarzy i rozpoznawania emocji, utrudnianie ludziom zrozumienia, co mówią ci, którzy je noszą. Noszenie masek przez cały dzień skutkuje również brakiem koncentracji, a także mniejszą uwagą i cierpliwością w wielu zawodach. Zmniejsza się również fizjologiczna komunikacja ustna, a także pojawiają się bóle głowy i problemy skórne”.

Ano więc takie coś nosiliśmy przez prawie trzy lata, oczywiście za cenę powstrzymania wirusa, który – jak się okazało z badań – tak się bał tych maseczek w swej transmisji, jak ostatnio wyszło od producenta, że bał się szczepionek. Czyli wyszło, że to nie działa.

Ale przejdźmy do samego „wynalazku”. To czapeczka z kurtynką powietrzną na daszku. Wydmuchuje, w dół, strumieniem powietrza kropelki oddechowe z obu stron. Oczywiście powietrze z tego odkurzaczyka jest... filtrowane. Czyli jest to gadżet, bez żadnego znaczenia zabezpieczającego. Ale już się o tym mówi, naukowcy się chwalą, a biznes – chyba tylko panikarski – przygląda się wdrożeniu.

Przypomnę, że podobne urządzenia istniały jeszcze grubo przed COVID. To były czapeczki, które zamiast daszku miały małą baterijkę słoneczną, ta generowała prąd do wiatraczka, który nawiewał zbawcze w upałach powietrze. Mam lepszy pomysł. Zamiast siedzieć w Hajfie, robić eksperymentu naukowego, proponuję wykupić na każdym targu w tropikach wszystkie czapeczki i... odwrócić biegunowość silniczka napędzającego wiatraczek, tak by wiał nie na twarz innowatora, ale odwrotnie. W ten sposób pęd powietrza uchroni nosiciela czapeczki przez kropelkami koronawirusa z zewnątrz. Bo przecież nosiciel nie może mieć wirusa, gdyż pewnie jest zaszczepiony. Inaczej, przy takim poziomie zaufania jak przy zgodzeniu się na zaszczepienie, nie nabyłby cudownej czapeczki.

Zgłaszam to jako patent. Opłaty licencyjne proszę wysłać na fundusz ofiar niepożądanych odczynów poszczepiennych. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Świat ekspertów i widzowie

Nasilenie propagandy politycznego ruchu LGBT, adresowanej do najmłodszych, widać w produkcjach kinowych, ale ideolodzy nie oszczędzają nawet symboliki świąt.

Wśród choinkowych akcesoriów pojawiła się w Polsce tęcza bombka. Skoro niedawno w Poznaniu zorganizowano czytanie bajek dla dzieci przez drag queen, to być może w tym roku pora na transpłciowego (nie)świątecznego Mikołaja. W filmach dla dzieci już nie przemycia się treści i zachowań homoseksualnych, ale nachalnie się je promuje. „Polityczna policja obyczajowa” jakiś czas temu oskarżyła Disneya o stosowanie cenzury. Według doniesień pracowników Pixar miał rzekomo usuwać ze swoich produkcji wątki i postacie LGBT+. W odpowiedzi na oskarżenia Disney w kolejnej produkcji o „Buzz Astral” umieścił pocałunki osób tej samej płci, a potem w filmie „Dziwny świat” po raz pierwszy pokazano miłosną historię homoseksualnych nastolatków.

Dzieje się to w czasie, gdy psychologowie (ci odważni) ostrzegają, że coraz intensywniejsze nasycenie kultury popularnej i mediów społecznościowych treściami nobilitującymi homoseksualizm i transpłciowość indukuje te postawy i zachowania młodym ludziom. Nastolatki szukający swojego dookreślenia w ankietach coraz częściej zaznaczają orientację „niebinarna” lub „genderfluid”. Jednocześnie ostracyzm spotyka tych psychologów i seksuologów, którzy wskazują na

absurdalność sformułowania „młodzież LGBT”. Proces rozwoju psychoseksualnego trwa bowiem do 21. roku życia (nieraz nawet do 23. roku). Większość nastolatków, którzy deklarowali homoseksualizm i doświadczali relacji z osobami tej samej płci, potem z tego „wyrośla” i po latach stworzyła normalne, udane związki z osobami płci przeciwnej.

Wracając do filmu – wygląda na to, że propaganda raczej Disneyowi nie popłaca. Witryna IMDb Charts, zamieszczająca ranking najlepiej ocenianych produkcji kinowych, filmowi „Dziwny świat” przyznaje zaledwie pięć punktów (w skali od 1 do 10). Publiczność szukająca rekomendacji wszelką punktację poniżej sześciu odczytuje jako: „Szkoda czasu!”. Gdy wejdziesz w szczególności głosowania, jest jeszcze gorzej (czyli lepiej). Miażdżąca większość głosujących daje filmowi tylko jeden punkt. Sumując wszystkie głosy, wynik powinien być poniżej trzech. Gdy użytkownicy forum spostrzegli podkręconą punktację i podnieśli alarm, otrzymali od administratora odpowiedź, że do głosów publiczności doliczono recenzje ekspertów, a te mają większą wagę. Sumarycznie więc „Dziwny świat” zyskał pięć punktów...

Wśród świątecznych gadżetów obok tęczowej bombki znalazłem też naklejki z wymiotującym Mikołajem. Jego wymiociny to sześciokolorowa gejowska tęcza. Odruch Mikołaja dedykuję twórcom filmu, administratorowi i ekspertom IMDb. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wszędzie te wieżowce

Wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł odwołał ze stanowiska dyrektora Teatru Dramatycznego w Warszawie Monikę Strzępkę. Stop. Pani Monika znana jest z tego, że w teatrze ustawiła wielki pomnik waginy, tak, waginy, niestety, przykro mi, co robić. Stop. Nie wykluczam, że ma jakieś inne dokonania, ale się nie przebiły. Stop. Była dyrektorem odbyła tournée po mediach, mówiąc, że padła ofiarą odstręczająco zastraszającej cenzury makabrycznej oraz pisowskiej. Stop. U redaktora Lubieckiej pani Monika powiedziała, że wszystkie wieżowce kojarzą się jej z fallusami i Pałac Kultury również, stąd, jak powiedziała, pomnik „pani wilgotnej” ma być pewną przeciwwagą. Stop. Dobrze, że ją odwołano. Jak widać, nie miała czasu myśleć o teatrze. Stop.

Paradoksy Zenona z Elei miały udowodnić, że ruch jest tylko złudzeniem, i paradoks sędziego Tulei potwierdza tę tezę. Stop. Tuleya od prawie dwóch lat twierdzi, że zawieścił go „nie sąd”, bo w składzie byli sędziowie, którzy według niego nie są sędziami. Stop. Niemniej przez prawie dwa lata nie orzekał i dostawał połowę pieniędzy. Stop. Teraz odwieś się go inny sąd, który według Tulei też nie jest sądem, ale jest odwieszony. Stop. Tuleya się ucieszył, ale się nie uśmiechał. Stop. W sumie jakby

ruchu w ogóle nie było. Stop. Paradoks Tulei.

Przy okazji powrotu Tulei do działań sędziowskich doszło do wielce wzruszającego momentu. Stop. Otóż okazało się, że sędzia Gaciarek przez dwa lata przechowywał łańcuch sędziowski Tulei, który jest symbolem, i on mu uroczystie oddał tenże łańcuch przed kamerami. Stop. Z tej okazji w mediach społecznościowych pojawiły się analogie do słynnego, pełnego poświęceń przechowywania przez lata zegarka w filmie „Pulp Fiction”. Stop. Kto film widział, wybaczy mi, że nie rozwijam wątku. Stop.

A jeśli jeszcze o sędziach, to „Rzeczpospolita” doniosła, że IPN chce unieważnienia wyroku z 1982 r. skazującego działaczkę Solidarności Zofię Pietkiewicz. Stop. Waldemar Płóciennik skazał patriotkę na karę bezwzględnego więzienia, którą odbyła, za wykrzykiwanie niezbyt pochlebnych haseł o milicjantach w czasie manifestacji. Stop. Po wyjściu z ciężkiego więzienia była szykanowana i nie mogła znaleźć pracy. Stop. Sęk w tym, że cały ten pozał się Boże Płóciennik dalej jest sędzią, i to w Sądzie Najwyższym. Stop. Macie swoje oczyszczenie środowiska sędziowskiego i tę swoją sędziowską walkę o praworządność. Stop.

Mógłbym coś napisać o grze reprezentacji Polski na mistrzostwach świata w Katarze, ale wystarczy, że napiszę: Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Orkiestra redaktora Zaremby

Małgośka, mówią mi, ty taka jesteś rusofobka, a redaktor Zaremba zapisał was do „prorosyjskiej orkiestry”. Może dlatego, że nigdy nie był w dobrej filharmonii, a kakofonia i wielogłos mylą mu się z unisono i harmonią dźwięków. Trochę jednak dziwi, że autor tekstu „Odrzucam panświnizm” dziś imputuje nam coś jakby panrusizm. Zdaje się, że kto nie myśli o wojnie jak Zaremba – ten rusek! Zarzut wobec „Do Rzeczy” o „prorosyjskość” powinien zostać skwitowany epitetami od A jak absurdalny do Ż jak żałosny. To już trzeci artykuł Zaremby o nas, więc przyzywałam, że „Plus Minus” albo obraża inteligencję czytelników, albo nasz tygodnik. Dziwne, tym bardziej że redaktor Warzecha, któremu Zaremba poświęca wiele uwagi, publikuje też pod tym samym szyldem „Rzeczpospolite”.

Niektórzy mogą całe życie poświęcić czytaniu, a nie odkryją prostej prawdy, którą mi – swojej parafiance – powiedział pewien znany ksiądz profesor (i publicysta): „Wasz tygodnik to galeria indywidualistów”. Owszem, u nas w tygodniku roi się od indywiduów, z których każdy pisze, co mu się żywnie podoba, z braku ogólnych instrukcji i linii naczelnego. Luksus, jaki nie śnił się nawet ludziom w Dubaju, a widocznie też redaktorowi Zarembie. Tyle wieków walki o wolność słowa, że dziś delektujemy

się nią na wszelkie sposoby. Ja nie wymagam od innych, aby dzielili moje poglądy, choć uważam je za jedyne słuszne. Jeszcze bardziej cenię sobie to, że mój naczelny nie wymaga ode mnie, abym wyznawała jego poglądy, więc w ogóle nie rozumiem, o granie w jakiej „orkiestrze” Zarembie chodzi? Gdzie ta partytura?

Na jego miejscu nie spała bym ze zgrzyoty. Tyle że nie o „Do Rzeczy” tu się trzeba martwić, a o magazyn, w którym Zaremba co tydzień publikuje i który przygrywa w orkiestrze europejskiego mainstreamu – i to do wiwatu. Nie chwytam wprost różnic między mediami europejskiej socjaldemokracji a dodatkowo ponoć konserwatywno-liberalnej „Rzepy”. I w socjalistycznym „El País”, i w „Plusie Minusie” trwa niekończący się festiwal nienawiści wobec prawicy i demonizowanych sił „antyeuropejskich”.

Muszę wyznać, że jedyne, co w całym moim życiu zrobiłam „prorosyjsko”, to zdobycie licencji na karabin, strzelbę i pistolet. Także prorosyjski był mój wybór sejfu i broni do domu. A gdy spadły rakiety na Przewodów i ludzie rzucili się znów kupować makaron, to ja – jak przystało na wzorową gospozię – udałam się po kolejne 200 sztuk amunicji (z myślą o ruskich, a jakże!). I taki właśnie prorosyjski felieton znów mi wydrukowali w „prorosyjskim” „Do Rzeczy”... ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Grudzień sto lat temu

Jesienią sto lat temu odbyły się pierwsze wybory do obu izb parlamentu odrodzonej Polski. Wygrała je prawica narodowo-demokratyczna startująca jako Chrześcijański Związek Jedności Narodowej, przezywany przez politycznych przeciwników jako „chjena”. W połączeniu z głosami PSL „Piast” Wincentego Witosa endecja była w stanie stworzyć koalicję większościową. Pierwszym testem jej skuteczności był wybór marszałków obu izb. Marszałkiem Sejmu I kadencji został związany z „Piastem” Maciej Rataj. Marszałkiem Senatu został natomiast kandydat prawicy Wojciech Trąmpczyński (w latach 1919–1922 marszałek Sejmu Ustawodawczego).

Sto lat temu endecja popełniła gorszą rzecz niż zbrodnię. Zdarzył się jej poważny błąd

Jednak w grudniu 1922 r., podczas wyboru pierwszego prezydenta RP przez Zgromadzenie Narodowe (połączone izby Sejmu i Senatu), koalicja narodowo-ludowa nie zadziałała. Głową państwa polskiego nie został ani kandydat zgłoszony przez blok prawicowy – Maurycy hr. Zamoyski, poseł RP w Paryżu, w latach wielkiej wojny hojnie wspierający Komitet Narodowy Polski R. Dmowskiego, ani zgłoszony przez „Piast” – Wincenty Witos. 9 grudnia 1922 r. na prezydenta został wybrany Gabriel Narutowicz w ostatniej turze głosowania poparty przez parlamentarzystów Bloku Mniejszości Narodowych, lewicę oraz ... „Piast”. Tydzień później prezydent Narutowicz został

zamordowany strzałami w plecy przez sympatyka endecji, malarza Eligiusza Niewiadomskiego.

Ta tragedia była bezpośrednią konsekwencją kampanii nienawiści wymierzonej w Narutowicza, animowanej w prasie związanej z obozem narodowym. Pisano, że prezydent został wybrany „niepolskimi głosami”. Faktycznie arytmetyka wskazywała, że przy odjęciu głosów parlamentarzystów mniejszości narodowych prezydentem zostałby Zamoyski. Ale przecież wybory parlamentarne w 1922 r. – w odróżnieniu od tych z 1919 r. do Sejmu Ustawodawczego – zostały przeprowadzone na całym obszarze II Rzeczypospolitej, a więc także na Kresach, z których pochodziło

konkurencję „Wyzwolenia”. Lewicowe stronnictwo chłopskie z pewnością wykorzystałoby ewentualne poparcie przez „Piast” kandydatury Zamoyskiego, by przekonywać wiejski elektorat, że witosowcy są „sługusami obszarników”. Choć trzeba powiedzieć, że wysunięty przez „Wyzwolenie” Narutowicz bynajmniej włościaninem nie był. Pochodził z dobrej, żmudzkiej szlachty, a majątku dorobił się jako wysokiej klasy specjalista od hydroelektrowni w Szwajcarii.

Wyjściem z sytuacji byłoby poparcie przez endecję Witosa jako kandydata na urząd prezydenta. Brak dojrzałości elit politycznych, deficyt tego waloru, który w styczniu 1919 r. pozwolił na utworzenie kompromisowego gabinetu Ignacego Jana Paderewskiego, w grudniu 1922 r. zaowocował fatalnym w konsekwencjach błędem politycznym.

Współczesna, kilkudziesięcioletnia „nowa lewica” wykorzystuje setną rocznicę zamordowania prezydenta Narutowicza jako okazję, by przypominać o „przemocowej historii Polski”, zawinionej przez „atmosferę nienawiści stale podsycaną przez ksenofobiczną, antysemicką prawicę”. Jednak ta sama lewica, która zaraz po zabójstwie prezydenta nawoływała do krwawej rozprawy z prawicą, w maju 1926 r. bez wahania poparła wojskowy zamach stanu Piłsudskiego wymierzony w centroprawicowy, legalny rząd, na którego czele stał Wincenty Witos. Wtedy szacunek dla konstytucji i praworządności musiał ustąpić wobec imperatywu walki z „reakcją”, na której czele stał... chłop spod Wierzchosławic. ©©

gros posłów i senatorów Bloku Mniejszości Narodowych, który szedł do wyborów jako jedna lista. Unieważnianie, nawet mentalne, tych głosów (formalnie obywateli RP) oznaczałoby pośrednie podważanie obecności Polski na tych ziemiach.

Sto lat temu endecja popełniła gorszą rzecz niż zbrodnię. Zdarzył się jej poważny błąd. Tak należy ocenić upieranie się przy kandydaturze Zamoyskiego, człowieka niewątpliwie o wielkim, popartym czynami patriotyzmie, ale zupełnie „niewybieralnego” z punktu widzenia „Piasta”. Ordynat był największym właścicielem ziemskim w Polsce („obszarnik”) i dlatego stronnictwo Witosa nie mogło go zaakceptować, tym bardziej że czuło na plecach

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przyjechał do mnie kumpel z przeciwnego bieguna prairii. Mieszka tak jak ja – tuż pod granicą – ale na północy, czyli pod granicą kanadyjską, a nie na południu pod meksykańską. I on ma tam teraz śnieg, którego ja nie lubię, unikam jak ognia i w zasadzie nie mam. Śnieg na granicy z Meksykiem bywa sporadycznie. Trochę. Symboliczna odrobinka. Cienka nietrwała warstewka. Anomalia pogodowa. A kumpel ma ZWAŁY, a do tego leżą MIESIĄCAMI.

Uważam, że śnieg jest brzydki. To, że nam się czasami podoba, wynika z tego, że śnieg zakrywa pewne rzeczy, które podobają nam się mniej niż śnieg – brudna ulica, odrapana kamienica, bałagan na podwórku sąsiada. Śnieg tłumi szpetotę, ale jednocześnie ukrywa kształty ładne i zamienia kolory w monotonną biel.

Wyobraźcie sobie piękną niewiastę pokrytą śniegiem. Ja wolę niewiasty pokryte sukienką w kwiaty, która podkreśla piękno stworzenia.

Tak czy owak – mój kumpel lubi śnieg, a ja nie. I dlatego mieszkamy o cztery dni drogi od siebie.

Ponadto kumpel lubi zimę i nie cierpi upałów. Jest jeszcze drugie „ponadto” – on jest Murzyn, a ja jestem Biały. Czyli mamy układ taki: Murzyn, który kocha śnieg, i Biały, który śniegu nie cierpi, i przyjaźnią się od lat. On ma rancho pod granicą i ja mam. On ma bydło i ja mam. On ma zimę, ja nie.

Kumpel przyjechał z choinką, tak jak się umówiliśmy.

Ludzie w USA kupują choinki radykalnie wcześniej – zaraz po Święcie Dziękczyn-



nienia, czyli koniec listopada. I domy stroją lampkami też w listopadzie. Dla mnie to zdecydowanie za wcześnie, bo ja jestem katolik, a do tego polski i mocno tradycyjny.

Gdy spędzam święta w Polsce, choinkę stawiam dopiero w Wigilię. Gdybym chciał ten obyczaj kontynuować w USA, to byłoby niewykonalne, bo już na początku grudnia choinek zaczyna brakować – wyprzedają się, wszyscy już mają i...

– Czego pan tu szuka o tej porze? Proszę przyjechać za rok, ale WCZESNIEJ, bo choinki w zasadzie sprzedajemy do pierwszej niedzieli grudnia. Potem już nikt nie szuka tego towaru. Zostały same brzydkie resztki. Pana wina, nie nasza.

W listopadzie to ja byłem w Polsce, czyli nie miałem szansy kupić sobie choinki w USA. Po moim powrocie na prerię było już po wszystkim – mój dom jest ostatnim w okolicy bez choinki i bez lampek na dachu. Wyglądam jak towarzyski zombie, bo u wszystkich świeci i mruga, a u mnie nadal brak wystroju i czarno. Dlatego dogadałem się z kumplem z północy, że on mi przywiezie świeżą choinkę wyciętą na jego ziemi i wspólnie zawiesimy na domu sporo lampek.

Tak, tak, tak – mogłem w USA wynająć firmę, która wiesz lampki na rynnach, ale gdy ja dzwonię do nich teraz, to pierwsze pytanie jest takie, dlaczego chcę, by mi ZDJĘLI lampki przed świętami. Gdy tłumaczę, że chcę, by mi lampki zawiesili, a nie zdjęli, uważają, że zadzwonił wariat, lub pijany i bredzi, gdyż... WSZYSTKIE LAMPKI SĄ JUŻ DAWNO

ZAWIESZONE WSZĘDZIE – odpowiadają i kończą rozmowę.

Kumpel z północy jechał cztery dni. Choinkę przywiązał sobie na dachu. W szoferce Murzyn czarny jak sadza, a na dachu zielona choinka. Wyglądał jak jakaś reklama czegoś. Ponieważ na początku trasy stała padał śnieg, kumpel kupił łopatę do odśnieżania samochodu i motelowych podjazdów. Plastikowa szeroka szufla. A do tego znalazł taką, która miała na sobie wzór przypominający koszulę hawajską. Pomyślał, że mi się to spodoba – szufla do śniegu z tropikalnym deseniem.

Ruszył z szuflą na południe i było tak:

Na pierwszej stacji benzynowej pompierz pochwalił go, że „ma świetną szuflę”.

Na drugiej zachwycili się, że „niezła szypa”, i spytali, gdzie on to kupił.

Na trzeciej stwierdzili z podziwem, że u nich, niestety, takich rzeczy nie sprzedają i niech pan powie, gdzie to kupić, bo ładne.

Gdy już był niedaleko mojego domu, facet na stacji patrzy na tę pstroką szuflę i pyta: „A do czego to służy?”.

Gdy już postawiliśmy choinkę u mnie w domu i zawiesiliśmy lampki na rynnach, zabrałem go na pożegnalną kolację do lokalnej wioskowej knajpy. Jeff i Ed (moi dwaj miejscowi kumple) siedzieli na swoich stałych miejscach. Na powitanie odbyliśmy jedną z tych rozmów, w których oni mnie obrażają, a potem ja dowodzę, że to oni są głupi. Posłuchajcie...

– Hej, Gringo! Znowu założyłeś to swoje NIEODPOWIEDNIE ubranie zrobione ze starej zasłony w kwiaty?

– Lubię koszule hawajskie i musicie się do tego przyzwyczaić.

– Ależ my jak najbardziej jesteśmy przyzwyczajeni. No, ale NORMALNI ludzie mają JEDNĄ taką koszulę przeznaczoną na specjalne okazje. Na przykład zakładają tę niestosowną pstroką, gdy się upiją. Zakładają raz! A potem pstroką koszula wisi w szafie do czasu, gdy dopiero ich syn się w nią ubierze; też tylko raz, gdy zdecyduje się upić na wesoło.

Jeff postanowił mnie pomęczyć i zrobił wywód historyczny na temat hawajskich koszul:

– Kiedyś malowali na nich fajne babeczki w biustonoszu ze skorup kokosa, w sukience z trawy, tańczące hula, do tego palma, gitara i stare auto. A ty, Gringo, masz deseń wyłącznie kwiecisty. To naprawdę przypomina starą zasłonę albo tych gości z Kalifornii, których tutaj nie chcemy, ale oni i tak przyjeżdżają na motorach. Jeden jest zawsze niby normalny, a drugi mu siedzi z tyłu i ma pupkę jak babeczka w zaciasnych dżinsach.

– Czyli zwykłe pedzie! – rzucił Ed.

– To ja już wolę porównanie „stara zasłona” – odpowiedziałem.

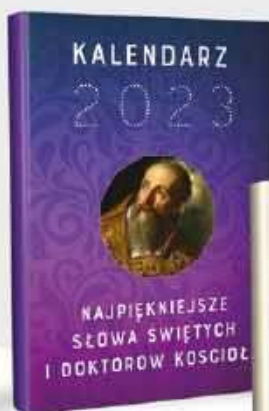
Dla zmiany tematu mój czarny kumpel zaczął komentować serial „Pierścienie władzy” zrobiony na podstawie książek Tolkiena. Stwierdził, że wnerwia go, że w tym serialu elfa gra Murzyn. Przecież elfy to przeciwieństwo Murzyna, jeśli chodzi o... w zasadzie WSZYSTKO. Niech grają orków, jeżeli już muszą coś grać w baśni o białych ludziach.

Tamtego wieczoru ja byłem kolorowy, a mój czarny kumpel był białym rasistą. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LITERSKI
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKI

ADRIAN MARKOWSKI: „BIESZCZADY. DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ CHODZIĆ WŁASNYMI DROGAMI” ORAZ OPRACOWANIE AGNIESZKI MAZUR: KALENDARZ 2023. NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWA ŚWIĘTYCH I DOKTORÓW KOŚCIOŁA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~515 ZŁ~~

216,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 536a258947



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

